

JAK ZAROBIC
NA FAŁSZYWYCH WSPOMNIENIACH
I FAŁSZYWYCH WIADOMOŚCIACH?

s. 42, 48

KOCHAJCIE SIĘ W SŁYNNYCH MIEJSCACH
Walentynkowy przewodnik kinomana

s. 52

PRZE KRO

Nr 06 / 3164 • 9 lutego 2006
• cena 4,50 zł /w tym 7% VAT/

**Jacek
Fedorowicz**
znika z telewizji:

SAM się wylałem

s. 12

PAKT NIEPODPISANY!

TV TRWAM SIĘ MYLI!



s. 22 i 30

FAKTY

LUDZIE

OPINIE



Indeks 371424

JIMNY

100% Ciebie



W stu procentach japoński, w stu procentach elegancki

- stu procentowo podkreśli Twój styl bycia.

Suzuki Jimny – w najlepszym stylu.

www.suzuki.pl

Suzuki JIMNY 1.3
Zużycie paliwa oraz emisja CO₂: 7,3 l/100 km oraz 174 g/km
(wartości uśrednione, wg 80/1268/EEC i 1999/100/EC)
Informacje o recyklingu wysłużonych pojazdów, ich konstrukcji
zgodnej z przepisami o recyklingu i stacjach odbioru wysłużonych
samochodów znajdują Państwo na naszej stronie internetowej:
www.suzuki.pl



Informacja o dealerach: 0801 88 01 38*

* Koszt 1 impulsu lokalnego bez względu na czas połączenia



PRZE
KROJ



RACZKOWSKI na Czwartek



Wymyślił i narysował MAREK RACZKOWSKI

W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY:

...o pierwszym istotnym efekcie podpisania paktu stabilizacyjnego: zmieniły się zasady dowodzenia, że coś istnieje lub nie. Jarosław Kaczyński wyjaśnia: „Absolutnie nie ma żadnych powodów, żeby sądzić, że kogoś rejestrowano w sposób nieprawdziwy jako agenta [SB]. – Skąd Pan to wie? – Bo nigdy się z niczym podobnym nie spotkałem”. Bo choć jest to bardzo dobra i szybka metoda dowodzenia (algorytm: zapytaj Jarosława Kaczyńskiego, czy pewne X istnieje, a on na podstawie tego, czy się z tym X spotkał, czy nie, odpowie ci, jaki jest ontologiczny status tego X), to poważnym ograniczeniem tej metody jest dostępność samego Kaczyńskiego.

...o tym, jakie w tym tygodniu będą najpopularniejsze sposoby mówienia o politykach Platformy Obywatelskiej. Bo to żadne odkrycie, wystarczy zajrzeć do wywiadu spółki Kublik & Olejnik z prezesem Prawa i Sprawiedliwości i wynotować:

„niebezpieczeństwo potwornej awantury wszczętej przez PO coraz bardziej idącą w kierunku skrajnego awanturnictwa politycznego”, „awanturnicze zapowiedzi Tuska”, „niestychanie wojowniczej, zdumiewającej postawy PO – to jest partia antypaństwowego populizmu, a dzisiaj ten antypaństwowy populizm przekształcił się już w populizm anarchiczny”. Nauczcie się tych wyrażań dobrze, być może przydadzą się jeszcze, gdy Samoobrona lub LPR zaczną fikać.

...o wyszukanej kulturze politycznej zaprezentowanej przez Jarosława Kaczyńskiego, prezesa Prawa i Sprawiedliwości (nigdy nie dość powtarzania tych dwóch pięknych słów, ale raz na jakiś czas zajrzyjcie do słownika, żeby przypomnieć sobie, co znaczą). Bo rzeczywiście nic prezesowi zarzucić w tej kwestii nie można. Przecież nie powiedział, że Tusk jest niespełna rozum, lecz jedynie: „Nie chciałbym tych słów [Tuska]

interpretować, bo musiałbym się odwoływać do terminów medycznych”. Nie nazwał wprost Rokity chamem, lecz tylko przypomniał: „Jan Rokita sam kiedyś o sobie powiedział, że jest chamem. I przykro mówić, ale ciągle to potwierdza”.

...o tym, czy wywiad, który powyżej cytowaliśmy, był autoryzowany przez prezesa Kaczyńskiego. Bo to oczywiste, że był.

...o ministrze koordynatorze do spraw służb specjalnych Zbigniewie Wassermannie. Bo wciąż sprawdzamy, co jeszcze koordynuje minister, jako że co parę dni dowiadujemy się czegoś nowego. Wiadomo już na pewno, że koordynuje sprawy sądowe przeciwko hydraulikom i ich rodzinom, a także dostawy gazu i prądu na osiedle, w którym mieszka, nie jest pewne, czy dba o dostawy wody tamże, skoro i tak nie może korzystać z jacuzzi.

CYTAT tygodnia
Nie jest tak, że numer 112 w ogóle nie działa. Ja znam wagę słów. Działa w sposób wysoce niedoskonały na niektórych obszarach kraju

– wicepremier LUDWIK DORN protestujący przeciw stwierdzeniu, że w Polsce nie funkcjonuje jednokowy telefoniczny numer alarmowy 112





52

Walentynkowa
turystyka
filmowa
dla wszystkich

POWIĘKSZENIE

6 LALAMIDA

NAJSZTUB PYTA

12 KOLEGA KIEROWNIK
Z JEDYNKI – czyli dlaczego
Jacek Fedorowicz zdecydował
się odejść z telewizji po
11 latach robienia programów
satyrycznych

A WŁAŚCIWIE TO...

18 KOMENTARZE
PIOTRA NAJSZTUBA
I WAWRZYŃCA
SMOCZYŃSKIEGO

KRAJ

20 PRZEKRÓJ TYGODNIA

22 RZĄD Z ODROZCZONĄ
SKUTECZNOŚCIĄ
Sto dni rządu, czyli wielkie
przygotowania do rządzenia26 PRIORYTET – NIE KRADNIJ
Poczta Polska chroni złodziei
we własnych szeregach,
a okradani klienci są bezradni
wobec molocha monopolisty

KRÓTKA ROZMOWA

29 KTO BLUŹNI, A KTO OBRAŻA
Bluźnierstwo jest wtedy, gdy to,
co dobre i święte, uznajemy za
złe i diabelskie. Trzeba umieć
wczuć się we wrażliwość
drugiego człowieka i tego w tej
całej aferze z karykaturami
Mahometa zabrakło – mówidominikanin ojciec Tadeusz
Bartoś

ALE O CO CHODZI

30 DZIENNIKARZE,
USPOKÓJCIE SIĘ
Nie obrażaniem się,
ale rzetelnymi informacjami
powinniśmy walczyć
z arogancją polityków

ZAGRANICA

32 PRZEKRÓJ TYGODNIA

34 JAMES BŁĄD W MOSKWIE
Brytyjczy szpiegdy wpadli
w ręce rosyjskiego
kontrwywiadu, jakby sami tego
chcieli, a jeszcze przysłużyli się
Putinowi w walce
z organizacjami praw człowieka

LUDZIE

38 LEW I PREZYDENCI
W Ameryce Południowej
rządy przejmuje nowa lewica42 PISARZ, KTÓRY ZA DUŻO
KŁAMAŁ
James Frey napisał
wspomnienia odrodzonego
narkomana i zarobił na nich
mnóstwo pieniędzy, a kiedy
okazało się, że nakłamał,
zarabia jeszcze więcej

SPOŁECZEŃSTWO

BIZNESMAGAZYN MOSZA

46 SZKODLIWA WIELKODUSZNOŚĆ
Sprawnie przeprowadzony
dowód na to, że z bankami
nikt nie wygrał i nie wygra

OBYCZAJE

48 FAŁSZYWE NEWSY
Na nieprawdziwych
wiadomościach można dobrze
zarobić, ale też nieźle się
z nich uśmiećPRZEWODNIK
„PRZEKROJU”52 NAKRĘĆ SOBIE MIŁOŚĆ
Idąc śladami filmowych
kochanków, znaleźliśmy dla
was najbardziej oryginalne
miejsca do wyznawania miłości

Fot. REUTERS/FORUM

Fot. GETTY/EA NEWS

34

Rosyjska
szpiegomania
dotyczy
nie tylko
szpiegów

NAUKA

60 PŁEĆ OPŁACA SIĘ MIEĆ
Udowadnia paleontolog
profesor Jerzy Dzik62 MAŁY MĘSKI GEN
Co decyduje o męskości
mężczyzny i czy mężczyznom
grozi wyginięcie? – pytamy
profesor genetyki Jadwigę
JaruzelskąTYDZIEŃ – KULTURALNIE
POLECAMY68 WYDARZENIE Nowa filmowa
biografia Casha

70 FILM „Ja wam pokażę!”

72 MUZYKA Eshjörn Svensson Trio

74 KSIĄŻKI Walter Benjamin „Pasaże”

76 KOMIKS „Zamieć”

78 TELEWIZJA Oscary w TVP

ZAWSZE CZYTAJ

3 NA CZWARTEK RACZKOWSKI,
W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY16 TECZKI OSOBOWE, NA CZCZKO
IGORA ZALEWSKIEGO

58, 66 ŻEBYŚ WIEDZIAŁ

79 WYCZESANE SŁOWA

81 KRZYŻÓWKA

82 RACZEJ RACZKOWSKI

83 ROZMAITOŚCI

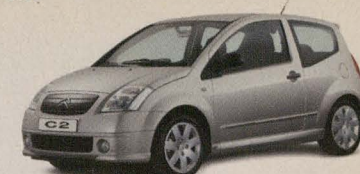
26

Coraz
częściej
znikające
paczkiMistrzowska oferta
na ostatnie modele z 2005 r.!

od trzykrotnego Mistrza Świata w rajdach samochodowych



Citroën C2



teraz rabat do 13 000 zł

Citroën C3



teraz rabat do 13 000 zł

Citroën C4



teraz rabat do 20 000 zł

Citroën
Xsara Picasso

teraz rabat 25 000 zł

Sprawdź również superofertę na modele z 2006 r.

Citroën
Berlingocena już od
37 200 zł

Citroën C5

cena już od
68 000 zł

Oferta w autoryzowanych punktach sprzedaży biorących udział w promocji. Oferta zarezerwowana dla klientów indywidualnych. Promocja dotyczy modeli C2, C3, C4 i Xsara Picasso rok prod. 2005 oraz modeli Citroën Berlingo, Citroën C5 rok prod. 2006, zamówionych od 06.02.2006 do 28.02.2006. Liczba samochodów, modeli i wersji objętych ofertą jest ograniczona. Niniejsze ogłoszenie nie stanowi oferty w rozumieniu przepisów kodeksu cywilnego.

CITROËN poleca TOTAL

CITROËN
Assistance 24hCITROËN
KredytCITROËN
Leasing

www.citroen.pl

CITROËN
POLUBISZ KAŻDĄ DROGĘ



Wielu użytkowników z czasem zaczyna traktować je, jakby były żywymi istotami. Ten człowiek zgodził się pozować do zdjęcia ze swoją ukochaną lalką



W świecie lalek nie ma ułomności. Wszystko jest dostosowane do indywidualnych potrzeb i wyobrażeń klienta

LALAMIDA

Nie robią awantur, nie są zazdrosne i zawsze mają ochotę na seks. Sensacja sezonu to lalki o ludzkich wymiarach, produkt biznesmena artysty z Kalifornii

TEKST SYLWIA CZUBKOWSKA
ZDJĘCIA ELENA DOREMAN/REDUX/EAST NEWS



Niektórzy amatorzy lalek wydają fortuny na stroje i bieliznę dla swoich kochanek. Przygotowują dla nich pokoje i garderoby. Na zdjęciu: Właściciel lalki w czasie ogrodowego pikniku

Mark czeka na przyjazd swojej dziewczyny od kilku tygodni i nerwowo kręci się po domu. Jej pokój jest już gotowy. Mark na pewno wyjedzie po nią na lotnisko. Nigdy jej nie widział, ale wie, że jest piękna, bo sam wybrał jej kształt piersi, kolor włosów i wyraz twarzy. Wybrał także dla niej imię. Dziewczyna Marka jest lalką. Kosztowała go siedem tysięcy dolarów, wygląda jak żywa i będzie spełniać wszystkie jego zachcianki.

Gdyby Mark był gejem, mógłby sobie dobrać męską lalę, gdyby pociągały go „she-males”, dostałby lalę obojną. Nawet gdyby był wielbicielem 14-letnich Japonek, to w sklepie Matta McMullena zamiast 10 lat więzienia dostałby swoją Kaori czy Rui. Lalki nie podpadają pod kodeks karny i prowadzenie się z taką „14-latką” to nie przestępstwo. Wystarczy wyłożyć gotówkę i poczekać cztery miesiące na dostawę.

Tacy klienci jak Mark kupują rocznie ponad 300 lalek nazywanych przez producenta Real Dolls. To już nie dmuchane zabawki znane z porno shopów, tylko realistyczne, miłe w dotyku postacie o ludzkich rozmiarach. Manekiny można układać w różnych pozycjach, zginać im ręce, a nawet palce. „Są jak śpiąca dziewczyna” – zachwalają towar producenci. W mniej romantycznych fragmentach zapewniają o wiernym odwzorowaniu kształtu i funkcji organów płciowych i ust, a także odbytu.

Kochanie, zrób lalę

Wszystko zaczęło się 10 lat temu w kalifornijskim San Marcos. Matt McMullen, artysta i producent manekinów, zdołał stworzyć niewielki, niespełna 30-centymetrowy model wykonany ze specjalnej odmiany silikonu. Zaczął robić większe modele. – Chciałem, żeby były plastyczne – powiedział w wywiadzie dla amerykańskiego magazynu „The Monk”. Cały czas jednak manekin McMullena miał służyć na wystawie sklepowej. – Ale ludzie wciąż pytali, czy z tym czymś da się uprawiać seks. Nawet moja żona sugerowała,

że powinienem stworzyć „lalkę do kochania”. Odpowiedziałem jej, że nikt nie zapłaciłby za nią tyle, żeby opłacało się ją wyprodukować – mówi.

Maile jednak nie ustawały. McMullen otrzymał pierwsze zamówienie. Warunek: lalka ma mieć wszystko na miejscu. Potem nadeszło drugie, trzecie, a w końcu sprzedawał po kilkadziesiąt lalek miesięcznie. Można z nimi oglądać telewizję, można je traktować jako dekorację i oczywiście uprawiać z nimi seks, choć wielu klientów skarży się, że to tak, jakby robić to z nieprzytomną kobietą. A inni, jak teleshowerman Howard Stern, zachwalają produkt. Stern dostał na tydzień lalkę Celine i uprawiał z nią seks przed widownią, wrzeszcząc, że jest lepsza niż kobieta.

Osobiście je testuję

Chęć stworzenia sztucznej kobiety, kochanki spełniającej wszelkie życzenia i perfekcyjnej towarzyszką życia, była od wieków obsesją futurystów, twórców i fantastów. Thomas Edison marzył o Hadaly, podobnym do człowieka tworze z metali szlachetnych. W lalkach gustowali artyści, a jeden z nich – wiedeńczyk Oskar Kokoschka – kazał sobie wręcz zrobić atrapę swojej porzuconej kochanki. Matt McMullen po prostu zrobił krok, który w zachodniej kulturze samotności musiał przynieść sukces komercyjny. A już zapowiada kolejny – chce, by jego Real Dolls szeptały do ucha i reagowały na dotyk partnerów. Nowy produkt będzie z pewnością bez zarzutu. – Osobiście testuję wszystkie swoje lalki – zapewnia McMullen. – Chcę wiedzieć, że klienci odczuwają maksimum satysfakcji.

Jak prawdziwa miłość

Jego strona internetowa oferuje 15 podstawowych typów lalek z możliwością niezliczonych modyfikacji, w tym jedną męską. Są ulubioną zabawką bogatych fetyszystów, miłośników wymyślnego onanizmu, wstydlivych samotników i facetów mających problem z przedwczesnym wytryskiem. Niektórzy wydają fortuny na kupowanie lalom luksusowych ubrań i bielizny. Niektórzy ukrywają swoje lale przed oziębłymi żonami. Inni namawiają na seks grupowy. Francuski dziennikarz, który parę lat temu objechał Stany w poszukiwaniu właścicieli lalek, najczęściej natrafiał na samotnych, zagubionych ludzi o złamanym sercu. Ci mężczyźni, wcale nie najbogatsi, wspominali swoje chore, traumatyczne związki z kobietami, a o życiu z Real Doll opowiadali z podnieceniem, jak o pierwszej miłości.

Biznesmen McMullen dostrzega jednak różnicę między rzeczywistością i wyobraźnią. Zapytany, czy jego lalki mają duszę, odparł zażenowany: – Nie. To tylko lalki.

MAREK BAŁUTA

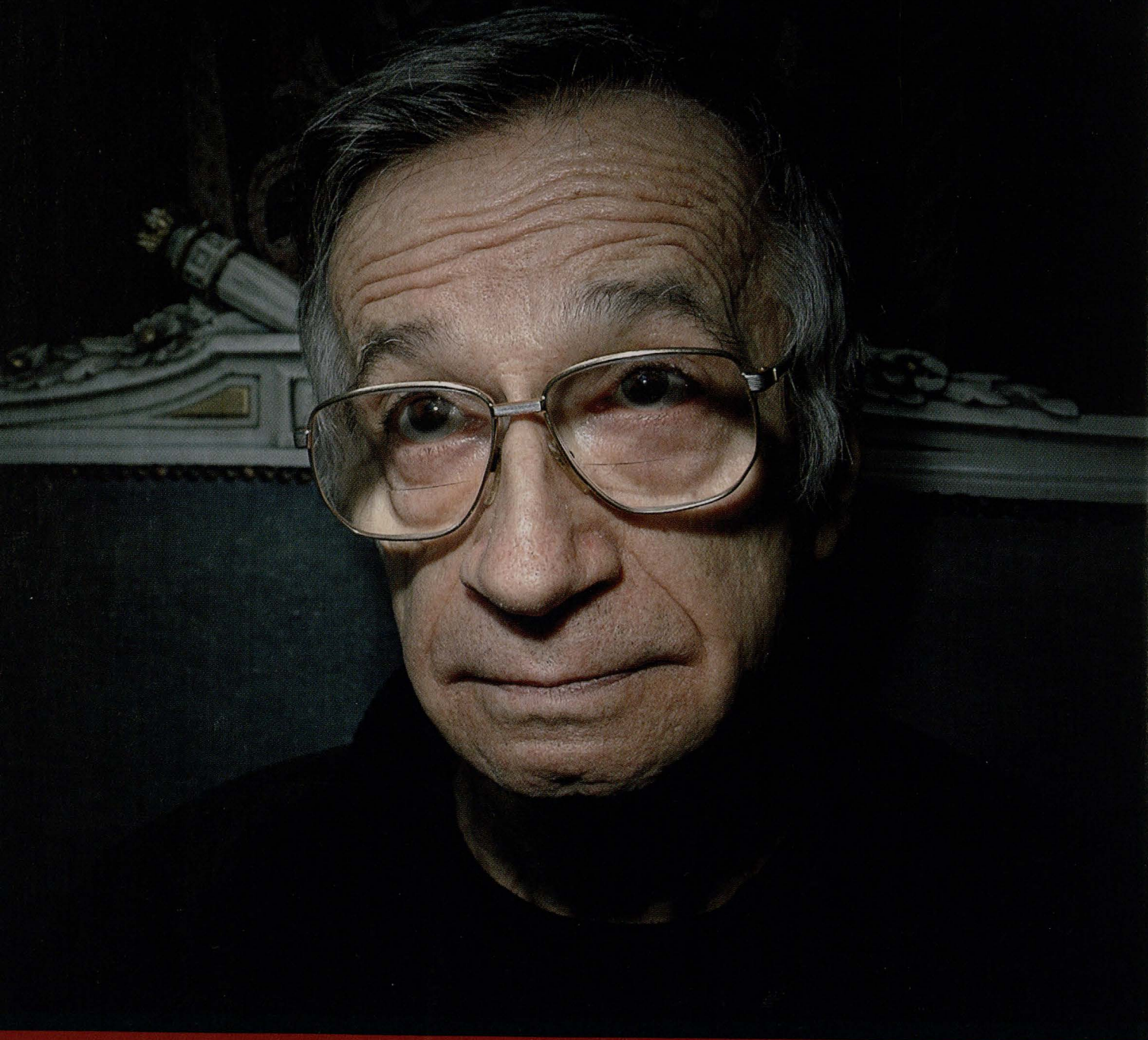
KORZYSTAŁEM Z PUBLIKACJI W „LIBÉRATION”



Lalka Lily zainspirowała właściciela do napisania powieści. Pewnego dnia spełnił swoje marzenie: posadził Lily przed ołtarzem i złożył jej ręce do modlitwy

Lalka o imieniu Sidore gra ze swoim chłopakiem w gry wideo. – Robimy ze sobą wszystko – mówi jej partner

KOLEGA KIEROWNIK Z JEDYNKI



Informacje o długich rękach braci Kaczynskich sięgających aż do telewizji są kawką
dziennikarską – JACEK FEDOROWICZ odszedł z TVP sam, zmęczony współpracą z ludźmi
chcącymi przypodobać się nowej władzy. Dużo bardziej przejmują się jednak tym, że nowa
władza za mało uwagi poświęca reformom gospodarczym

Wiem, że znajduje pan w swojej nowej sytuacji też dobre strony
Pierwszy urlop po 11 latach.

Wreszcie nie będę miał obowiązku wielogodzinnego siedzenia ze
wrokiem utkwionym w telewizor.

Nie smuci pana, że urlop przytrafia się akurat w czasie, kiedy nową
władzę byłoby łatwo i przyjemnie obśmiewać?

Czas nie może być specyficznie dobry lub specyficznie zły do tego,
żaby władzę komentować.

A sama nowa władza?

Na razie nie jest taka wspaniała do krytykowania, jak pan zasugero-
wał w pytaniu, ponieważ w jakimś sensie sama się podkłada. To znaczy
czasami łatwiej by było tę władzę zacytować, niż karykaturować. Jestem
z wykształcenia artystą malarzem i rysownikiem, więc użyję takiego oto
porównania: nie jest łatwo karykaturzyć, jeżeli model sam w sobie ma
wiele cech karykatury. Oczywiście mam tu na myśli władzę niespersoni-
fikowaną, bez żadnych konkretnych nazwisk, tylko jako całość. Mówiąc
to, wyobrażam sobie pana Leppera...

Który jest już dla pana władzą?

– Już tak.

A jak się panu podobał ten gest buntu dziennikarzy sejmowych wobec
nowej władzy? Przypomnijmy, że w czwartek dziennikarze wyszli z konfe-
rencji PIS, LPR i Samoobrony, kiedy dowiedzieli się, że samo podpisanie
paktu stabilizacyjnego mogła transmitować tylko telewizja ojca Rydzyka.

Podobał mi się i mówię to z całą mocą i pewnością. Bojkot poczynił
władzy, a właściwie nie bojkot, tylko rezygnacja z relacji z konferencji pra-
sowej, jest reakcją idealną. W Radiu TOK FM usłyszałem taką na przy-
kład zapowiedź (cytuje z pamięci): odbyła się konferencja prasowa Prawa
i Sprawiedliwości, na której nie padło nic tak interesującego, żebyśmy
mogli to państwu zrelacjonować. Uważam, że to jest bardzo dobra reak-
cja na dzielenie prasy na tę słuszną i niesłuszną.

Ta reakcja może rzeczywiście dobrze puentowała poczynania polity-
ków, ale wydaje mi się, że dziennikarze zachowali się trochę jak obrażo-
ne dzieci, którym ktoś zabral zabawkę, jaką lubili się bawić. Bo jeszcze
tygodnie temu, miesiąc temu z przyjemnością podstawiali mikrofon
Jerzysławowi Kaczyńskiemu, kiedy chciał powiedzieć, że Rokita albo
Rokosz są chorzy na szok wyborczy, i natychmiast biegli do Tuska i Roki-
ty po ripostę. Zachowywali się tak, jakby byli pełnoprawnymi graczami
w powstawaniu, a raczej niepowstawaniu koalicji. Role się tu trochę po-
mieszały. Są dziennikarzami, powinni na przykład dowiedzieć się, dla czego
tak się stało, kto to załatwił i co się za tym kryje, i to powinni zrela-
cjonować telewidzom i radiosłuchaczom.

To są dwa odrębne tematy. Pierwszy to w ogóle działalność mediów,
na przykład to, czy reporterzy robią słusznie, zestawiając różne wypowie-
dzi tak, jak gdyby osoby wypowiadające się rozmawiały między sobą,
uczestniczyły w dyskusji. To jest pewien rodzaj wypaczania rzeczywisto-
ści. A drugi temat to konkretne zachowanie w tamtej sytuacji. Pan mówi,
że media powinny zrelacjonować. Tak, zrelacjonowały wydarzenie, jakim
było niewpuszczenie części mediów na ważną uroczystość. To było wyda-
rzenie i to wydarzenie zostało przez media przekazane. Ja na własne oczy
w telewizji to widziałem.

A te późniejsze gesty, gremialne wyjście z sali, położenie mikrofonów
na podłodze w takim geście dziennikarskiego nieposłuszeństwa? Nie
wydaje się to panu trochę dziecinne?

To jest kwestia oceny samej formy tego gestu i czy on może być kon-
tynuowany, czy może mieć swoje dalsze konsekwencje. Czy można te me-
tody stosować dalej? Myślę, że nie, ale w tej konkretnej sytuacji rozu-
miem postępowanie tych reporterów.

Nie wydaje się panu, że przez ostatnie tygodnie metoda, którą pan
przez lata stosował dla satyrycznego efektu, ostatnio w swoim „Dzien-
niku telewizyjnym”, czyli wybieranie fragmentów czyichś wypowiedzi,
zestawianie z fragmentami innych wypowiedzi, przeniknęła do poważ-
nych mediów?

– Mnie się akurat taka metoda nie podoba, ale bądźmy sprawiedliwi,
to nie jest metoda dominująca. To się zdarza, ale ja bym nie robił z tego
generalnego, poważnego zarzutu. Mnie się podoba to, co się dzieje w te-
lewizji od strony reporterskiej. Co prawda sam czasem miałem ogrom-
ne pretensje, że stawałem przed kamerą, mówiłem kilka zdań, wydawa-
ło mi się, że wśród nich można było wybrać kilka sensownych słów,
a z reguły na antenie ukazywał się ten fragment, który ja bym odrzucił
w pierwszej kolejności. Ale trudno.

A jeżeli podobnie dzieje się z politykami?

– Być może tak, być może nie. Pewną chorobą, która wynika z popu-
larności i powszechności mediów, jest to, że dobrym politykiem jest ten,
który rano sobie wymyśli efektowną 10-sekundową – maksimum – wy-
powiedź poprzedzoną oddechem, zakończoną kropką. Nie ma dzien-
nikarza telewizyjnego, który by się nie połakomił na tak wspaniałą kąsek.
Po prostu bez cięcia, bez manipulacji mamy efektowne zdanie bardzo ła-
twe do użycia. I polityka w mediach zaczyna się sprowadzać do takich
autorsko-aktorskich zagrywek.

Może, ale bardziej przemawia do mnie zdanie: Politycy wieczorem
okłamują dziennikarzy, a rano czytają w gazetach te swoje kłamstwa
i już w nie wierzą, bo przeczytali to w gazetach.

To jest bardzo ładny żart, ale niedobrze by było, żebyśmy za pomocą
żartów definiowali rzeczywistość. Prawda jest, niestety, okrutniejsza. Poli-
tycy kłamią. Taka jest widocznie zła strona tego zawodu. Kłamią, bo mu-
szą, tak jak ta przysłowiowa matka kradła, bo musiała dla dziecka, tak on
kłamie, bo jest politykiem. Może to kiedyś minie. Może wyborcy staną się
bardziej podejrzliwi i będą umieli oddzielić tych polityków, którzy kłamią,
od tych, którzy mówią wyborcom rzeczy nie po ich myśli, ale prawdziwe.

Politycy mówią, że kłamią, bo wyborca nie jest w stanie prawdy przy-
jąć, więc oni kłamią dla dobra wyborcy.

– Raczej dla dobra własnego, bo dzisiaj wyborcę jeszcze łatwo oszu-
kiwać.

Nowa władza dużo mówi o wartościach i własnej cnocie. Zamierza
ich aktywnie bronić w sferze publicznej. Myśli pan, że to spowoduje
zmniejszenie się sfery swobody, wolności słowa, że zaczniemy się też
bardziej autocenzurować?

Dochodzimy do tego, co się stało, i nie ma co owijać w bawełnę, że
gdyby nie nagle awantura o mój program, to pewnie nie miałbym za-
szczytu gości tu pana, czyli redaktora naczelnego tygodnika, który ro-
bił ze mnie inteligenta, kiedy pana jeszcze na świecie nie było.

Rozumiem, że robił z dobrym skutkiem.

Dziękuję za komplement. Był taki tytuł w gazecie „Wylali Fedorowi-
cza za żart o Kaczyńskich”. To nie jest prawda. Telewizja postanowiła
zdjąć z anteny mój program, uznając, że on już się „skończył”, że ma
za małą oglądalność. Któryś z szefów telewizyjnych użył sformułowania,
że oglądalność dramatycznie spadała, ale to nie jest prawda. Dramatycz-
nie spadła raz, kiedy program został nagle przerzucony na inną godzinę.
Miał oglądalność moim zdaniem jeszcze znośną, ale telewizja absolutnie
miała prawo uznać, że jest za mała. Telewizji miał prawo się program
przestać podobać, telewizja ma go prawo zdjąć i w momencie, kiedy mi
zakomunikowano, że program spada z anteny, ja się z tym zgodziłem bez
dyskusji. Ustaliliśmy, że ostatni odcinek idzie 10 lutego i równocześnie
dostałem propozycję, żeby poprowadzić program „Pociąg do kultury”
– taki przegląd wydarzeń kulturalnych, czyli dostałem propozycję pracy,
pozostania na antenie, tyle że nie w moim programie, tylko w cudzym.

I nie o polityce.

– I nie o polityce. Ale nie wietrzę w tym spisku. Powiedziałem, że się
zastanowię, i brałem pod uwagę taką możliwość, że przecież trzeba za-
stosować płodozmian, bo ja jestem już śmiertelnie zmęczony programami
z udziałem polityków, robiłem je 11 lat. Poprosiłem o dwutygodnio-
wy namysł. I trzeba trafiać, tydzień później – nagle – kolejną ingerencję
w mój program wykonał szef redakcji rozrywkowej Jedyńki, kolejną, dla-
tego że on już od paru miesięcy starał się być współautorem mojego

programu. Bez przerwy miałem nakazy, a to zdjąć, a to przemon-
tować, a to za długie, a to za krótkie. Moim zdaniem on ma prawo
przyjąć mój program albo go odrzucić. Natomiast nie może bez prze-
rwy robić siebie współautorem tego programu. Może to było z czystej
życzliwości wobec programu, nie wiem.

Może ambicje artystyczne?

– Może, to pan powiedział, nie wiem. W każdym razie ja bardzo dłu-
go to znośłem, ponieważ odbiorca decyduje. Ja nie robię tego dla sie-
bie, robię to dla kogoś, robię to dla ludzi siedzących na widowni albo
ludzi siedzących przed telewizorami, ludzi siedzących w kinie. I kiedy
wychodzę na estradę i coś mówię, a widownia milczy, to ja nie mam
pretensji do widowni, tylko mam pretensję do siebie. Podchodziłem
do tego pana jak do widza, no, niestety, jedyne widza, który decydo-
wał o tym, co ma być w programie, a co nie, według swojego własnego
gustu. Godziłem się z tym bardzo długo, aż wreszcie tydzień po rozmó-
wie, że program spada, on mi kazał wyciąć długą piosenkę, niesłycha-
nie pracochłonną – dwa dni to robiłem. Mówi, że niedobra. Wyciął, ale
wtedy ja powiedziałem „nie”, nie przyjmuję żadnych propozycji, które
by mnie nadal podporządkowywały temu człowiekowi, a tamten pro-
gram kulturalny był właśnie robiony w jego redakcji. Teraz ludzie pyta-
ją: dlaczego on zdjął? On mówi, że piosenka słaba. Ja jako autor nie bę-
dę wyrokował, czy ona była słaba, czy nie. Mnie się wydaje, i można
sprawdzić na taśmie, że nie odbiegała poziomem od wszystkich innych.
Może wszystkie inne też były do niczego, ale ta akurat poziomem nie
odbiegała. Przypadkiem tak się trafiło, że był to jedyny moment, gdzie
w programie pojawiali się bracia Kaczyńscy. Osobiście jeden z nich
wtrącał się – moją starą metodą – do piosenki swoimi tekstami. Wobec
tego miałem prawo podejrzewać, że do różnych ingerencji typu arty-
stycznego teraz będą dochodziły ingerencje typu politycznego. Zresztą
nie była to pierwsza taka interwencja, już kiedyś musiałem zrezygnować
z Marcinkiewicza, który wznosił oczy do nieba, i ja z tego w programie
wynioskowałem, że on bezpośrednio się zwraca...

Jest takie podejrzenie...

– I z tego musiałem zrezygnować. I kiedyś z czegoś o Kurskim. Miałem
więc prawo podejrzewać, że nic już w tej redakcji, u tego pana nie
będę mógł zrobić, i powiedziałem „dziękuję”. Więc nie wylał Fedoro-
wicz, tylko Fedorowicz sam odchodzi, bo dalej nie chce.

Pańskim zdaniem satyra na coś może się przydać tej władzy?

– Och, to jest pytanie niegodne redaktora naczelnego tygodnika
„Przekrój”.

Chętnie się poniżam.

– Każda satyra wobec każdej władzy ma taką samą rolę, przy czym ja
nie przeceniam satyry jako tak zwanego bicia. To nie jest prawda, że
można kogoś skutecznie wyśmiać i za pomocą wyśmiania zmienić poglą-
dy jego zwolenników. Byłem zawsze zwolennikiem Balcerowicza. Nigdy
nie byłem zwolennikiem rządu Pawlaka. I kiedy mówiłem publicznie ja-
kiś żart na temat Pawlaka, to przeciwnicy Pawlaka się śmiali, a zwolen-
nicy byli oburzeni. Czy ja coś tą satyrą załatwiłem? Nic. Zupełnie inna sy-
tuacja była wtedy, kiedy istniała prawdziwa cenzura. Wtedy rzeczywiście
pewnych rzeczy nie można było powiedzieć nigdy, nigdzie, w żadnych
okolicznościach. Nie to było niesłychanie ważne, żeby ludziom objawiać
jakąś prawdę, ona była im znana, tylko ważne było, by dawać im do zro-
zumienia, że jest ktoś, kto myśli tak samo. To było – podkreślam węży-
kiem – ważne, żeby obywatel PRL siedzący przed telewizorem i bombar-
dowany przez propagandę nie myślał, że w swoim sprzeciwie jest sam.

Zadałem to banalne pytanie o władzę, bo zastanawiam się
nad tym, czy czasem ta władza...

– Ja cały czas mówię, a pan myślał.

No tak, mam swoje ograniczenia.

– I swoją ambicję.

Powściągnę ją i postawię taką tezę: ludzie tej władzy, chyba jak
żadnej innej dotąd, uważają się za wielkich naprawiaczy, za herosów,
którzy muszą ten kraj wyciągnąć z nie wiadomo czego, którzy chcą
nas uratować. Obawiam się więc, że satyrę na siebie będą traktowa-
li jak atak na zbrojne dzieło, czyli niemal jak świętokradztwo.

– Można się tego obawiać, natomiast nie chciałbym, żeby mój przy-
padek był sztucznie podłączany do tej tezy. Chcę być obiektywny. Nie

JACEK FEDOROWICZ
MA 69 LAT. JEST
SATYRYKIEM, AKTOREM,
SCENARZYSTĄ.
UKOŃCZYŁ MALARSTWO
W GDAŃSKIEJ
PAŃSTWOWEJ WYŻSZEJ
SZKOLE SZTUK
PLASTYCZNYCH.
JAKO AKTOR
ZADEBIUTOWAŁ
W STUDENCKIM TEATRZE
BIM-BOM W GDAŃSKU,
W 1960 ROKU ZAGRAŁ
W „DO WIDZENIA,
DO JUTRA” JANUSZA
MORGENSTERN.
OD LAT 60. – Z PRZERWĄ
NA OKRES STANU
WOJENNEGO
– WSPÓŁTWORZY
PROGRAMY ROZRYWKOWE
W TELEWIZJI I RADIU
(MIĘDZY INNYMI SŁYNNIE
„60 MINUT NA GODZINĘ”).
– NIE NAPISZĘ OPERY,
BO NIE MAM SŁUCHU,
NIE BĘDĘ TEŻ
WYSTĘPOWAŁ W BALECIE,
NATOMIAST CAŁA RESZTA
STOI PRZED MNA
OTWOREM – MAWIA.
BYŁ WSPÓŁAUTOREM
WYDANEGO W LATACH 80.
W DRUGIM OBIEGU
KOMIKSU „SOLIDARNOŚĆ
– 500 PIERWSZYCH DNI”.
W 1987 ROKU OTRZYMAŁ
NAGRODĘ SOLIDARNOŚCI
ZA KRAŻĄCE W PODZIEMIU
AUDYCJE WYKPIWAJĄCE
REŻIM STANU
WOJENNEGO – MIĘDZY
INNYMI PARODIE
DZIENNIKA
TELEWIZYJNEGO.
Z TELEWIZYJNEJ RAMÓWKI
ZNIKNAŁ OSTATNIO JEGO
PROGRAM „SEJF”.
FEDOROWICZ
ZREZYGNOWAŁ
Z PRODUKCJI „SEJFU”
PO KOLEJNEJ
MERYTORYCZNEJ
INGERENCJI
KIEROWNICTWA JEDYNKI
W TREŚĆ TEGO
SATYRYCZNEGO
MAGAZYNU.

byłem w żadnym Komitecie Wyborczym, nie biorę udziału w grze
politycznej, chcę stać sobie z boku i uczciwie komentować, uczci-
wie czerpiąc z własnych obserwacji.

Nie stawiam pana na cokole jako pierwszego męczennika no-
wej władzy.

– Oj, to dziękuję.

Ale o tej władzy chciałbym z panem rozmawiać, bo mamy pierw-
sze podstawy do niepokoju, kiedy Jarosław Kaczyński mówi, że je-
śli jakieś media podają, że to nie Platforma Obywatelska w stu pro-
centach jest winna niepowstaniu koalicji PiS i PO, to te media są
nierzetelne, nieobiektywne, kłamliwe. Widzę w nim taki „święty
ogień”, który każe mu wszystkich tych, którzy się z nim nie zg-
dzają albo z niego śmieją, nazywać złymi ludźmi. A równocześnie
jego brat prezydent, nominując nową szefową KRRiI, ogłasza, że
ona przypilnuje obiektywności mediów elektronicznych, czyli przyp-
ilnuje, żeby między innymi wszyscy mówili, że to PO etc., etc.

– Zobaczymy, co będzie dalej, ale myślę, że jest się czego oba-
wiać, ponieważ to, co pan tak barwnie opisał, ma swoje czyste
praktyczne konsekwencje. Nagle powstaje jakiś przedziwny skład
Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, z przedstawicielem Samo-
obrony, nagle pojawiają się w telewizji oznaki, że ktoś chce na wy-
pródkę zgadywać intencje władzy, która przecież będzie dawać,
nagradzać, zabierać, kopać, czyli robić to, co zwykle władza robi,
wobec czego już stara się przewidzieć intencje tej władzy i stara jej
się przypodobać. I to jest smutne. A najsmutniejsze jest to, że się
zajmujemy tym właśnie, a nie tym, że potrzebna jest – do ja-
snej cholery – reforma finansów państwa, że – do jasnej cholery
– jeżeli gospodarka nie ruszy z kopyta, to nie dogonimy Zachodu,
że – do jasnej cholery – jeżeli będą miauczeć o konieczności zlikwi-
dowania Rady Polityki Pieniężnej, to w ogóle może nastąpić krach
argentyński! To są poważne problemy. A tym nikt się nie zajmuje,
tylko cały czas jesteśmy świadkami gry politycznej.

Kolega Kierownik, pański bohater z PRL, mówił językiem
PRL-owskiej władzy. A jakim językiem mówi ta władza?

– Jeszcze się nie zdobyłem na syntezę, ponieważ oni są zbyt barw-
ni, nie mam wspólnego mianownika. Jedyna obserwacja, ale nie lin-
gwistyczna, jest z dziedziny „pijarowskiej”. Coraz więcej partii robi
swoim posłom szkolenia, ćwiczy ich. Niech pan zwróci uwagę, że
posłowie PiS odpowiadają dokładnie tak, jak gdyby na ileś pytań
mieli przygotowane odgórnie odpowiedzi. Każda odpowiedź
na każde pytanie zaczyna się od tego, że Platforma Obywatelska nie
wysłała jeszcze z szoku po przegranych wyborach – a w miejsce „Plat-
forma” można wstawić ewentualnie „Tusk” albo „Rokita”. I przy róż-
nych wydarzeniach wszyscy natychmiast dostają obowiązującą od-
powiedź. Kiedyś to robił PSL, oni chyba pierwsi na to wpadli.

Teraz ma pan dużo wolnego czasu, myśli pan, że ta władza mo-
głaby pana zmobilizować do bardzo aktywnego włączenia się
w dyskusję publiczną?

– To jest bardzo trudne w przypadku, przepraszam za wyrażenie,
artysty. Artysta miewa najpoważniejsze kłopoty z samym sobą.
Wstaje rano i myśli: rany boskie, wpadnie mi jakiś pomysł do głó-
wy czy nie wpadnie, wpadnie, nie wpadnie. Znając tego artystę
od 50 lat, wiem, że w tym stanie ducha i wyczerpania to nie ma co
marzyć, żeby mu pomysł wpadł do głowy natychmiast. Więc ża-
dna nadzwyczajna mobilizacja nie wchodzi w grę. Mobilizacja mo-
głaby polegać na tym, żeby mi ktoś zapewnił miesiąc pobytu w Au-
stralii albo jeszcze lepiej w Nowej Zelandii – bo dalej.

Co takiego jest w tych krajach?

– To daleko i zupełnie inaczej. W Australii przeżyłem szok. Dru-
giego czy trzeciego dnia siedzę sobie na balkonie, rozkoszuję się
pięknem tego kraju i nagle coś mnie zaczyna niepokoić, taki jakiś
zwierzęcy niepokój. Wreszcie rozumiem: słońce, do którego kie-
runku ruchu przyzwyczaiłem się przez prawie 70 lat, idzie w od-
wrotną stronę. Nie ma pan pojęcia, jakie to wrażenie.

ROZMAWIAŁ PIOTR NAJSZTUB
WARSZAWA, 5 LUTEGO 2006 R.

www. chcesz wynajac lokal na bank.pl

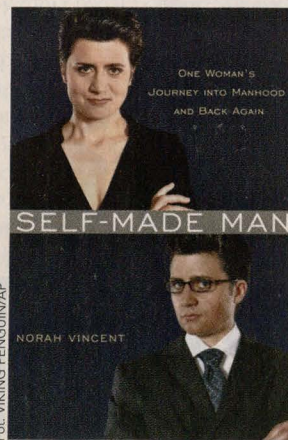
Nawet jeżeli kryteria Twoich poszukiwań są wyjątkowo
wymagające, sprostamy im z łatwością. Precyzja naszych
wyszukiwarek nie ma sobie równych, a baza naszych
kontaktów firmowych należy do najlepiej
zaopatrzonych i najszybciej aktualizowanych.
Spróbuj i przekonaj się, jak szybko
i precyzyjnie szuka się na **www.pkt.pl**

 **pkt.pl**

Polskie Książki Telefoniczne

NORAH VINCENT
Mężczyzną być

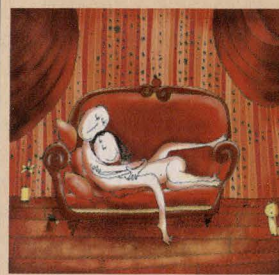
Amerykańska dziennikarka Norah Vincent na 18 miesięcy wcieliła się w mężczyznę o imieniu Ned. Swoje wrażenia opisała w książce „Self-Made Man”. A książkę zadeptykowała swojej partnerce, dzięki której mogła przetrwać ten trudny czas. Norah była do tej pory męską kobietą w związku lesbijskim, okaza-



Fot. VIKING PENGUIN/AP

ło się jednak, że bycie prawdziwym mężczyzną to zupełnie co innego. Norah, żeby zmienić się w Neda, nosiła garnitury, sztuczny zarost i sztuczny penis, ćwiczyła na siłowni i wzięła nawet kilka lekcji męskiego slangu. Pracowała w męskiej firmie jako sprzedawca, chodziła z kumplami na piwo, do barów ze striptizem, umawiała się z kobietami na randki (wydawały jej się nudne) i nawet przebywała przez jakiś czas w męskim klasztorze. Jej wnioski są niewesołe: współcześni mężczyźni są zamknięci w swoich rolach i maskach, granice tego, co jest akceptowalne jako męskie, są sztywne, w przeciwieństwie do kobiecości, która nie jest tak jasno określona. – W naszym postfeministycznym społeczeństwie o wiele lepiej być kobietą – uznała Norah. Planuje w przyszłości napisanie książki o szpitalu psychiatrycznym, ale płci już zmieniać nie będzie. (JS)

ANDRZEJ TYLKOWSKI
Kartka nie od święta



– Nigdy nie chodziło mi o biznes, ale o możliwość rysowania tego, co dla mnie w życiu ważne. Do dziś nie sprzedajemy kartek w supermarketach – mówi Andrzej Tylkowski, który wydawnictwo Ilustris założył ze swoją przyszłą żoną 10 lat temu w małym mieszkaniu we Wrocławiu. – Zaczęło się od intymnych historii, które dla niej rysowałem. Kasia zaczęła je pokazywać znajomym, a jeden z nich odbił rysunki na ksero i zaniósł do galerii. Sprzedały się od ręki – wspomina Tylkowski. Dziś wydawnictwo Ilustris jest jednym z liderów na rynku pocztówek. Na koncie ma już około tysiąca wzorów, swoje kartki wysłała do Wielkiej Brytanii, Niemiec, USA. Prosty i radosny styl stał się rozpoznawalny nie tylko w branży – autor w całym kraju zyskał grono wielbicieli, którzy kolekcjonują wszystkie jego prace. Cenią go za to, że nie ulega modom. – Nie staram się tworzyć kartek na specjalne okazje. Chcę, by pocztówka zaistniała w świadomości ludzi pomiędzy ważnymi świętami. To jedyna szansa, by tego rynku nie zabiły SMS-y – mówi Tylkowski.

Największy dylemat Tylkowskiego właśnie nadchodzi. – To trudna chwila, gdy przychodzi narysować serce z okazji Walentynek. Przecież wszystko, co rysuję, w jakimś sensie dotyczy miłości – mówi. W tym roku Tylkowski z twardymi zasadami rynku poradził sobie w wyjątkowy sposób. Stworzył walentynkowy kalendarz z hasłem przewodnim: „Co para ludzi może ze sobą robić”. (SZCZEP)

HENRYK BATUTA Żył 15 miesięcy

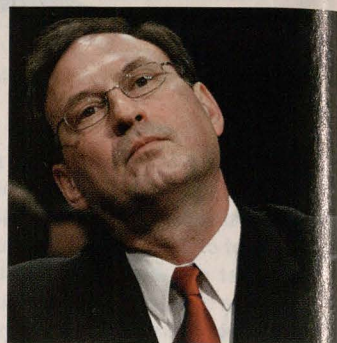
Był polskim komunistą, więźniem Berezki Kartuskiej i członkiem stalinowskiego Związku Patriotów Polskich. Zginął z ręki UPA. To jemu poświęcona jest ulica Batuty na warszawskim Śłużewie i na nim Ernest Hemingway wzorował się, tworząc postać Karkowa w „Komu bije dzwon”. Tyle można było przez 15 miesięcy przeczytać o Henryku Batucie (1898–1947) w polskiej Wikipedii. Teraz na serio – Henryk Batuta nigdy nie istniał. To hoax, który kopiowany beznamiętnie przez autorów licznych stron internetowych doczekał się 86 wzmianek w wyszukiwarce Google, a jeden z antysemickich sajtów ośmieszył się, umieszczając go na liście „Żydów o zmienionych nazwiskach” i zarzucając, że w Hiszpanii „mordował katolików”. W ubiegłą niedzielę autorzy hasła o Batucie przyznali się do intelektualnej prowokacji. „Jej ce-



Spokojnie! To też żart. Tabliczkę zrobić łatwo, a ta ulica nazywa się po prostu Batuty

lem była kpina z tego, że wiele ulic w Polsce wciąż nosi nazwy osób i instytucji tego niegodnych” – napisała grupa autorów ukrywająca się pod szyldem Armii Batuty (AB). AB podaje przykłady pobliskich ulic Związku Walki Młodych czy Wincentego Rzymowskiego i zapowiada kolejne akcje. (MB)

O hoaksach i innych słynnych przykładach fałszywych informacji piszemy na stronie 48.

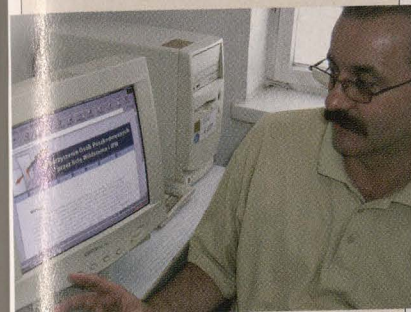


SAMUEL ALITO
Sędzia straszy konserw

Amerykański sąd najwyższy ma nowego sędziego. Samuel Alito nominowany przez George’a W. Busha wzbudził popłoch w środowiskach liberalnych i naukowych. 55-letni katolik znany jest z niechęci do nadmiernego szacunku dla wolności jednostki. Takie poglądy zdobywają coraz większą popularność w sądzie najwyższym USA – hołduje im między innymi John Roberts, nominowany pół roku temu. Wyraźne odchylenie się do stronnictwa poglądów konserwatywnych to nie tylko sprawa Ameryki. O ile kwestie związane na przykład z legalnością aborcji czy prawem do nauczania tak zwanej teorii inteligentnego projektu to sprawy wewnętrzne USA, o tyle decyzje w kwestii prawa patentowego dotyczą całego świata. Jeśli to sąd najwyższy będzie decydował, czy firmy biotechnologiczne w imię prawa patentowego mogą ograniczać dostęp do swoich odkryć, konsekwencje takich wyborów mogą mieć znaczenie, gdy będzie się toczyła walka o szczepionkę na wyjątkowo niebezpieczną chorobę. (PSTAN)

RYSZARD KOŚC
Pokaże Wildsteinowi

– Ja wiem, jak to jest, jak ktoś jest niesłusznie oskarżony – mówi „Przebiegaj” radny SLD z Legnicy, 47-letni Ryszard Kość, założyciel stowarzyszenia Czarne Szerszenie, które ma pomagać osobom poszkodowanym przez Bronisława Wildsteina i Instytut Pamięci Narodowej. Przed Sądem Okręgowym w Warszawie toczy się proces cywilny, który Kość wytoczył



Fot. KAROL WĘGLEWSKI

Wildsteinowi i IPN po tym, gdy znalazł swoje nazwisko na „liście Wildsteina”. Choć, jak się okazało, chodziło o kogoś innego, Ryszard Kość chce udowodnić, że pomyłka nadzarpnęła zaufanie wyborców do niego i naraziła go na nieprzyjemności.

Stowarzyszenie Czarne Szerszenie, które ofiarom „listy” ma zapewniać pomoc prawną i opiekę psychologiczną, nie jest jeszcze zarejestrowane, ale radny Kość twierdzi, że przyjdzie na to odpowiedni moment. – Teraz nie chcę ulec prowokacji. Zawiesiłem działalność stowarzyszenia na czas procesu – wyjaśnia samorządowiec i dodaje: – Paradoks polega na tym, że mam większy szacunek dla ubeka, który mnie przesłuchiwał, niż dla Wildsteina. (ACH)

Prezydent nie Zelig

Czym prezydentem jest prezydent? Każde dziecko wie – wszystkich Polaków. Ale czy słusznie oczekujemy, by chciał się przypodobać tym, którzy go nie lubią?

Slogan jak slogan, brzmi ładnie, lekko patetycznie i nie jest zbyt mądry. Ale slogan wcale mądry być nie musi. Gorzej, jeśli w durne hasło zaczyna się wierzyć.

Co idzie za mgławicowym żądaniem, żeby prezydent dogodził wszystkim Polakom? Wyłącznie to, żeby wypiął się na swoich wyborców i schlebiał tym, którzy na niego nie głosowali. To, czy działa zgodnie z poglądami swych oponentów, jest testem na jego – przepraszam za wyrażenie – wszechpolskość.

To oczywisty absurd. Ale absurd, który zakorzenił się w Polsce. Głowa państwa zbiera w naszym kraju pozytywne recenzje dopiero wtedy, gdy „wychodzi” poza swój obóz polityczny. Takiego wyjścia oczekuje się obecnie od Lecha Kaczyńskiego. Będzie dobrym prezydentem, gdy udowodni, że nie jest związany z obozem politycznym, który go wyniósł do władzy. Prezydentem wszystkich Polaków stanie się wtedy, gdy odwróci się od tych Polaków, którzy go popierali i na niego głosowali.

Choć Kaczyński i tak ma łatwiej niż jego poprzednicy. W jego wypadku wystarczy, że odejść od jednego człowieka, który mu zaufał – od brata Jarosława. Gdyby Lech zesłał Jarosława na galery, a potem realizował wszystkie jego pomysły, i tak awansowałby na prezydenta wszystkich Polaków. Lech Wałęsa już tak dobrze nie miał. Musiał zdradzić cały swój obóz polityczny, wspierać lewą nogę, kopać prawą, a w dodatku spuścić wodę za przyspieszeniem, dekomunizacją i stoma milionami dla każdego. Dopiero wtedy okazało się, że to prezydent nas

wszystkich. Nielatwo miał też Aleksander Kwaśniewski – pupilek lewicy musiał bronić ustawy antyaborcyjnej i jeździć z papieżem w papamobile, by zostać pupilkiem całej reszty.

Wymagamy od naszej głowy państwa, żeby była Zeligiem – postacią z filmu Woody’ego Allena dopasowującą się do osoby, z którą akurat przebywa. Żeby nie miał własnego zdania i skupiał się na przypodobaniu tym, którym się nie podobają. Z Tuskiem rozmawiał po kaszubsku, z Michnikiem chwalał generała Jaruzelskiego, a przyjmując na salonach zespół Virgin, upodabniał się do Radka Majdana, w którym gustuje Doda. Natomiast nigdy, w żadnym momencie pełnienia swej służby, prezydent Kaczyński nie powinien mieć w sobie nic z Kaczyńskiego.

Dziwne, że od obcych prezydentów nikt nie domaga się tego, by przestali być sobą. Demokraci w Ameryce nie żądają od Busha, by – skoro wygrał wybory – zwiększył podatki. Francuscy socjaliści nie twierdzą, że Chirac stanie się prezydentem wszystkich Francuzów dopiero wtedy, gdy znacjonalizuje resztki tego, czego jeszcze nie znacjonalizowano. Widać w Ameryce i Francji mają mniej bystrzych publicystów niż my.

Czy zatem hasło „prezydent wszystkich Polaków” zupełnie nie ma sensu? Ma, ale inny, niż mu się przypisuje, co pokażę na przykładzie Aleksandra Kwaśniewskiego. Jako głowa państwa wbrew poglądom swoim i lewicy blokował ustawę aborcyjną, ale uniewinnił swojego partyjnego kumpla. Prezydent wszystkich Polaków powinien uczynić odwrotnie – wyprzeć się nie poglądów i wyborców, ale kolegi.

IGOR ZALEWSKI



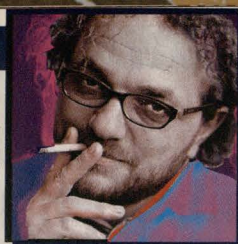
Fot. BOGDAN KRZEL

Pozwól na stronę

Odwiedź Wirtualny Salon BMW
www.bmw.pl/bmw2005

Końcówka rocznika 2005 na wyjątkowych warunkach





Wiosna średniowiecza

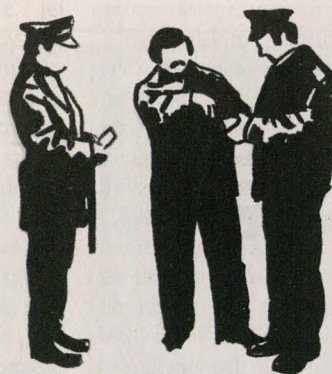
Porywanie ludzi i podpalanie ambasad (z żywymi ludźmi w środku) jako odpowiedź na zadrukowaną rysunkiem stronę w gazecie? Przeciętny Polak musi powiedzieć o tym: szaleństwo. Powie i już jest porywany przez media w inne strony świata, żeby na końcu wylądować na Wiejskiej i podglądać przez dziurkę od klucza Telewizję Trwam. Religia, o różnym natężeniu fundamentalizmu, coraz bardziej nas otacza. I dotyka, o czym przekonał się naczelny „Rzeczpospolitej”, który – jak sądzę – nie chciał wypowiadać się w sprawach religijnych, a teraz okazuje się, że bezpardonowo zaatakował polskich muzułmanów. Na dodatek nie chcą się oni modlić o to, by zbliżyć się do jedyne Boga, co byłoby zrozumiałe u osób głęboko wierzących, ale chcą, żeby zwykły sąd (a nie nawet sąd boży) ukarał naczelnego za obrażenie ich uczuć religijnych.

Ludzie wierzący w różnych bogów domagają się od niewierzących, żeby mówili i postępowali tak jak oni przede wszystkim wtedy, kiedy mówią o ich bogach. A niewierzący muszą się tych reguł nabożnego traktowania bogów, w których nie wierzą, nauczyć. Po to, żeby na przykład nie narazić się na wyrok albo krwawą zemstę takich czy innych fundamentalistów. Zaczynam mieć wrażenie, że zapowiedzi wojny cywilizacyjnej między bogatą północą a biednym południem, między chrześcijaństwem a islamem, między Wschodem a Zachodem muszą ustąpić przed wizją wojny między wierzącymi w Boga (bogów) i niewierzącymi w jakiegokolwiek boskość. Spór jest na dłuższą metę nie do rozwiązania, bo niewierzący nigdy nie zrozumie (poczucie), co tak naprawdę oznacza „obraza uczuć religijnych”, i w głębi ducha będzie uważał, że to jakaś hucpa i sposób na ograniczenie jego ekspresji i wolności wypowiedzi, a wierzący zawsze będzie patrzył na indyferentnego religijnie jak na kogoś gorszego, nieobdarzonego łaską wiary ani miłością jego Boga, kogoś, kto bez celu i bez sensu przeżywa swoje życie. Zresztą już samym takim obrazem Boga – tak na przykład uważają podpalający ambasad, a ich kapłani potrzebują tylko jakiegokolwiek, nawet karykaturalnego pretekstu, by wezwać do walki z niewiernymi.

Kodeksy karne krajów Zachodu chronią uczucia religijne i w wielu z nich symbole religijne i wizerunki przedmiotów kultu opuściły świątynie, meczety, zbory. Muszą więc koło nich przechodzić ateści, dla których one nic nie znaczą. I nic tu nie pomogą kodeksy. Konflikt jest nieunikniony. Choć teraz religia, jedna wsparta kodeksem, inna koktajlami Mołotowa, wygrywa. Wierzący powiedzą na to: „I Bogu dzięki”, a wojujący ateści: „Na co mi takie państwo?”.

PIOTR NAJSZTUB

MACIEJOWSKI



–PROSZĘ OKAZAĆ ZEZWOLENIE NA PRZEJŚCIE
PRZEZ CENTRUM MIASTA.

© MARCIN MACIEJOWSKI

Oświecenie kontra Mahomet

Wopublikowanej 10 lat temu książce Samuel Huntington postawił tezę, że w XXI wieku przedmiotem sporów nie będą ideologie, tylko kultura, a wojny toczyć będą nie państwa, tylko cywilizacje. Na Huntingtona spadła lawina krytyki, dopóki rzeczywistość, poczynając od 11 września 2001 roku, nie zaczęła potwierdzać jego tezy. Jednego tylko amerykańskiego politologa nie przewidywał: że do zderzenia cywilizacji rękę przyłoży Europa. I to nie ta staroświecka i tradycyjna, tylko postępową, rzekomo oświeconą.

Karykatury Mahometa nie były nikomu potrzebne. Nikt nie zabraniał ich druku. Wbrew dopowiadającym po fakcie intencjom nie zapoczątkują one konstruktywnej dyskusji o związkach między islamem a terroryzmem. Ta debata musi się odbyć w świecie muzułmańskim, a obrażanie uczuć religijnych wszystkich wyznawców islamu jej nie przyspieszy. Z pewnością natomiast przysporzy zwolenników mniejszości, dla której terror jest emanacją nauk Mahometa. Sprawa kompromituje w istocie Zachód – oburzając się na wywołany przez siebie gniew muzułmanów, Europejczycy obnażyli się jako zakłamani hipokryci, a niewypowiedziana pogarda dla wściekłych tłumów mówi więcej o naszym stosunku do świata islamu niż wszelkie deklaracje szacunku i tolerancji. Skoro nie chodziło o to, o co miało rzekomo chodzić, o co chodziło naprawdę? O demonstrację ponowoczesnego radykalizmu. Wolnością słowa posłużono się jak religijnym dogmatem – nie licząc się z niczymi uczuciami i aplikując ją z tym samym bezrefleksyjnym fanatyzmem, który przyświeca aktom terroru. Bo czym – na poziomie czysto intelektualnego zamysłu – różni się zamach od obrazoburczej karykatury proroka? Pod względem refleksji oba akty są równie ślepe, płytkie, krótkowzroczne i bezcelowe. Podczas gdy pierwszy przynosi natychmiastową śmierć niewinnych ludzi, drugi na pozór tylko obraża, ale w rzeczywistości szerzy niezrozumienie i pcha do nienawiści, która może znaleźć ujście w śmiercionośnym starciu cywilizacji. Religijne dogmaty i oświeceniowe wolności łączy jedno: mogą być przeżywane pięknie i nieść dobro; stosowane bezmyślnie – potrafią zniewalać i siać nienawiść. Jeśli przepowiednia Huntingtona kiedykolwiek się spełni, konflikt przetrwają te cywilizacje, które zdołają zrozumieć cudze świętości i wyzbędą się pokusy szermowania własnymi. Dotyczy to także Zachodu.

WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI

FOT. MAREK SZCZEPAŃSKI (2)



Rozgrzej się

Piwo kojarzy się z miłym chłodem w upalne dni. Tylko jak tu się teraz chłodzić, skoro na zewnątrz trzaskający mróz? Po lodowatym powrocie z pracy czy spaceru ma się raczej ochotę na coś gorącego. Herbata? A może jednak piwo, tyle że odpowiednio przyrządzone.

Przygotowanie grzańca nie jest wiele trudniejsze od zaparzenia kubka herbaty, a gwarantujemy, że taki napój dostarczy znacznie więcej przyjemności. Piwo Okocim Palone nie wymaga nawet szczególnego doprowadzania – jego unikalny, słodkawy, choć zawierający nutkę goryczy smak idealnie pasuje do rozgrzewającego, poprawiającego nastrój grzańca. Podgrzej piwo, pilnując by nie zaczęło się gotować i ciągle mieszając, wrzuć pozostałe składniki. Te dodatki znajdą się

w każdym domu – kilka goździków, szczypta pieprzu, nieco cytryny czy miodu wystarczą, by w kilka minut stworzyć niezwykłą kompozycję aromatu i smaku uwydatnionych miłym ciepłem. Gdy usiądziesz ze szklanką gotowego napoju, lepiej nie włączaj telewizora – do tego smaku znacznie lepiej pasuje spokojna muzyka i dobra książka. Spróbuj sam – my już sprawdziliśmy!

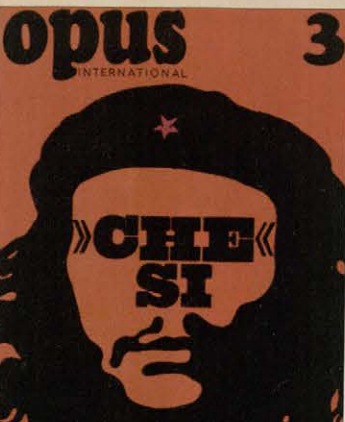


trzy szybkie...

Kto tyka Leppera – rozmowa z Leszkiem Millerem (SLD)

Polska szkoła z Paryża

Ponad 300 prac stworzonych na przestrzeni niemal 50 lat przez Romana Cieślewicza będzie można zobaczyć w Galerii Malarstwa i Rzeźby Muzeum Narodowego w Poznaniu. Grafiki, plakaty i fotomontaże to pełen przekrój twórczości jednego z najważniejszych polskich grafików drugiej połowy XX wieku. Retrospektywna wystawa jest związana z 10. rocznicą śmierci artysty. Cieślewicz (1930–1996), dziś uznawany za jednego z twórców polskiej szkoły plakatu, ostatnie 30 lat życia spędził w Paryżu. Oprócz prac pochodzących ze zbiorów własnych poznańskie muzeum zaprezentuje również dzieła pożyczone z muzeów francuskich. Okładki do magazynów „Polska” i „Ty i ja” będą sąsiadować z



Okładka projektu Cieślewicza. Obok jej autor w obiektywie Henri Cartier-Bressona

wały z ilustracjami i fotomontażami tworzonymi dla francuskiego wydania miesięcznika „Elle” (w którym przez cztery lata Cieślewicz pełnił funkcję dyrektora artystycznego) i dziennika „Le Monde”. Sporą atrakcją okaże się pewnie niepokazywany wcześniej w Polsce cykl grafik „Les dieux ont soif” wykonanych na zamówienie Drukarni Narodowej w Paryżu, a następnie wykorzystanych do zilustrowania książki Anatola France’a. Początek wystawy – 19 lutego, prace można oglądać do 2 kwietnia.

AK



ROBERT MAZUREK

- 1 Spotkał pana niesłyszany zaszczyt: jest pan jednym z dwóch polityków, z którymi Andrzej Lepper jest na ty.
– Nie wiedziałem, że to takie rzadkie wyróżnienie. Spadło ono na mnie przed laty. Sam mam taką plebejską skłonność do skracania dystansu, więc nawet nie zauważyłem, jak przeszliśmy na ty. Mogę do pana mówić „panie Robercie”?
- 2 Jasne, dotąd tak mnie nazywał tylko Marek Borowski.
– To rzeczywiście doborowe towarzystwo. Ale nie powiedział mi pan, kto jest drugi. Filipiek, Maksymiuk?
- 3 Stanisław Łyżwiński. Filipiek w ramach poufałości mówi „panie Andrzeju”, a Maksymiuk „szefie”.
– A „Panie Boże” nikt nie mówi?



LESZEK MILLER

150 PROCENT DLA KAŻDEGO

BUDOWANE JEST JEDNO NOWE WIĘZIENIE, W STARYCH NIE MA JAK DOPCHNAĆ NOWYCH OSADZONYCH. SYTUACJĘ MAJĄ RATOWAĆ PRZEBUDOWY ŚWIETLIC I DOSTAWIANIE W CELACH NOWYCH PIĘTER ŁÓŻEK

Wszystkie zakłady mają ponadstan. Ale niektóre mają 150 procent, a inne 112 procent wykorzystania pojemności – tłumaczy Luiza Sałapa, rzecznik służby więziennej. – Żeby to zrównoważyć, wysłaliśmy zalecenie w sprawie racjonalnego wykorzystania miejsc. Racjonalne ma być zajęcie na dodatkowe cele świetlic i sal gimnastycznych oraz dostawianie w piętrowych łóżkach piętra trzeciego. – U nas ten na samej górze

nie miałby czym oddychać – sprzeciwia się Mirosław Pakulski, dyrektor do spraw penitencjarnych Zakładu Karnego w Łowiczu. W więzieniu dla recydywistów w Łęczycy cele są co prawda wysokie na niemal pięć metrów, ale stropy na dodatkowe łóżko są za słabe. – Zresztą i tak w celach siedzi po 25 osadzonych. Jakby ich było 35, to w życiu nie opanowalibyśmy buntu – tłumaczy jeden z pracowników zakładu.

– W takich warunkach nie ma mowy o żadnej resocjalizacji, której zresztą już właściwie nie ma. W efekcie z więzień wychodzą zwierzęta, a wielu z nich zaraz po pełnieniu przestępstwa i znów wraca za kraty – denerwuje się wychowawca z jednego z podwarszawskich więzień. Obecnie planowana jest budowa tylko jednego nowego więzienia. Do użytku zostanie oddane za trzy lata.

JULL

KRZYŻ, KTÓRY DZIELI

ARCYBISKUP SŁAWOJ LESZEK GŁÓDZ ZADZIWIŁ PRAWNIKÓW, WYMUSZAJĄC POWIESZENIE KRZYŻA W SALI SĄDOWEJ

Krucyfiks zawisł w największej sali rozpraw sądów rejonowych dla Warszawy Pragi Północ i Południe. Przyniósł go (z młotkiem i gwoździem) arcybiskup Sławoj Leszek Głódz na uroczystość oddania gmachu do użytku. Krucyfiks przybił prezes sądu rejonowego Sławomir Bielecki. – Jeśli prezes tak postąpił, to nie ma kwalifikacji nie tylko na prezesa, ale i na sędziego – ocenia profesor Zbigniew Hołda, adwokat i członek zarządu Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka. – Sądy w Polsce rozstrzygają w imieniu Rzeczypospolitej, a nie Kościoła czy Boga. Przepisy określają, co może wisieć w sali sądowej: tylko godło, krzyż nie.

Zaskoczony jest też profesor Adam Strzembosz, były prezes Sądu Najwyższego i autorytet wśród polskich sędziów: – Umieszczenie krzyża w takim miejscu może spowodować erozję zaufania do sądu. Żaden z prawników nie słyszał, by coś podobnego wydarzyło się wcześniej.

– Gest arcybiskupa był znieważeniem Ukrzyżowanego. Nikomu nie można narzu-



Arcybiskup Głódz przekazał krzyż z młotkiem prezesowi sądu

cać krzyża, a tego rodzaju miejsca nie należą tylko do chrześcijan – ocenia ksiądz profesor Michał Czajkowski, teolog.

Arcybiskup jest zdziwiony. – Nie przesadzajmy! To nic nowego. W wojsku krzyże wiszą od dawna. Czuł u pana oddech Lenina. Pan się powinien cieszyć! – powiedział „Przekroju”.

Według Zbigniewa Hołdy krzyż powinien zostać zdjęty, a takie polecenie powinien wydać minister sprawiedliwości. Zapytaliśmy o to ministra Zbigniewa Ziobrę, jednak odpowiedzi nie uzyskaliśmy. Sprawą najprawdopodobniej zajmie się Krajowa Rada Sądownictwa.

GREG

RZADZIEJ DO KOŚCIOŁA

Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego udostępnił dane o frekwencji na niedzielnych mszach w ciągu ostatnich 25 lat (www.iskk.ecclesia.org.pl w dziale „Praktyki niedzielne”). W latach 80. do kościoła chodziło ponad 57 procent polskich katolików. W 2000 roku – 47,5 procent, w 2004 – 43,2 procent. Z kościołów co roku ubywa więc około 400 tysięcy wiernych. – Jak wskaźnik się zmniejszył, to się zmniejszył, nie ma tu czego komentować – mówi ksiądz profesor Witold Zdaniewicz, dyrektor Instytutu. Zastrzega: – Te badania to ogólny obraz religijności, a nie wyniki ankiet prowadzonych z apokaryską dokładnością.

Instytut wciąż zbiera dane z jesienno-liczenia wiernych w parafiach. Właśnie rok śmierci papieża ma być pierwszym, w którym spodziewany jest spory wzrost odwiedzających kościoły.

KUC



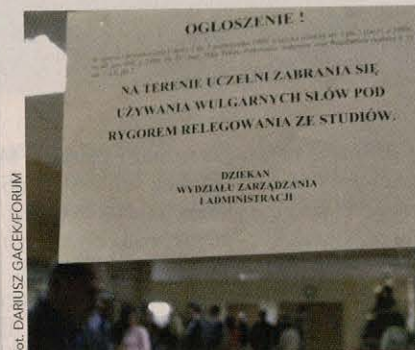
Laureaci Fenomenów 2005: (od lewej) Krzysztof Kaczmarek i Tadeusz Rzeżuchowski z Zielonej Akcji, Eustachy Ryłski, Maria Peszek, Szymon Majewski, w imieniu Niklasa Zennströma Michał Kostrzewa ze Skype Polska oraz Marek Safjan. Z prawej Piotr Najsttub, redaktor naczelny „Przekroju”

FENOMENALNA IMPREZA

Co łączy zwariowanego showmana, przewodniczącego Trybunału Konstytucyjnego i szwedzkiego specja od zamieniania Internetu w złoto? Odpowiedź jest prosta – fenomenalność, za którą już po raz drugi „Przekrój” wręczył nagrody. Tym, którzy 1 lutego nie mieli szczęścia uczestniczyć w imprezie, należy przytoczyć fragment przemówienia Marka Safjana. Przewodniczący Trybunału Konstytucyjnego ze smutkiem zauważył, że żyjemy w czasach, w których zwyczajna ludzka uczciwość urasta do rangi fenomenu. Tym bardziej namawiamy wszystkich czytelników do usilnej fenomenizacji życia codziennego.

FRASZKĄ W ZAKAZ

W ODPOWIEDZI NA ZAKAZ UŻYWANIA WULGARYZMÓW STUDENCI AKADEMII ŚWIĘTOKRZYSKIEJ W KIELCACH ORGANIZUJĄ WYŚCIGI W PRZEKLINANIU



Wróciliśmy do źródeł, do czasów Akademii Krakowskiej, której studenci zawsze zachowywali się godnie – twierdzi doktor Ryszard Stefański, prodziekan Wydziału Zarządzania i Administracji Akademii Świętokrzyskiej. Zakaz przeklinania obowiązuje studentów tego właśnie wydziału. – Jak ktoś chce siarczyście zakląć, przechodzi na wydział matematyczno-przyrodniczy – mówi Mariola, studentka.

Ryszard Biskup, rzecznik Akademii, zapewnia, że wkrótce zakaz obejmie całą

uczelnię. – Dostaliśmy mnóstwo listów z gratulacjami, za nami chcą iść szkoły w Poznaniu i Olsztynie – przekonuje. Największe wrażenie zrobił na nim list od pani Basi z Warszawy, która przysłała zdjęcie mogiły w Kenii, w której pochowany jest pochodzący z Polski żołnierz. – Na nagrobku były tylko dwa wyrazy: jeden na „k”, drugi na „d” – opowiada Biskup. – Gdy umarł, uznano bowiem, że słowa, których wciąż używał, to jego imię i nazwisko. Czyż to nie wymowne ostrzeżenie?

Studenci ostrzeżenie ignorują, a na zakaz odpowiadają, organizując zawody – wygrywa ten, kto wyrzuci z siebie najwięcej brzydkich wyrazów na minutę. Wywieszają też zawierające wulgaryzmy fraszki Jana Kochanowskiego, którego imię nosi Akademia Świętokrzyska. Przy okazji zakazu studenci pogłębili swą wiedzę z historii literatury – szybko się rozeszło, że w czasach gdy Kochanowski pisał fraszki, w Akademii Krakowskiej działał klub opalców i żarłoków (bibones et comedones). Należał do niego kwiat akademickiej inteligencji.

ASZ

Zwycięstwo korupcji

Polska jest oceniana jako najbardziej skorumpowany kraj Unii Europejskiej – wynika z raportu Transparency International. Szykowany co roku Indeks Percepcji Korupcji stawia nas za Estonią, Czechami, Słowacją i Węgrami. Wśród nowych członków Unii tylko w Polsce ten indeks rośnie. – Trzeba zwrócić uwagę na czynniki ukryte – broni naszego kraju Julia Pitera z polskiego Transparency International, posłanka PO. – IPK dla Bułgarii czy Rumunii jest porównywalny do naszego, ale Polacy mają wyższą świadomość społeczną i nie boją się już mówić o patologiach. Paradoksalnie więc ten zły wynik może mówić o nas jako społeczeństwie wiele dobrego – twierdzi posłanka.

IPK opracowywany jest przez 18 renomowanych ośrodków badań opinii publicznej. Współczynnik indeksu mierzy się na 10-punktowej skali: im bliżej 10, tym mniej korupcji. Polska zajęła 70. pozycję (wynik 3,4). Ostatni na liście Bangladesz (159. miejsce) ma wskaźnik 1,7. Korupcji w swoich krajach nie zauważają Islandczycy (9,7), Finowie i Nowozelandczycy (po 9,6).

PCZ

Polska prapremiera filmu George’a Clooneya „Good Night, and Good Luck” uświetniła galę rozdania nagród Fenomen „Przekroju”.

Pokaz odbył się dzięki

orange™



RAFAŁ MADAJCZAK

RZĄD Z ODRODZONĄ SKUTECZNOŚCIĄ

**Może rząd zacznie rządzić,
ale będzie to możliwe dopiero za parę
miesięcy. Dotychczas gabinet premiera
Marcinkiewicza jedynie się do tego
przygotowywał**



Dawno temu w III RP zaprzysiężono rząd Kazimierza Marcinkiewicza w Pałacu Prezydenckim. Na zdjęciu: Gabinet tuż po powołaniu 31 października 2005 roku u prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego

Fot. MACIEJ FIGURSKI/FORUM

Największym dotąd sukcesem rządu jest zmiana statusu z mniejszościowego na większościowy. Deklarację poparcia gabinetu – pakt stabilizacyjny – wstępnie podpisały z PiS Samoobrona i Liga Polskich Rodzin. Wstępnie, bo ostateczne podpisanie paktu ma nastąpić dopiero po uzgodnieniu szczegółów planowanych projektów ponad 150 ustaw oraz po wycofaniu przez partię Leppera i Giertycha wniosków z Trybunału Konstytucyjnego niewygodnych dla PiS (chodziło o uznanie ustawy o finansach publicznych za sprzeczną z konstytucją oraz o rozstrzygnięcie, kiedy prezydent ma prawo rozwiązać parlament przy opóźnieniu prac nad budżetem).

Prawnicy, z którymi rozmawialiśmy, twierdzą, że pakt – choć przedstawiany jako wielki sukces i pewna już większość w parlamencie dla rządu – w rzeczywistości ma na razie charakter listu intencyjnego. Jego ostateczne podpisanie i wejście w życie zależy od spełnienia wspomnianych warunków przez LPR i Samoobronę. PiS ma wprawdzie na te partie straszała w postaci możliwości rozwiązania parlamentu, ale do ostatecznego porozumienia jeszcze długa droga. A niedotrzymanie umowy nie grozi żadną karą, może się najwyżej skończyć wielką kompromitacją polityczną.

Jeśli jednak nowi sojusznicy PiS spełnią te warunki i pakt wejdzie w życie, większościowy rząd Kazimierza Marcinkiewicza ma szansę w końcu rozwinąć skrzydła, co mimo wielu publicznych deklaracji w ciągu pierwszych stu dni pracy nie za bardzo mu się udawało.

POTRZEBNE JESZCZE STO DNI

Sejm V kadencji zajął się dotąd 67 rządowymi projektami ustaw, jednak aż 25 skierował do łaski marszałkowskiej Marek Belka. Parlament nad nimi pracuje, bo nowy rząd nie zdecydował się ich wycofać. Pozostają 42 ustawy rządu Marcinkiewicza – z czego 23 to fragmentaryczne, najczęściej jednostronnie nowelizacje: prawa sportowego, ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii czy o trybie publikowania ogłoszeń sądowych. Druga pod względem wielkości grupa to osiem ustaw o ratyfikacji umów międzynarodowych. Nie licząc autopoprawki do budżetu, ze znaczących i głośniejszych projektów rządowych uchwalono dotąd jedynie becikowe (nowelizacja ustawy o świadczeniach rodzinnych) i program dożywiania. Wrażenia legislacyjnej pracowitości tego rządu broni jeszcze złożony parę dni temu obszerny projekt ustawy o Centralnym Biurze Antykorupcyjnym.

Co bardziej soczyste owoce pracy ministerstw ujrzą światło dzienne dopiero w drugiej albo nawet trzeciej setce dni pracy gabinetu Marcinkiewicza. Gdy rządzący przyniosą po wyborach luzną wizję zamiast konkretnych projektów, pisanie

prawa musi potrwać. Minister powołuje pełnomocnika lub zespół do pracy nad problemem i daje im dwa miesiące. Po upływie tego okresu projekt trafia do konsultacji międzyresortowych, a czasem i społecznych. To kolejne trzy lub cztery miesiące. Gdy w końcu rząd zatwierdzi projekt i prześle go do Sejmu, upłynie co najmniej kolejny miesiąc pracy, zanim nowe prawo trafi do prezydenta. Daje to średnio pół roku na narodziny i wejście w życie nowego prawa. To dwa razy dłużej, niż trwa ten rząd.

Widać to doskonale u ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry. Premier chwalił się w exposé: „Mamy przygotowane projekty kodeksów karnych”. Tymczasem Ziobro na początku urzędowania powołał 33 resortowe zespoły do zmian w prawie. Powstał nawet zespół do koordynowania zespołowej pracy. Po co zespoły, jeśli wszystko jest gotowe? Minister z zapałem zapowiadał wiele nowości na licznych konferencjach prasowych, jak 24-godzinne sądy (prawie gotowe), ujednolicenie orzecznictwa sądów (niemożliwe, gdy nie działają precedensy) – skąpił jednak projektów ustaw.

Zamiast tego minister Ziobro kazał wypuścić uczestników linczu we Włodowie. Całościowe i zapowiadane przez premiera zmiany w kodeksach ujrzą światło dzienne w połowie roku. Nie ma ich, ale mają być.

Tak pracuje cała Rada Ministrów. Na 108 swoich osiągnięć w czasie pierwszych stu dni, którymi rząd chwali się w specjalnym raporcie, poło-

wa daleka jest od ukończenia. Czytamy więc, że prace trwają, że rząd zamierza wspierać starania, że powołano zespół, że dokonuje się przeglądu relacji itd.

MEDIALNE SUKCESY

Sukcesów tego rządu trzeba szukać raczej wśród spraw bardziej doraźnych i niewymagających dużego legislacyjnego wysiłku. Na jedno z większych osiągnięć Kazimierza Marcinkiewicza wyrasta to, że nikt już nie pyta, czy będzie premierem malowanym. Osiągnął to dzięki medialnej ofensywie, którą da się streścić w słowach: premier codziennie ma coś do powiedzenia w ciekawej scenarii.

I tak: ogłoszenie programu budowy autostrad ma miejsce na budującej się autostradzie, ogłoszenie powołania pełnomocnika do spraw ściany wschodniej – w Białymstoku, a zapowiedź promującego postawy patriotyczne programu „Patriotyzm jutra” na Zamku Królewskim. Premier nie stroni też od tabloidów, które darzą go nieskrywaną sympatią. Efekt? Marcinkiewiczowi ufa 68 procent Polaków – to tyle, na ile w najlepszych czasach mógł liczyć Aleksander Kwaśniewski. Ciężko zapracowana popularność. Gdyby nie tragedia w Katowicach, sto dni rządu zwiększyłaby uroczystość w Sali Kongresowej stołecznego Pałacu Kultury i Nauki.

Rząd uważnie przygląda się mediom – ma już za sobą strofowanie TVP za tendencyjne przedstawienie rządowej decyzji o przedłużeniu misji

w Iraku oraz „Rzeczpospolitej” za reprodukcję karykatur Mahometa przy tekście o agresji, jaką będą wśród muzułmanów.

EUROPEJSKA REAKCJA

Przez sto dni dużo działa się w naszych stosunkach z Unią Europejską. Tu udało się sporo osiągnąć, ale największe sukcesy nie wynikały z naszej inicjatywy, lecz z kalendarza. Na szczycie UE Marcinkiewicz walczył skutecznie o lepszy dla Polski unijny budżet, bo inne kraje też to robiły. Podobnie było z niższym VAT budowlanym. Minister finansów skutecznie zastopowała odebranie nam ulg podatkowych, ale najpierw musiała się pojawić taka groźba.

Nie wiadomo, czy zawsze będzie się tak udawać, bo jak mówi ekspert Instytutu Spraw Publicznych Piotr Kaczyński, rząd nie dopracował się jeszcze polityki europejskiej i przez to skazany jest na reagowanie na bieżąco. Kaczyński ostrożnie chwali: – Widać, że PiS się Europy uczy. Ze wyskok ministra rolnictwa Krzysztofa Jurgieła, gdy nie chciał się do negocjacji, był odosobniony.

TANIE SOLIDARNE PAŃSTWO

Jak dotąd jedynym, oprócz projektu likwidacji Rządowego Centrum Studiów Strategicznych, konkretnym przejawem tak obiecywanego w kampanii wyborczej programu „tanie państwo” jest przeprowadzana przez wicepremiera Ludwika Dorna czystka w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji. Na początku lu-

togo w życie wszedł nowy statut resortu, a w nim nie tylko plany likwidacji nieproduktywnych, dublujących się komórek, ale co najważniejsze, plany zredukowania około 20 procent etatów w ministerstwie. Tomasz Skłodowski, szef Biura Informacji MSWiA, przyznaje, że z resortem pożegna się co najmniej 200 pracowników.

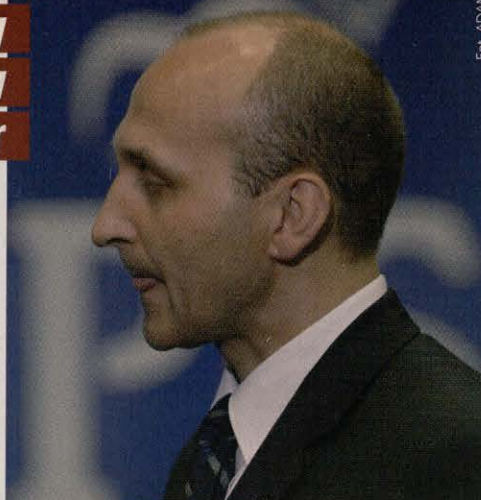
Osiągnięciem Doma było też polecenie wydać komendantowi głównemu, aby pijanych polityków karać tak samo jak innych obywateli. I zaczęło to działać: pierwszym VIP-em złapanym „po kieliszku” był poseł Samoobrony Janusz Wójcik.

Bardziej efektywne było przez sto dni Ministerstwo Polityki Społecznej, które zajęło się przekuwaniem na fakty programu „Polski solidarny” – zwycięskiej broni z wyborów parlamentarnych i prezydenckich. To stąd wyszły obowiązujące już ustawy o becikowym i autorski pomysł PiS, czyli ustanowienie wieloletniego programu dożywiania.

Zupełnie inaczej sprawa ma się z problemem bezrobocia. Tym ministerstwo zajmie się po konsultacjach z pracownikami i biznesem – ma przyjąć ramy „paktu społecznego”, w którym ma się znaleźć recepta na zwiększenie zatrudnienia. Rząd zastanawia się na razie nad pomysłem powołania zespołu do spraw paktu.

Cichym bohaterem stu dni może się okazać Ministerstwo Rozwoju Regionalnego, gdzie z dala od fleszy urzędnicy wzięli się do upraszczania procedur w dostępie do unijnych funduszy.

**Od stu dni krok po kroku,
codziennie, sumienną pracą,
ten program przekuwamy
na lepsze życie Polaków
– ocenia się premier**



100 DNI KAZIMIERZA MARCINKIEWICZA

- 428 wpisów w kalendarzu zajęć na stronie www.kprm.gov.pl
- 196 udokumentowanych w kalendarzu spotkań z gośćmi
- 77 spotkań z mediami
- 25 wyjazdów w teren
- 8 wizyt zagranicznych
- 49 projektów ustaw przyjętych przez rząd
- 42 projekty ustaw skierowane do Sejmu
- 19 posiedzeń rządu

(stan na 5 lutego 2006 roku)

ných deklaracjach, z drugiej na decyzjach, które psują gospodarkę lub mogą ją psuć w przyszłości. Trudno taki bilans uznać za pozytywny – oceniają pracodawcy.

I wyliczają argumenty: zmniejszenie deficytu budżetowego nie przez oszczędności, ale optymistyczne zwiększenie dochodów państwa, wycofanie z Trybunału Konstytucyjnego ustawy emerytalnej faworyzującej górników, dopłaty do paliwa rolniczego, gdy do rolników płyną już pieniądze z Unii. Rząd milczy też w sprawie wejścia do strefy euro.

GORĄCE KRZESŁA

Mimo krótkiego stażu rząd doczekał się już dymisji ważnych ministrów. Z dnia na dzień premier odwołał minister finansów Teresę Lubieńską, która zdążyła napisać autopoprawkę budżetu i aktualizację planu rozwoju polskiej gospodarki wymaganą przez Komisję Europejską. Wszystko po to, żeby zwolnić miejsce dla byłej wiceprzewodniczącej Platformy Obywatelskiej Zyty Gilowskiej. Niepasująca do Ministerstwa Finansów Lubieńska przeszła do kancelarii premiera, gdzie zajmuje się nowym, zadaniowym konstruowaniem budżetu.

Osobliwa sytuacja ma miejsce w Ministerstwie Skarbu, gdzie od miesiąca fotel ministra jest nieobsadzony. Od odwołania ministra Andrzeja Mikosza resortem kieruje na co dzień awansowany na wiceministra Paweł Szalamacha, a formalnie sam premier. Mówi się, że nowym ministrem ma być poseł PiS Wojciech Jasiński. Przedłużający się wakant jest niezrozumiały, bo rząd Marcinkiewicza z prywatyzacji zamierza w 2006 roku uzyskać pięć i pół miliarda złotych, o pół miliarda więcej, niż w swoim projekcie budżetu na ten rok planował Marek Belka.

Na zwieńczenie stu dni gabinet czeka podobno kolejna reorganizacja. Odejść ma minister spraw zagranicznych Stefan Meller.

LOT CZY NIELOT?

Wszystkie dokonania gabinetu Marcinkiewicza według polityków PiS błędą w obliczu ostatniego wydarzenia – podpisania 12-miesięcznego paktu stabilizacyjnego z Samoobroną i Ligą Polskich Rodzin. Pierwsze sto dni rządu w cieniu ambitnych obietnic paktu wygląda jak wprawka przed prawdziwym rządzeniem.

– Pakt stabilizacyjny jest zdarzeniem najważniejszym dla realizacji naszego programu – mówi premier Marcinkiewicz. Umowa zawiera listę 152 projektów ustaw, które obiecuje poprzeć koalicja Kaczyńskiego, Leppera i Giertycha. Na liście życzeń PiS znajdują się między innymi nowe ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej, Komisji Prawdy i Sprawiedliwości, ułatwieniu prowadzenia działalności gospodarczej, budownictwie mieszkaniowym czy nowa ordynacja podatkowa. Mają powstać nowe instytucje: superurząd nadzoru finansowego, Narodowe Centrum Badań Naukowych, Narodowy Instytut Wychowania, Narodowy Ośrodek Monitoringu Mediów czy Krajowa Szkoła Sędziów i Prokuratorów. Wojskowe Służby Informacyjne, które miały być likwidowane, zmienią tylko sztyt: powstaną wywiad i kontrwywiad wojskowy, a cała reorganizacja służy wymianie kadry.

Ile z zapowiadanych ustaw zostanie w końcu podpisanych przez prezydenta – nie wiadomo, bo Lech Kaczyński musiałby przez rok co dwa dni podpisywać nową ustawę, żeby pakt wyczerpać. Znacznie większego wysiłku wymaga pakt od parlamentu – z kalendarza prac sejmowych na następne pół roku wynika, że posłowie każdego dnia posiedzeń powinni przyjmować po dwie paktowe ustawy.

– Zaczęliśmy działania lub przygotowania do działań – mówił w niedawnym wywiadzie dla „Przekroju” Jarosław Kaczyński. I była to być może najbardziej szczerza wypowiedź szefa PiS w ciągu tych stu dni. Rząd Kazimierza Marcinkiewicza ma za sobą sto dni rozbiegu. Kolejne pokażą, czy poderwie się do lotu.

RAFAŁ MADAJCZAK
WSPÓŁPRACA SYLWIA CZUBKOWSKA, AGNIESZKA
JĘDRZEJCZAK, KRZYSZTOF SZCZEPANIAK

Więcej na ten temat
w raporcie specjalnym w wp.pl
w serwisie www.wiadomosci.wp.pl



onet.pl Szukaj

**czeka na Ciebie
ponad 1300 wspaniałych prezentów
– w tym 42" telewizor plazmowy!**

Po prostu korzystaj z wyszukiwarki szukaj.onet.pl,
pytaj o co zechcesz a na pewno znajdziesz potrzebne Ci informacje.
A jeśli masz szczęście, to masz szansę na jeden ze wspaniałych prezentów!

10 lat
onet.pl

www.szukaj.onet.pl

onet.pl
portal #1

PRIORYTET NIE KRADNIJ

**Oficjalnie na poczcie
nie ma kradzieży przesyłek,
są „zaginięcia”.
Nie ma też fali złodziejstwa,
jest „narastanie zjawisk
negatywnych”**

JULIUSZ ĆWIELUCH

Najciekawsze „zjawisko negatywne” odnotowano w łódzkim oddziale Poczty Polskiej przy ulicy Włókniarzy 227. Czarne charaktery to – niczym w dobrym kryminale – dzieci zasłużonych pocztowców, które zeszły na złą drogę, oraz fałszywy listonosz. Z drugiej strony: domorośli porucznik Colombo i wąsaty policjant. Scenariusz rodem z polskiego kina. Czwórka bohaterów w wieku od 21 do 26 lat pod wpływem braku funduszy na rozrywkę i solarium wchodzi na drogę przestępstwa. Początkowo kradną ostrożnie. Wybierają małe paczki, które łatwo wynieść z sortowni. Szczególnie takie, na których nierozsądni nadawcy sami kuszą deklaracjami: telefon komórkowy, odtwarzacz mp3,

perfumy. Z czasem tradycyjne bebeszenie paczek przestaje ich bawić.

JESTEM PRZEDSIĘBIORCZY I PODEJMUJĘ NOWE WYZWANIA*

– Poczta zwróciła się do nas, bo nie mogli rozstrząsać, jak to jest, że listonosz doręcza paczkę, która została wcześniej ukradzioną. A następnie znikają i listonosz, i pieniądze za pobranie przesyłki – tłumaczy wąsaty policjant, aspirant Krzysztof Cichowski z łódzkiej komendy. Sprawa nie była łatwa, bo wśród podejrzanych znalazło się kilka tysięcy pocztowców. – Między okienkiem pocztowym a odbiorcą przesyłki jest bezkresna czarna dziura. Poczta zupełnie nie kontroluje, kto odpowiada za daną paczkę, więc ukradnąć mógł właściwie każdy. A tutaj jeszcze te kradzione paczki były dostarczane do adresatów. Zupełny obłęd – dodaje aspirant Cichowski.

Czarne charaktery czują się pewnie. Dwaj trafili do pracy z polecenia zatrudnionych na poczcie rodziców. Ale do akcji wkracza Jan Orłowski, dyrektor wydziału ekspedycyjno-rozdzielczego w Łodzi, o którym pocztowcy mówią teraz „nasz Colombo”. Dyrektor Colombo podejrzewa, że najsłabszym ogniwem są pracownicy sortowni. Zasadzka z kamerą zakładową dostarcza żelaznych argumentów. Złodziei gubi pazerność i dwa przeciery pomidorowe. – Paczki kradli, zanim ostatecznie trafiły do sortowni. Przesyłki za pobraniem dostarczał ich kolega w przebraniu listonosza, który inkasował pieniądze – dodaje prowadzący sprawę Cichowski. Kwoty wcale nie były małe, zdarzało się, że za jednym zamachem zarabiali 10 tysięcy złotych. Niektóre przesyłki okradali podwójnie. Za dostarczenie aparatu cyfrowego pobrali dwa tysiące złotych. W przesyłce zamiast aparatu były dwa przeciery, książka i ścierka kuchenna. Odciski palców zdjęte z przeciery to jeden z koronnych dowodów w sprawie.

CHCĘ BYĆ CORAZ LEPSZY I DLATEGO STAŁE SIĘ UCZĘ

Szajka z Łodzi działała od stycznia do października 2005 roku. Kiedy złodziei aresztowano, oka-

zało się, że byli w przededniu zakupu forda transita, który po przemalowaniu na pocztowe barwy miał im służyć do kradzieży setek, a nie jak dotąd dziesiątek paczek. – Mam nadzieję, że łódzka sortownia jest już wolna od złodziei. W całej tej historii cieszy to, że środowisko oczyściło się samo – podkreśla Krzysztof Piorunek, kierownik działu kontroli Centrum Usług Pocztowych.

Pani Edyta z Łodzi efektów oczyszczenia środowiska nie odczuła. W grudniu, kilka tygodni po aresztowaniu złodziei z sortowni, dostała paczkę, w której oprócz drogiej filiżanki miała znaleźć równie drogą bombonierkę. – Ukradli filiżankę i zjedli kilka czekoladek. Wolałabym już w ogóle nie dostać tej paczki – mówi. Zresztą i takie sytuacje już przeżyła. – Zginęły mi perfumy Pierre Cardin, zestaw witamin, zestaw kosmetyków, płyta CD, raz książka – wspomina. – Ale to chyba wypadek przy pracy, bo książek raczej nie kradną – dodaje.

W sortowni w Katowicach 36-latek z Tych wysłał paczkę – zamiast do adresatów – na swój adres. Katowicka policja ciągle próbuje ustalić, ile osób okradł. Biorąc pod uwagę, że na poczcie pracował rok, w dniu aresztowania przeklecił kwity na dwóch paczkach, a w kieszeni miał jeszcze 15 naklejek, liczba może być imponująca. W tej sprawie trzeba jeszcze wytłumaczyć, skąd złodziej miał dostęp do pocztowego datownika, bez którego zmiana naklejek nic by mu nie dała. – To rzeczywiście trudne pytanie – przyznaje kierownik kontroli. Ale zapewnia, że i tym razem poczta sama się oczyściła, bo złodzieja zadenuncjował ktoś z załogi.

– To już nie przelewki. W Małopolsce mieliśmy przypadek zatrudnienia na fałszywe świadectwo maturalne. Ta osoba chciała pracować na poczcie tylko po to, żeby kraść – mówi Radosław Kazimierski, rzecznik prasowy.

Na forum portalu internetowego www.e-konkursy.com można przeczytać całą litanię problemów z pocztą. W jednym z warszawskich urzędów klient odebrał paczkę polaną tłuszczem. Dla pocztowców był to już pretekst do jej otworzenia. Niestety, nie cała zawartość dotarła do odbiorcy.

Nadchodzi konkurencja

Rynek usług pocztowych w Polsce jest wart według szacunków od 300 do 400 milionów złotych rocznie. O zyski na tym terytorium walczy już ponad sto firm. Jak dotąd Poczta Polska wygrywa powszechnie rozpoznawalną marką, ceną usług i wielkością. Chociaż zdaniem analityków to ostatnie jest również kulą u nogi. Przerost zatrudnienia nie tylko jest kosztowny, ale powoduje, że działania poczty są ociężałe. Chociaż liberalizacja rynku zapowiadana była od lat, Poczta Polska nie unowocześniła żadnej ze swoich usług. – A nasi konkurenci nie śpią. Tak się dzieje, że wszystkie sortownie naszego największego konkurenta, firmy DHL należącej do Deutsche Post, budowane są dokładnie obok naszych sortowni – mówi jeden z pocztowców. Podobno Deutsche Post już rok temu poszukiwała pracowników ze znajomością języka polskiego. W lipcu 2005 roku DHL przejął jedną z największych polskich firm kurierskich – Stolicę. Do ataku na polski rynek szykuje się również francuska La Poste i jej kurierskie ramię w postaci firmy UPS. Wysłanie przesyłki kurierem jest kilka razy droższe niż za pośrednictwem poczty, ale jakość usług jest znacznie wyższa. Ubezpieczenie przesyłki o wartości 50 tysięcy kosztuje niecałe 2,5 złote. Na poczcie trzeba by za to zapłacić tysiąc złotych. Korzystając z kuriera, można na bieżąco śledzić przez Internet, gdzie jest przesyłka w danym momencie. Niektóre firmy o przyjeździe kuriera informują SMS-em. Zdaniem analityków po 2009 roku, kiedy nastąpi pełna liberalizacja rynku, Poczta Polska ze swoim archaicznym systemem może zostać szybko zepchnięta do roli marginalnego gracza.

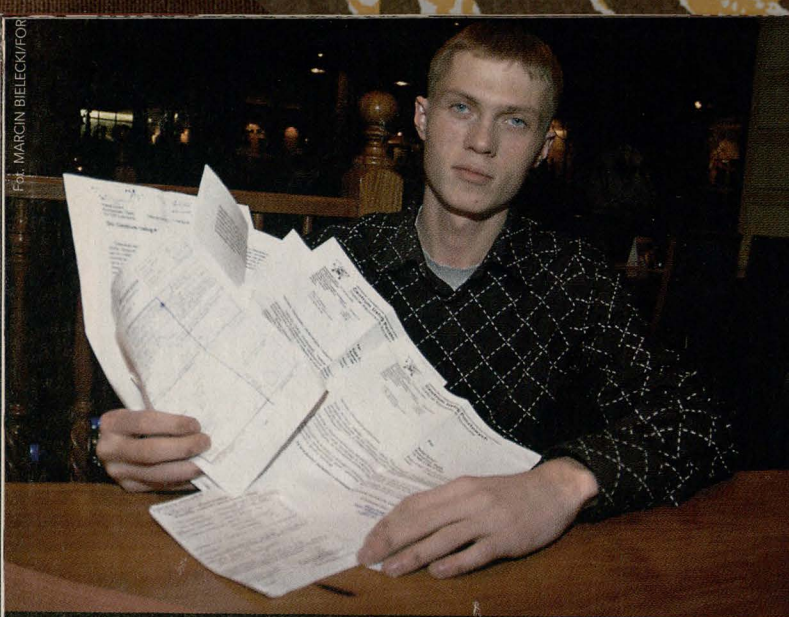


Czasem winę za zaginięcie paczki ponosi nadawca. W zeszłym roku do wydziału przesyłek niedoręczonych w Koluszkach trafiło 141 tysięcy listów i paczek, które ze względu na błędy w adresie nie dotarły do adresata. Raz na kwartał rzeczy sprzedawane są na specjalnej aukcji



Fot. MARIAN ZUBRZYCKI / FOTORZEPA

Fot. PIOTR KOWALCZYK / FOTORZEPA



Rafał Żyleń wysłał pocztą telefon komórkowy. Przesyłka nie dotarła do adresata. Poczta zaproponowała 72 złote odszkodowania



Aspirant Krzysztof Cichowski, który rozpracowywał łódzką szajkę złodziei, ciągle jeszcze szuka poszkodowanych

Pocztowe kłopoty w liczbach

W 2003 roku poczta wypłaciła klientom około 180 tysięcy złotych odszkodowań. Tyle samo w 2004. W roku 2005 już 250 tysięcy.

Przez ostatni rok drastycznie wzrosła również liczba przesyłek ujemnych, czyli takich, które nie doszły na czas, zostały po drodze uszkodzone albo po prostu ukradzione. Poczta oblicza, ile takich przypadków zarejestrowano na próbie 100 tysięcy przesyłek: 2003 – 3; 2004 – 3,42; 2005 – za pierwsze półrocze 3,89. Według dobrze poinformowanych źródeł liczba ta skoczy do 6,5, czyli jakość usług jest niemal dwa razy gorsza niż rok wcześniej! Liczby te dotyczą tylko usług rejestrowanych, czyli takich, przy których otrzymuje się dowód nadania. W roku 2005 nadano ponad 230 milionów przesyłek rejestrowanych.

spondencji. Helena Wanat z rzeszowskiej poczty z rozbrajającą szczerością skomentowała: – Szkody są niewspółmierne do kosztów procesu.

Z kolei wrocławscy pocztowcy zastanawiali się, czy 20 euro z listu ich klienta nie wyciągnęli czasem koledey z Niemiec.

Agnieszka Kowalska, dyrektor departamentu jakości z Dyrekcji Generalnej Poczty Polskiej, piśmiennie zapewniała notorycznie okradaną mieszkankę Łodzi, że „na terenie naszego kraju systematycznie prowadzone są działania skutkujące zwiększeniem bezpieczeństwa przewozu, opracowywania i doręczania poczty, w tym czynności kontrolne, wprowadzenie nowych technologii, np. zainstalowanie kamer w centrach ekspedycyjno-rozdzielczych”. To fragment pisma z 28 grudnia 2004 roku. Rok później dyrektor łódzkiej sortowni wyznaje w branżowej prasie: „Tak naprawdę nie mamy sprzętu. Od lat się

o niego staramy. Mamy trzydzieści kilka kamer, które nie do końca spełniają swoje funkcje”.

To nie jest problem tej jednej sortowni. Policjanci, którzy przyglądali się pracy na pocztach, łapią się za głowę. – To cud, że cokolwiek dochodzi. W zdecydowanej większości na pocztach muszą pracować uczciwi ludzie, bo warunki do kradzieży są niemal idealne – mówi aspirant Cichowski.

CELEM MOJEJ PRACY JEST SATYSFAKCJA KLIENTA

Ci, którzy mieli pecha i podjęli się boksowania z Poczta Polską o zwrot pieniędzy za ukradzione przesyłki, wiedzą, że przypomina to kopanie się z koniem. – Wygrywają choćby psychologicznie. Rozumiem, że jak coś nazywa się priorytetem, to tak też jest traktowane przez pocztę. Nic bardziej złudnego – mówi Alicja Żyleń ze Szczecina.

Telefon komórkowy wart 1200 złotych, który jej syn wysłał priorytetem za pobraniem do Białegostoku, nigdy tam nie dotarł. – Syn nadał paczkę zgodnie ze wskazówkami pani z okienka. Kiedy wpisywał w rubrykę pobrania 1200 złotych, był przekonany, że w razie problemów taka kwota zostanie mu zwrócona – opowiada. Po spisaniu pisma wywiadowczego i kilku tygodniach oczekiwania reklamacja została przyjęta. Poczta chciała wypłacić 72 złote odszkodowania. I to w majestacie prawa. Artykuł 58 punkt 2 prawa pocztowego mówi, że odszkodowanie przysługuje „za utratę paczki pocztowej – w wysokości żądanej przez nadawcę, nie wyższej jednak niż 10-krotność opłaty pobranej za jej nadanie”. Pani Alicja próbowała walczyć. Po lekturze ustawy, na którą powołała się poczta, doszła do wniosku, że skorzysta z zapisanej tam możliwości skierowania sprawy do sądu polubownego przy prezie Urzędu Regulacji Telekomunikacji i Poczty. – Okazało się, że sądy te jeszcze wtedy nie działały. Pomyślałam, że to jakiś cyrk – mówi pani Alicja.

Od ponad pół roku sądy polubowne działają, ale nie trafiła tam ani jedna sprawa związana z kradzieżami na pocztach. – Sama nie polecam tej drogi załatwiania spraw. Aby doszło do mediacji, poczta musi wyrazić wolę poddania się jej. Na razie tej woli nie widać – mówi Anna Streżyńska, wiceminister do spraw łączności. Zdaniem minister Streżyńskiej najlepszą formą nacisku na pocztę jest kierowanie skarg do Urzędu Komunikacji Elektronicznej (dawny Urząd Regulacji Telekomunikacji i Poczty).

Pani Alicja ma inny pomysł. – Poczta pisze, że moja przesyłka zaginęła. Ja się upieram, że została skradziona, a skoro tak, to sprawa dla prokuratury – mówi. Jeśli jej tokiem rozumowania pójdą inni pokrzywdzeni, to pocztę czekają spore kłopoty, bo co innego mieć pracowników, którym zdarza się coś zagubić, a co innego zatrudniać osoby, którym zdarza się coś ukraść.

JULIUSZ ĆWIELUCH

* ŚRÓDTYTUŁY POCHODZĄ Z KODEKSU PRACOWNIKA POCZTY POLSKIEJ

Podyskutuj o tym artykule w wp.pl w serwisie www.media.wp.pl

krótka rozmowa z o. Tadeuszem Bartosiem

PRZEKROJ



OJCIEC TADEUSZ BARTOŚ, DOMINIKANIN

KTO, BLUŹNI, A KTO, OBRAŻA

Kiedy człowiek bluźni?

– Bluźnierstwo jest terminem religijnym pochodzącym z Biblii i gdybyśmy chcieli je przetłumaczyć dosłownie, oznacza „złe mówienie” – przeciwko Bogu, przeciwko rzeczom świętym, przeciwko ludziom. O poganiach zawsze się mówiło, że bluźnią, bo nie mają prawdziwego Boga.

A dlaczego człowiek bluźni?

– O, mogą być różne powody, ale najważniejszy wynika z braku prawdziwej wiary. Jeśli ktoś nie wierzy w Mahometa, a będzie mówił przeciwko niemu, to dla wyznawców islamu będzie bluźniercą. Jeśli ktoś nie wierzy w Boga Jahwe i będzie występował przeciwko niemu, to i dla chrześcijan, i Żydów będzie bluźniercą. W Starym i Nowym Testamencie mamy typowe przykłady bluźnierstw. Jezus bluźnił, zapowiadając odpuszczenie grzechów. W rozumieniu Starego Testamentu Jezus usurpował sobie władzę, którą ma tylko Bóg. Zaprzeczanie prawdziwości Jezusa i przypisywanie ich diabłu jest bluźnierstwem przeciwko Duchowi Świętemu. Bluźnierstwo jest odwróceniem porządku. To, co przypisane Bogu, przypisuje się demonowi.

Czy bluźnierstwo wynika wyłącznie z braku wiary i ze sprzeciwu wobec Boga, czy jest także przejawem głupoty i braku wrażliwości?

– Bluźnierstwo jest kategorią religijną, więc musimy się zaangażować w jakiś system religijny, żeby tej kategorii używać. Muszę być wierzący.

Żeby bluźnić?

– Tak, bo jeśli wychodzę poza sferę sacrum, to wtedy raczej powiem o obrazie uczuć religijnych. Jeśli o kimś mówimy, że bluźni, to patrzymy na świat w kategoriach religijnych. Rozumiem, że pani pyta mnie o bluźnierstwo z powodu publikacji karykatur Mahometa w zachodniej prasie. Wejdźmy na chwilę w skórę muzułmanina i zastanówmy się, co on zobaczył? Oto prorok wysłany przez Boga, twórca i fundament tej religii, opoka dla wyznawców islamu, jest przedstawiany jako morderca, jako szatan. Trudno się dziwić, że uznano to za bluźnierstwo. Każdy, kto na Anioła mówi, że jest szatanem, bluźni przeciwko wierze. Gdy na dobro mówi się, że jest złem, wtedy się bluźni.

Rozumie ojciec złość muzułmanów?

– Bardzo dobrze rozumiem. Znów wejść w skórę muzułmanina, dla którego religia polega na admiracji. Jeśli takiemu człowiekowi pokazuje się karykatury Mahometa, to on ma przekonanie, że się szydzi i z niego, i z jego wiary. Trzeba sobie uzmysłowić, że tych ludzi świat Zachodu często nazywa Trzecim Światem. I oni autentycznie czują się gorsi. I jeśli ktoś lep-

szy – choć oczywiście nie jest lepszy, tylko tak się czuje, tak jest nawet postrzegany – jakiś Anglik czy Duńczyk zaczyna szydzić ze świętości religijnych świata islamu, to ci ludzie reagują złością. Ludzie lubią klasyfikacje, wierzą w klasyfikacje i ci, którym się wstawia, że są gorsi, czują się gorsi. Bardzo łatwo ich poniżyć. Dla nich ci panowie z Zachodu, właściciele świata, odnoszą się do nich z pogardą. Nie dziwię się więc, że reagują furją.

Ale ojciec nie usprawiedliwia aktów przemocy?

– Oczywiście, że nie. Trzeba jednak pamiętać, że w świecie religijnym, a o tym przecież mówimy, za bluźnierstwo grozi potworna kara.

W Pakistanie do tej pory nawet śmierć.

– I Europa wcale nie była taka święta. Dopiero od niedawna chrześcijaństwo odeszło od przemocy i karania za bluźnierstwa przeciwko wierze. Proszę pamiętać, co się działo w wiekach średnich.

Świat zachodniej cywilizacji coraz bardziej się laicyzuje, więc i pojęcie bluźnierstwa ma coraz mniejsze znaczenie. Czy tak można tłumaczyć powód publikacji karykatur Mahometa? Redakcja szybko za to przeprosiła.

– I dobrze zrobiła, tak jak dobrze zrobił polski rząd. Dla wyznawców islamu to był bardzo ważny gest. A opisując Europę, powiedziałbym o laicyzacji mentalności. Człowiek Zachodu jest coraz mniej świadomy, jak wygląda świat człowieka religijnego. Także wewnętrzny świat.

Może ci, którzy publikowali karykatury Mahometa, nie mieli świadomości, że bluźnią?

– Pewnie nie mieli. Jak człowiek nie wierzy, to nie wie, że bluźni. Ale Europa powinna sobie przypomnieć, czym jest religia i czym jest bluźnierstwo. Może to

by uwrażliwiło świeckiego człowieka na potrzeby drugiego człowieka, także tego całkiem innego.

Ale człowiek Zachodu czułby, gdyby ktoś zaczął bluźnić przeciw chrześcijańskiemu symbolom.

– Oczywiście. Jestem przekonany, że na żarty czy szyderstwa z Jezusa Chrystusa bardzo ostro zareagowałyby sądy na przykład w Niemczech.

Chrześcijaństwo nie zakazuje pokazywania wizerunku swojego Boga, choć w Księdze Wyjścia i w Księdze Powtórzonego Prawa Starego Testamentu istnieje jedno z przykazań, które wyraźnie mówi, że Boga nie można na przykład namalować. „Nie uczynisz sobie posągu ani żadnego obrazu tego, co jest na niebie wysoko albo na ziemi nisko lub w wodzie poniżej ziemi”. Jednak w ostatecznej, że tak to ujmę, wersji dekalogu tego zakazu już nie ma. Dlaczego?

– Najkrócej mówiąc, dlatego że Bóg stał się człowiekiem. Pokazujemy więc wizerunek Jezusa Chrystusa – Syna. Ale nie Boga – Ojca.

Przecież w sercu religii katolickiej, w Kaplicy Sykstyńskiej, znajduje się wizerunek Boga Ojca namalowany przez Michała Anioła.

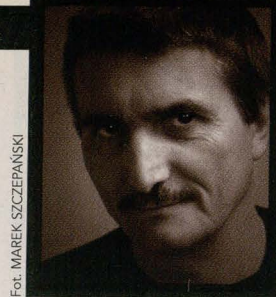
– No tak. Nie jestem znawcą malarstwa, ale wydaje mi się, że jest to jeden z nielicznych znanych mi wizerunków Ojca. Z czasów renesansu, czasów, powiedzmy sobie, pewnej frywolności. Pojawienie się takich wizerunków było objawem osłabienia tradycji i wrażliwości religijnej. Chrystus jest obliczem Boga. Jak chce się pokazywać Ojca, to pokazujemy oblicze jego Syna.

Niewątpliwie karykatury Chrystusa także byłyby uznane za bluźnierstwo. Ale o bluźnierstwie mówiło się również w kontekście filmu Martina Scorsese „Ostatnie kuszenie Chrystusa”. Czego chrześcijaninowi nie wolno powiedzieć o Bogu, bo zostanie uznany za bluźniercę?

– Rozumiem, że pyta pani o wątek filmu dotyczący podejrzenia, że Chrystus miał ukochaną i była nią Maria Magdalena. Takie myślenie przypisywano heretykom. Tylko że w tym filmie była głębsza myśl, była próba zmierzania się z problemem miłości cielesnej. Nie wydaje mi się, żeby można było ten film uznać za bluźnierczy.

Mówił ojciec, że bluźnierstwo to kategoria religijna. Ale często powtarzamy: nie bluźnij wobec matki.

– To metafora używająca sobie pojęć z języka religii. Złe mówienie o kimś, wulgarnie, zwłaszcza jeśli dotyczy matki, uważamy za bluźnierstwo. Bo bluźnierstwo jest wtedy, gdy to, co dobre i święte, uznajemy za złe i diabelskie. Trzeba umieć wczuć się we wrażliwość drugiego człowieka i tego w tej całej aferze z karykaturami Mahometa zabrakło.



Fot. MAREK SZCZEPAŃSKI

DZIENNIKARZE, USPOKOJCIE SIĘ

**BOJKOT POLITYKÓW PRZEZ DZIENNIKARZY I OBRAŻANIE SIĘ
NIE MAJĄ SENSU. BARDZIEJ SKUTECZNE BYŁOBY NIEPOWTARZANIE
INFORMACJI POZORYCH SERWOWANYCH PRZEZ POLITYKÓW**

Odrąbiono właśnie kolejny, chyba już czwarty początek IV RP. Tym razem przy okazji podpisywania przez PiS, Samoobronę i LPR paktu wsparcia dla rządu Marcinkiewicza. W atmosferze skandalu, wojny z mediami oraz półprawd wygłaszanych przez Jarosława Kaczyńskiego i księdza z Telewizji Trwam. Że niby na oczach wybranych mediów to wcale nie było podpisanie, tylko parafka, choć w bezpośredniej transmisji w mediach ojca Rydzyka zostało to tak nazwane i nikt z kłamczuszków potem nie prostował.

Dziennikarze większości mediów zaprotestowali, że zaproszono ich nie na podpisanie, lecz na powtórkę, a w fikcji nie chcieli brać udziału. W efekcie nawet prezes Kaczyński czuł się zmuszony do tłumaczenia – pokrętnego i z pogroźkami pod adresem dziennikarzy, ale jednak musiał się tłumaczyć. Zauważył swój błąd wobec mediów, bez których nie jest w stanie żyć.

ZŁY KACZYŃSKI I DOBRZY DZIENNIKARZE?

Chwała dziennikarzom, którzy tam byli, za to, że wyszli. Bo dzięki temu okazało się, że jest problem. Nie wszystko jednak w tym proteście przeciw politykom mi pasuje. Nie dlatego, że oprotestowywani Kaczyński, Lepper i Giertych szli przez Sejm, jak to było widać w telewizorze, w świetle błyskających fleszy – pomimo wezwań części dziennikarzy, by ich nie fotografować (solidarność w tym niezwykle konkurencyjnym środowisku nie może być przecież doskonała).

Bezpośrednia reakcja dziennikarzy na arogancję polityków była dowodem, rzadkim niestety, że w swojej pracy oceniają też wartość informacji, a nie tylko prześcigają się w relacjonowaniu i produkowaniu newsów. Ale późniejsza histeria popsuła to dobre wrażenie. Okrzyki: „hańba”, „skandal”, odkładanie mikrofonów i kamer na podłogę, a przede wszystkim relacjonowanie później tego nierelacjonowania w mediach do upojenia – takie demonstracyjne obrażanie się dziennikarzy na polityków nie ma sensu. Więcej, jest w stylu Jarosława Kaczyńskiego, co on sam bezwzględnie wykorzystał nazajutrz, kiedy trochę się tłumacząc, zarazem zaatakował dziennikarzy za reakcję „niewspółmierną” do swojej „niezręczności” i postraszył ich karami marszałka Sejmu.

Całe zdarzenie potwierdza, że zarzucana politykom przez media arogancja wobec opinii publicznej jest faktem. Oni obrażali nie nas, dziennikarzy, ale naszych czytelników, widzów, słuchaczy. Nestor polskich dziennikarzy Stefan Bratkowski zauważył, że dziennikarze wcale nie są bezbronni. Mogliby na przykład dotkliwie ugodzić PiS, nie wspominając o nim w mediach przez tydzień. Z tej trafnej obserwacji niesłuszne byłoby jednak wyciąganie wniosku, że należy się teraz obrazić, zastrajkować i nie informować opinii publicznej, by dopiec nielubianym politykom (a takie wrażenie można było odnieść, oglądając relacje telewizyjne i fotografie gazetowe leżących mikrofonów i kamer). W ten sposób z kolei dziennikarze obraziliby swoich

czytelników, widzów, słuchaczy. A demonstracje obrażania się nie świadczą najlepiej o obrażających się. To dotyczy w takim samym stopniu prezesa Kaczyńskiego, jak i nas, dziennikarzy.

PORZĄDKUJEMY SYTUACJĘ CZY PRODUKUJEMY CHAOS

Nieinformowanie z przyczyn emocjonalnych jest sprzeczne z naturą zawodu dziennikarza. Pamiętacie z filmu „Człowiek z żelaza” dialog o „świetnej pracy, palce lizać”? W kanalizacji... To trochę i o dziennikarzach. Wspinały zawód, ale musimy w tej kanalizacji robić codziennie, niezależnie od tego, z jakiej rury brygnie. Bez emocji i uskarżania się.

Zupełnie czym innym jest selekcjonowanie wiadomości w zależności od ich wartości. To oznacza, że naturą pracy dziennikarza jest odrzucanie wiadomości pozorych. Nie cenzura, nie bojkot, nie manipulacja – ale porządkowanie szumu informacyjnego zawierającego nadmiar wiadomości. To strasznie trudne i odpowiedzialne, bo każdy bohater wiadomości odrzuconej ma skłonność do tłumaczenia tego teorią spiskową, a nie względami merytorycznymi. Zwłaszcza politycy, którzy uwielbiają swoje konferencje prasowe czy wiadomości pozorne dawkomane dziennikarzom w postaci przecieków na wyłączność.

**PAKT STABILIZACYJNY, O KTÓRY
BYŁA CAŁA AWANTURA, JEST,
A JAKBY GO NIE BYŁO. ZOSTANIE
PODPISANY OSTATECZNIE PRZEZ
TRZY PARTIE DOPIERO PO
UZGODNIENIU SZCZEGÓŁÓW
PROJEKTOWANYCH USTAW**

A my, dziennikarze, mamy na karku coś jeszcze: oglądalność, słuchalność, sprzedaż (od tego zależą budżety reklamowe). Medium A puszcza bąka produkcji miernego polityka, który koniecznie musi się zobaczyć w telewizorze. Medium B reaguje, nie może przecież tego nie mieć, co gorsza, musi takiego newsobąka pogłębić, żeby pogłębić konkurencję – więc wyciąga coś równie atrakcyjnego od innego geniusza. Tak robią wszyscy. Nie? A co naprawdę istotnego mieli do powiedzenia dziennikarzom posłowie z komisji do sprawy Orlenu? Czy to nie media wykreowały takich bohaterów, jak Giertych, Wassermann czy Miodowicz? Pamiętam tłumy dziennikarzy na ich konferencjach, choć nie mieli nic do powiedzenia poza insynuacjami, na które do dziś nie znaleźli dowodów. Czy nie podobnie było w komisji do sprawy Rywina, gdy Jan Rokita rzucał także bezpodstawne oskarżenia będące wynikiem jedynie jego głębokich przemyśleń?

Czy to nie w takich sytuacjach należy wychodzić z sali konferencyjnej? Odkładać mikrofon i kamerę, niekoniecznie na podłogę? Nie żeby demonstrować, ale by odrzucić wiadomości pozorne. Czy naprawdę trzeba nas dopiero upokorzyć, żebyśmy zechcieli się odwrócić od całej tej ściemy, w której się ścigamy?

Bywa jeszcze gorzej. Z zażenowaniem oglądałem w wielu mediach relacje po ostatniej tragedii w Katowicach. Nie tylko z pogrzebów, gdzie kamera, mikrofon i flesz musiały zająć centralne miejsce.

Dokument telewizyjny („Tylko u nas”) przedstawiał zrozpaczoną parę starszych ludzi, którzy już stracili troje najbliższych, ale szukają jeszcze kolejnej dwójki. Idą do urzędu, chyba na policję. Wypowiadają się do nagrywających dziennikarzy, którzy – nie wątpię – mieli zgodę na filmowanie. Właśnie w tym momencie, gdy ci bezbronni, zmaltretowani, płaczący ludzie dowiadują się, że poszukiwana dwójka też nie żyje. Wyłączyłem telewizor z poczuciem wstydu, że nie ma granicy osobistej tragedii, której my, dziennikarze, byśmy nie sforsowali. Bardzo źle jest, gdy emocje zastępują informacje. To nie jest dziennikarstwo.

UWAGA, NEWS POZORY

Jeszcze raz powtórzę: jestem wdzięczny dziennikarzom, którzy wyszli z fikcyjnej konferencji Kaczyńskiego, Leppera i Giertycha. Nie dlatego, że politycy nas obrażali, ale dlatego że odgrywali komedię. Za mało wśród dziennikarzy takich wyjść, kiedy zderzają się z informacjami bezwartościowymi.

Wcześniejsza konferencja dla mediów ojca Rydzyka dostarczyła tylko jednej istotnej informacji – że powstała większość w parlamencie gwarantują-

ca przetrwanie rządu Marcinkiewicza. Nie wiadomo, na jak długo. Do dziś prezydent Kaczyński nie rozwiązał nawet obaw, czy nie rozwiąże parlamentu. I nie będziemy tego wiedzieli aż do 14 lutego, czyli do dnia, kiedy ten straszak działa.

Sam pakt jest na razie bezwartościowym koncertem życzeń w postaci listy ponad 150 projektów ustaw, w większości stanowiących jedynie hasła, których szczegóły mają jeszcze uzgadniać sygnatariusze. Nawet nie wiadomo, czy pakt jest ostateczny. Jest, a jakby go nie było. Bo według punktu piątego „porozumienie zostanie ostatecznie podpisane po przeprowadzeniu procedury określonej w załączniku numer 3”. A ten załącznik określa, że projektowane ustawy przybiorą „konkretny kształt” dopiero „poprzez wspólne uzgodnienia”. W nieokreślonej przyszłości. Na razie uzgodnień nie ma. Nic nie jest więc przesądzone, choć czasem wygląda groźnie. Kto wie, może na obu konferencjach pakt był tylko paraflowany?

Gdy się go czyta, widać, że tak czy owak należało z tej konferencji wyjść. Nawet jakby zaproszono wszystkie media naraz. Bo tu się nic kupy nie trzyma.



Sejm, 2 lutego 2006. Narzędzia pracy na podłodze, czyli protest dziennikarzy, którzy wyszli z pseudokonferencji PiS, LPR i Samoobrony

Moralny Jackson

Michael Jackson najprawdopodobniej zaśpiewa teksty modlitw Jana Pawła II. Włoskie wydawnictwo Edizioni Musicali III Millennio specjalizujące się w muzyce sakralnej i organizujące koncerty „Boże Narodzenie w Watykanie” ma prawa autorskie do 24 modlitw polskiego papieża i chce, aby ich teksty wykonał kontrowersyjny gwiazdor. Szef firmy, ksiądz Giuseppe Moscatti, zaznacza, że płyta z modlitwami jest na razie w sferze planów. Jackson nie ukrywa zainteresowania projektem. Wydawnictwo nie zawarło jeszcze kontraktu z piosenkarzem. Pomysł utrzymywany był do tej pory w tajemnicy. Zdaniem księdza Moscatiego płyta Jacksona z modlitwami Jana Pawła II będzie mieć wartość artystyczną, moralną i społeczną. MW

Farsa z Hitlera



Hitler, zaskakujący oś w Jerozolimie

Fot. GADI DAGON/AP

„Producenci”, musicalowa wersja komedii Mela Brooksa, od kilku tygodni są hitem w... Izraelu. To zaskoczenie, bo rzecz dotyczy czasów II wojny światowej, a głównym bohaterem jest producent teatralny, który planuje zabicie fortuny na przygotowanej z premedytacją teatralnej kłapie – spektaklu „Wiosna dla Hitlera”. W państwie, w którym wspomnienie traumy Holocaustu wciąż jest żywe, dzieło Brooksa mimo prześmiewczego charakteru może budzić różne reakcje. – Nikt nie wiedział, jak to zostanie odebrane w Izraelu. Byliśmy pewni, że pojawią się protesty – mówi Dan Almagar, autor hebrajskiego tłumaczenia „Producenci”. Tymczasem izraelska publiczność reaguje świetnie. AK

MAŁDZY USTĘPUJE MAHOMETOWI

MUZULMANIE OBRAŻENI KARYKATURAMI MAHOMETA W EUROPIE DEMONSTRUJĄ NA CAŁYM ŚWIECIE. CZY TAKA PUBLIKACJA BYŁA MAŁDRA?

Seria karykatur przedstawiających Mahometa między innymi w turbanie w kształcie bomby z zapalonym lontem rozwścieczyła muzułmanów – od Jordanii, przez Iran i Kaszmir, aż po Tajlandię. Ten autentyczny gniew i urazę religijną umiejętnie podsycają skrajne grupy islamskie. Ich bojówkarze podpalili już placówki Danii i Francji w Syrii i Libanie, a duński konsulat w Dżakarcie został obrzucony kamieniami. Od ponad tygodnia każdy dzień przynosi nowe incydenty. Są pierwsze ofiary śmiertelne: w Turcji zastrzelono przed kościołem katolickiego księdza, a w Afganistanie od kul policji zginęli dwaj uczestnicy zamieszek.

Europejska prasa przedrukowała duńskie karykatury w imię obrony wolności słowa. Podobną decyzję podjęła nasza „Rzeczpospolita”. Jej redaktorzy, podobnie jak szefowie wielkich europejskich gazet, uznali, że cenzurowanie łagodnej jak na standardy zachodnie satyry byłoby uleganiem szantażowi islamistów. Ale taka argumentacja nie bierze pod uwagę ich emocji religijnych. Dla nich Mahomet to uosobienie świętego Koranu, postać otoczona przez islam niesłychaną estymą. Chodzi jednak nie tylko o religię. Do rozpętania piekła na ulicach Damaszku i Bejrutu przyczyniły się w sposób oczywisty podłączone do europejskich stron Internetu zbrojne grupy islamskich radykałów. Są sfrustrowani kryzysem rozmów pokojowych z Palestyńczykami, okupacją Iraku, perspektywą



W Gazie protestowali palestyńscy bojówkarze (u góry). W Pakistanie palili duńskie flagi studenci. Protesty spowodowały całą szpalta karykatur Mahometa w duńskiej gazecie (winietę powyżej)

interwencji USA w Iranie. I bez jątrzących karykatur w duńskiej prasie radykalizm zdobywa tysiące nowych zwolenników. Jego potęgę pokazują choćby wybory w Autonomii Palestyńskiej wygrane niedawno przez Hamas odpowiedzialny za setki krwawych zamachów terrorystycznych.

Islamskie media nie studzą nastrojów – zarzucają Amerykanom plany krucjaty na Bliski Wschód i bez oporów publikują antychodnie karykatury, choćby demonicznych amerykańskich Żydów z długimi nosami i walizkami pieniędzy (co w Europie uznano by za razizm). Atakują także zachodni ideał „bezbóżnego” państwa świeckiego, szerzenie cywilizacji rozpusty i dążenie do katastrofy ekologicznej. Lekarstwem na to ma być budowa światowego islamskiego państwa w walce z zachodnimi imperialistami – argumentują islamscy radykałowie, także w Europie Zachodniej.

Większość przywódców islamskich społeczności we Francji czy Wielkiej Brytanii nie garnie się do integracji, choć bardzo chętnie korzystają z zachodniej wolności

MORGENAVISEN Jyllands-Posten

słowa i publicznych zgromadzeń, z publicznych szkół i zasilków, a ekstremiści i terroryści także z dotacji na ochronę prawną. Ze szczególną radością islamisti witają ideologię politycznej poprawności, która w praktyce często pozwala pluć na Chrystusa, ale chroni islam i Mahometa.

Obrońcy karykatur proroka w Europie obawiają się widma formalnej islamskiej cenzury. Mimo to wielka awantura o Mahometa każe szukać kompromisu, bo publikacja treści obraźliwych dla islamu może prowadzić do przelewu krwi niewinnych ludzi. Takie samoograniczenia mogą być koniecznością w Europie XXI wieku – jeśli ma ułożyć sobie życie z milionami islamskich emigrantów i ich potomkami, być może powinna mądrze, choć tylko o krok ustąpić przed wrażliwością wyznawców Mahometa. Ustawę o szerzeniu nienawiści religijnej znacznie okroili w ubiegłym tygodniu parlament brytyjski. Ale policja w Zjednoczonym Królestwie będzie mieć prawo aresztowania ludzi nawołujących do waśni religijnych. W imię spokoju. RYB

ROSJA ZNÓW SKAZUJE

ROSJA WŁADIMIRA PUTINA PO RAZ PIERWSZY SKAZAŁA DZIAŁACZĄ PRAW CZŁOWIEKA. TO POZĄTEK MASOWYCH REPRESJI – MÓWIĄ INNI



Rosyjski działacz praw człowieka Stas Dmitriewski

Fot. ALEXEI ROGOW/AP

Stas Dmitriewski kierował Stowarzyszeniem Przyjaźni Rosyjsko-Czeczeńskiej i publikował apele o pokój w kaukaskiej republice. Na wokandzie sądowej dowiedział się, że „krzewił nienawiść etniczną”. W sobotę dostał 2,5 roku w zawieszeniu. Rzekomo za to, że publikując odezwę czeczeńskich przywódców, naruszył ustawodawstwo antyterrorystyczne. Tyle że odezwa była wezwaniem do rozmów pokojowych.

Skazanie Dmitriewskiego wywołało protesty Amnesty International i Human Rights Watch. Rosyjski Memoriał ogłosił, że to początek represji putinowskiego reżimu, którego celem jest „zamknięcie ust organizacjom praw człowieka”.

Popis służalczości dała część mediów. „Sądzą przyjaciela cze-

czeńskich rebeliantów”, „Dwa lata za związki z terrorystami” – oto tytuły publikacji w gazecie „Nowaja Politika” i na stronie kremłowskiego Radia Majak. „W zasadzie sąd mógł ogłosić jeszcze surowszy wyrok” – skomentowała gazeta „Utro”, a telewizja znalazła niejakiego Klaus Winkla, rzekomego członka niemieckiej organizacji Związek Praw Człowieka, który oskarżył Dmitriewskiego o powiązania z terroryzmem. Próba wyszukania niemieckiego działacza w Internecie nie daje żadnych rezultatów.

Dmitriewski mimo skazania może mieć jedną satysfakcję. W Rosji, gdzie władza terroryzuje sądy, wyrok w zawieszeniu w takiej sprawie jest de facto uniewinnieniem. JK



Egipt, port w Safaga. Rodziny czekają na kolejne nazwiska ocalałych rozbitków odczytywane przez megafon

Fot. BEN CURTIS/AP

PRAWIE 200 CIAŁ WŁOWIONYCH Z MORZA Czerwonego 1800 ZAGINIONYCH. TRAGEDIA EGIPSKIEGO PROMU POKAZAŁA, JAK NISKO CENI SIĘ W WIELU KRAJACH ŻYCIE LUDZKIE

MORZE ROZPACZY

Salaam-98” mógł zapewne wciąż zawrócić do saudyjskiego wybrzeża, gdy na jednym z pokładów wybuchł pożar. Kapitan wolał jednak podjąć próbę dopłynięcia do Egiptu, mimo że trasa była pięciokrotnie dłuższa. Zapewne chodziło o uniknięcie strat przez przewoźnika. Gdy po kolejnych kilkudziesięciu milach jednostka szła na dno, jej załoga jako pierwsza opuściła pokład. Utonęło ponad tysiąc pasażerów, w większości egipskich robotników pracujących w bogatej Arabii Saudyjskiej.

Marynarze nie wiedzieli, że wywołują nie tylko jedną z największych katastrof morskich w historii, ale do tego stawiają swój kraj na krawędzi krwawej jatki. W poniedziałek krewni ofiar szturmowali szpitale i siedziby armatora, w paru miejscach doszło do starć z policją. Rząd prezydenta Hosni Mubarak zapowiada śledztwo, ale jedna z opozycyjnych gazet napisała, że spółka transportowa, która była winna tragedii, jest powiązana z władzami. Kapitan, który przeżył katastrofę, nagle zniknął. JK

Gwiazdy w miłosnych duetach

na najnowszej płycie POLSKIEGO RADIA

polskieradio.pl

Jedynka POLSKIE RADIO

ona i on

2CD

ona:

Grażyna Wolszczak, Ewa Bem, Joanna Liszowska, Grażyna Szapołowska, Natalia Kukulska, Małgorzata Foremniak, Edyta Górniak

on:

Zbigniew Wodecki, Wiktor Zborowski, Maciej Maleńczuk, Krzysztof Kiljański, Zbigniew Zamachowski, Andrzej Piaseczny, Radosław Krzyżowski

oraz poezja miłosna w wykonaniu gwiazd polskiego kina m.

Danuty Stenki, Teresy Budzisz-Krzyżanowskiej, Anny Nehrebeckiej i Marka Kondrata.

PATRONI MEDIALNI:

Jedynka POLSKIE RADIO

TVP 2

VIVA!

Moskwa, grudzień 2005 roku. Brytyjski dyplomata rozgląda się nerwowo i niepewnym krokiem maszeruje przez park na przedmieściach stolicy Rosji. Pod pachą taszczy wydrążony kamień z ukrytym w środku nadajnikiem. Miesiąc później 27-letni Marc Doe zobaczy siebie samego w telewizji. Tę samą wątpliwą przyjemność miało trzech jego kolegów z brytyjskiej ambasady w Moskwie sfilmowanych podczas nurkowania

po krzawkach i odbierania raportów z „gadającego kamienia”.

Kremlowska Rosja z dumą pokazała dekonspirację groźnej siatki szpiegowskiej, a Federalna Służba Bezpieczeństwa (FSB) poinformowała o aresztowaniu Rosjan podejrzanych o współpracę z brytyjskim wywiadem. Informatorzy wypadli na filmie z ukrytej kamery jeszcze gorzej niż Doe: zatrzymali się w krzawkach przy drzewie, gdzie zakopano „kamień”. Na zdjęciach jeden wykorzystuje okazję, by oddać moc, inny – zapewne sfrustrowany, że urządzenie nagrywające nie chce zapisać jego

raportu – kopie z całej siły w wydrążony kamień. Żaden z dwójki Rosjan (podobnie jak i czwórki dyplomatów) nie zdawał sobie sprawy, że każdy ich ruch rejestrowały ukryte kamery FSB.

22 stycznia telewizyjne dzienniki pokazyją Rosjanom punkt odbioru tajnych danych szpiegowskich przez pracowników ambasady, którzy podłączali do „kamienia” swoje palmtopy. W londyńskim Foreign Office i siedzibie MI6 powstają specjalne grupy kryzysowe. Ale jest już za późno na ratowanie honoru ojczyzny Jamesa Bonda. Niewiele dają także

**Prezydent Władimir Putin
rozdmuchnął szpiegowską
wpadkę brytyjskiej MI6.
Prawdziwym celem
było uderzenie
w rosyjskie organizacje
praw człowieka**

dementi: ambasada mówi o „absurdalnych zarzutach”, ministerstwo spraw zagranicznych udaje zdumienie, a premier Tony Blair twierdzi, że o całej sprawie dowiedział się z telewizji.

ŚMIERDZĄCA FUSZERKA

Tego dnia George Blake, słynny brytyjski podwójny agent, który po ucieczce do ZSRR w 1966 roku dożywa swoich dni w pensjonacie dla sowieckich szpiegów, musiał się zapewne krztusić ze śmiechu nad codzienną porcją płatków. Jego rodacy, którzy mają z Rosją dłu-

gie szpiegowskie porachunki (patrz ramka), tym razem odwalili wyjątkową fuszerkę. W przeciętnym Brytyjczyku cała ta historia budzi w równej mierze poczucie złośliwej radości co upokorzenia.

W „Podręczniku dla szpiega” – książce, którą każdy mały Anglik w wieku 9–10 lat czyta z wypiekami na twarzy – nikt nie próbowałby robić czegoś równie głupiego (rekomendowane tam sposoby w rodzaju pisania sokiemy cytrynowym na serwetce byłyby z pewnością po stokroć bardziej efektywne). Nafaszerowany techniką glaz należał bardziej

Gmach ambasady Wielkiej Brytanii w Moskwie to miejsce pracy dyplomatów, ale także grupki szpiegów z MI6

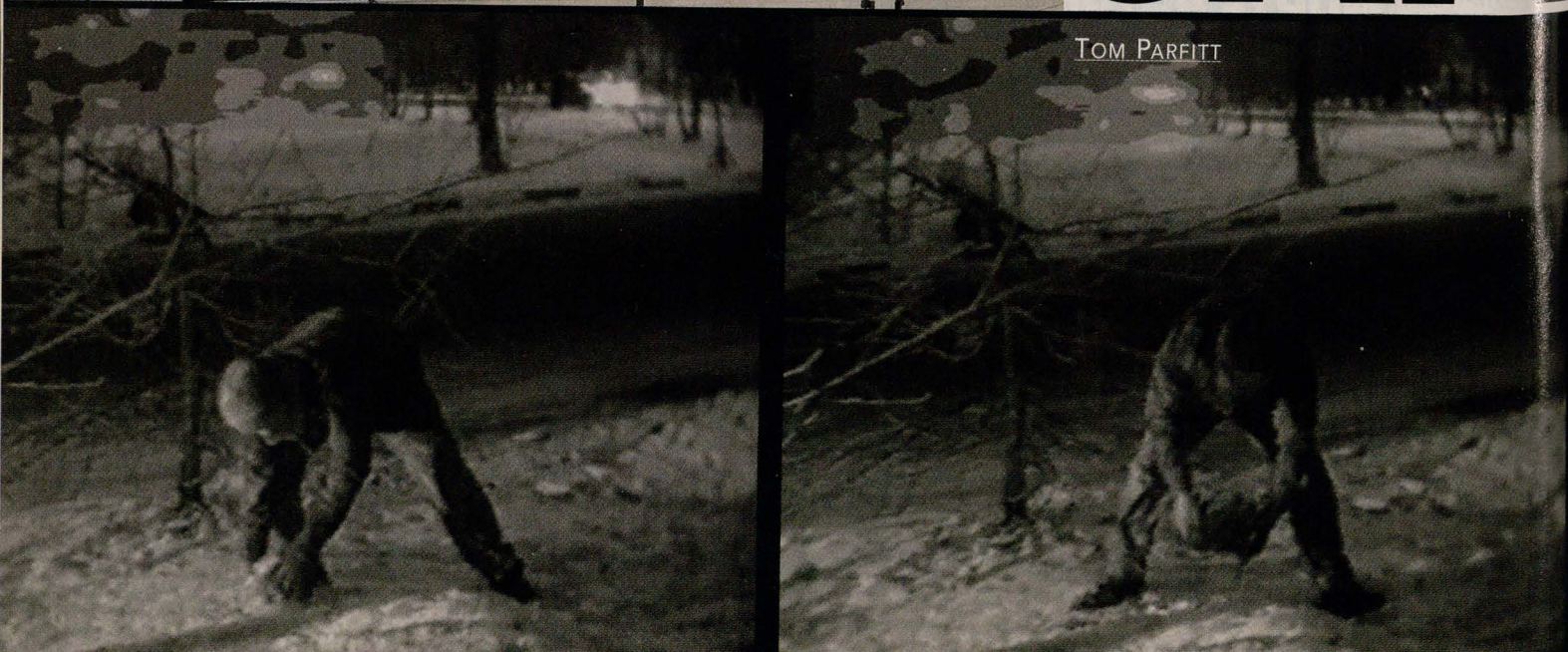


JAMES BŁĄD W MOSKWIE

TOM PARFITT

Siedziba rosyjskiego ministerstwa spraw zagranicznych w Moskwie

Rosyjska Federalna Służba Bezpieczeństwa (FSB) filmowała brytyjskich szpiegów i rosyjskich informatorów komunikujących się za pomocą nadajnika ukrytego w kamieniu w parku w Moskwie



W wydrążonym kamieniu tkwił komputer, na którym rejestrowali swoje doniesienia rosyjscy informatorzy szpiegów z MI6. Pracownicy ambasady brytyjskiej odbierali raporty za pomocą palmtopów



do repertuaru Q, zwariowanego wynalazcy, który zaopatrywał Jamesa Bonda w śmiertelne spinki do mankietów i wybuchające pióra. Pomysł z kamieniem należał jednak z pewnością do najmniej udanych.

– W mojej opinii, jeśli ci agenci zostaną wydalen, Wielka Brytania przyśle nowych, bystrzejszych i wtedy trudniej będzie nam ich namierzyć – kpił w żywe oczy prezydent Władimir Putin, sam, bądź co bądź, były oficer sowieckiego wywiadu. Rosyjska władza nienawidzi Wielkiej Brytanii za udzielanie schronienia czeceńskiemu separatystce Ahmedowi Zakajewowi i oligarsze Borysowi Bierzowskiemu. Ale prawdziwym celem szarży Putina nie jest Londyn. Wkrótce po programie (znawcy Rosji mogą się od razu spodziewać, że intryga będzie miała dalszy ciąg) okazuje się, że Marc Doe zajmował się w ambasadzie akceptowaniem brytyjskich grantów dla organizacji pozarządowych, a jego „klientami” są przede wszystkim znane rosyjskie grupy obrony praw człowieka. Według FSB to właśnie 12 takim grupom Brytyjczycy postanowili przekazać ponad 300 tysięcy funtów. A FSB może liczyć

na wierne Kremlowi media, które dowodzą teraz, że promowanie społeczeństwa obywatelskiego w Rosji za cudze pieniądze to zdrada ojczyzny.

– Myślę, że w tym przypadku można śmiało powiedzieć, że pieniądze śmierdzą. Dla wielu stanie się teraz jasne, dlaczego Rosja przyjęła nowe uregulowania dotyczące organizacji pozarządowych – powiedział Putin. Szpiegowski skandal spadł mu z nieba jak na zamówienie. W grudniu podpisał ostrą ustawę wprowadzającą ograniczenie w zatrudnianiu cudzoziemców przez organizacje pozarządowe. Nowe prawo pozwala także Kremlowi zamknąć każdą organizację, która zostanie uznana za niekonstytucyjną.

Powód? Trudno o prostszy. Rosyjska oligarchia, jedyna, która bezkarnie mogła do niedawna finansować partie i ruchy polityczne, jest już pod butem Kremla. Opozycja działająca bez zgody Putina wie, że nie dostanie ani kopiejkę. Cała działalność obywatelska opiera się na zachodnich grantach. Gdyby je odciąć, obrońcy praw człowieka, przeciwnicy wojny w Czeczenii, matki zwalczające woj-

MR SPY, CZYLI GOSPODIN SZPION

Rosja i Wielka Brytania mają długą historię zmagania na arenie szpiegowskiej. „Szpiedzy z Cambridge”, tacy jak George Blake i Kim Philby, byli zdeklarowanymi marksistami, którzy w latach 40. przekazywali Moskwie kluczowe informacje z powodów ideologicznych, a nie finansowych. W słynnej akcji przeprowadzonej w 1978 roku radzieccy agenci zabili na moście Westminster w Londynie bułgarskiego dysydenta Markowa za pomocą parasola zatrutego rycyną.

W latach 80. i na początku 90. kilku oficerów KGB zbiegło do „starej, dobrej Anglii”. Jednym z nich był archiwista Wasilij Mitrochin. Wydał on Melitę Norwood, najdłużej działającej szpiega w Wielkiej Brytanii – przekazywała nuklearne sekrety przez ponad 30 lat. W czasach mniej odległych kilkakrotnie dochodziło do wzajemnego wydalania dyplomatów oskarżanych o uprawianie szpiegostwa. Żaden z tych przypadków nie wywołał jednak takiego skandalu jak wpadka ze szpiegowskim kamieniem, największa afera szpiegowska na linii Londyn–Moskwa od 1996 roku, kiedy Rosja wydała dziewięciu dyplomatów oskarżanych o szpiegostwo, a Wielka Brytania uznała za persona non grata czterech rosyjskich dyplomatów.



Putin wywołał aferę szpiegowską, by uderzyć w niezależne od Kremla opozycyjne grupy ochrony praw człowieka w Rosji

Ludmila Aleksiejewa, sędziwa liderka Moskiewskiej Grupy Helsińskiej, nie ukrywa, że jej organizację finansuje Zachód, także Wielka Brytania

Rosjanom od dziesięcioleci wpajono: kontakt z cudzoziemcem plus pieniądze równa się szpiegostwo. Prezydent Putin po mistrzowsku gra tym stereotypem

ską falę i przeciwnicy rasizmu domagający się tolerancji dla kaukaskich mniejszości zostaną zepchnięci do zagrazonego pokoju z powielaczem.

PREZENT DLA KREMLA

Zarzut Putina opiera się jednak na pokrętnym tłumaczeniu. Nawet jeżeli Doe był agentem, jego związki z rosyjskimi organizacjami były czysto techniczne. Obrońcy Brytyjczyków twierdzą, że płatności były transferami funduszy ministerstwa spraw zagranicznych na rzecz rozwoju społeczeństwa obywatelskiego Rosji. Wielka Brytania nigdy nie ukrywała, że udziela corocznie pomocy finansowej rosyjskim niezależnym organizacjom, szczególnie tym zajmującym się ochroną praw człowieka i środowiska naturalnego. Pomoc ta zamyka się pokazną kwotą około 500 tysięcy funtów rocznie i jest całkowicie jawna.

Część brytyjskich funduszy trafiła do obrońców praw człowieka, takich jak Moskiewska Grupa Helsińska – organizacji wydającej co roku pokazny raport o łamaniu praw człowieka w Rosji, kierowanej przez dawną weterankę ruchu dysydenckiego, wyrzuconą w 70. latach z ZSRR Ludmiłą Aleksiejewą. Grupa od razu wyczuła w aferze wstęp do kompromitowania ruchu praw człowieka. Tydzień później dysydenci próbowali demonstrować pod Łubianką – w efekcie 20 osób trafiło do aresztu.

Zdaniem Aleksiejewej Putin wywołał aferę, by usprawiedliwić restrykcje wobec niezależnych organizacji. Ale Brytyjczykom rosyjscy działacze też nie mają za co dziękować. Ich głupia wpadka nastąpiła w okresie, gdy idea społeczeństwa obywatelskiego jest w Rosji coraz bardziej zagrożona. Analitycy nie mają wątpliwości, że telewizyjny dokument nie przypadkiem nadano akurat w czasie, gdy Kreml fors-

uje ustawę ograniczającą działalność organizacji pozarządowych. – Dali Putinowi prezent i osłabili wiarygodność zachodnich krytyków Kremla, którzy mówią, że Rosja coraz bardziej odchodzi od demokracji – zauważa James Owen z londyńskiego Centrum Polityki Zagranicznej.

PAMARAŃCZE ZA SREBRNIKI?

Moskwa z pewnością boi się nowej pomarańczowej rewolucji i chce wciągnąć w swoją orbitę wszelką działalność pozarządową, po to by nie przerodziła się ona w polityczną opozycję. Strachem napawają ją zwłaszcza organizacje o charakterze „agresywnym”, takie jak Fundacja Sorosa. To one ściągają gromy na siebie, a przy okazji na innych. Obrońcy praw człowieka są ofiarami tego procesu. – Ruch praw obywatelskich zawsze był w Rosji postrzegany jako zagrożenie dla państwa. Kreml chce go kontrolować – mówi Irina Siemienienko, politolog z Instytutu Gospodarki Światowej i Stosunków Międzynarodowych (IMEMO) w Moskwie.

Czy rzeczywiście możliwe jest, by brytyjski rząd próbował wpływać na rosyjską politykę wewnętrzną, przekazując za pośrednictwem MI6 pieniądze organizacjom charytatywnym i obrońcom praw człowieka? A może po prostu Kreml upiekl aferę z dwóch naturalnych rzeczy – tego, że obce ambasady bardzo często rozdają granty, i tego, że te same ambasady – to norma – zawsze mają struktury zajmujące się szpiegostwem. – Każdy, kto myśli, że szpiegowska gra skończyła się wraz z końcem zimnej wojny, popełnia błąd – mówi „Przekroju” brytyjski ekspert od wywiadu Phillip Knightley. – Większość szpiegów pracuje z własnej ambasady.

Wielka Brytania nie tylko nie jest wyjątkiem, ale uchodzi za bardzo zainteresowaną infiltracją Rosji. – Rola Rosji jako dostawcy energii dla Zachodu i ostatni spór Gazpromu z Ukrainą przypominały ludziom, że Rosja jest odradzającym się mocarstwem. Brytyjczycy czują się zagrożeni i dlatego chcą trzymać rękę na pulsie – mówi.

Szkoda, że tym razem rachunek do zapłacenia otrzymają także ludzie, którzy zapewne nie mieli z ich planami nic wspólnego. Szkoda też, że znów wielu ludzi uwierzy w lansowaną przez ekipę Putina wizję: szpiedzy są wśród nas! To ona doprowadziła do skazania na więzienie rosyjskich naukowców Igora Sutiagina i Waleriina Daniłowa, którzy współpracowali z zagranicznymi placówkami, to ona wysłała za kratki wojskowego dziennikarza Grigorija Paśkę.

W ubiegłym tygodniu Putin gniewnie odrzucił argumenty krytyków, którzy twierdzą, że Moskwa nie zasługuje na przewodniczenie grupie G8. Putin nazwał krytyków Rosji „psami, które szczekają, podczas gdy karawana jedzie dalej”. Nie ujawnił tylko kierunku jazdy.

TOM PARFITT, MOSKWA

Więcej artykułów na temat Rosji w  **wp.pl**
w serwisie **www.wiadomosci.wp.pl**



JAKUB KUMOCZ

LEWI PREZYDENCI

Pierwsze godziny urzędowania, styczeń 2006 roku. Evo Morales pozdrawia z okna pałacu prezydenckiego wiwatujący tłum. – Krawaciarze mają problem! Byle tylko nie zrobili mi krzywdy – krzyczy jakaś kobieta. Pierwszy indiański prezydent w historii Boliwii i dawny hodowca koki nigdy nie zakłada marynarki, bo to symbol białej „okupacji”, i cały czas mówi o krzywdzie swoich pobratymców. – Nie jesteśmy mściwi. Po prostu pokażemy tym, którzy nas masakrowali i mordowali, jak się nimi rządzi – krzyczy nowo wybrany lider.

Wenezuela, styczeń 2006 roku. Hugo Chávez kończy właśnie siódmy rok rządów i teraz znów szykuje się do wyborów. Właśnie emituje swój niedzielny program „Aló Presidente”. – Nad Wenezuelą znów wstało słońce, a my jak co tydzień zaczynamy nasz program – mówi z mikrofonem w ręku, po czym przez siedem bitych godzin prowadzi samemu wielki talk-show, gigantyczną reklamę jego socjalistycznej „rewolucji”, która zmiotła wszechwładzę kapitału i jankesów. – To, co kapitalizm wam zabrał, nowa socjalistyczna Wenezuela wam oddaje – mówi.

Inácio Lula da Silva nie był hodowcą koki i nie umie być medialny jak Chávez. Robotnik z kilkoma klasami podstawówki, dawny lider związkowy i admirał Fidel Castro, rządzi Brazylią od 2002 roku. Teraz walczy o reelekcję. Jest ikoną latynoskiej lewicy, a na arenie światowej bojownikiem o prawa „ubogiego Południa”.

Gdy rano trafiają do swoich biur, wraz z nimi nad Ameryką Łacińską wstaje czerwony świt. Co najmniej siedem państw ma już lewicowych, nieraz lewackich prezydentów, a wybory w kolejnych przynoszą lewicy dalsze żniwo. To pokłosie niechęci do USA, zniecierpliwienia fiaszem rynkowych reform i zwyczajny efekt domina. Chávez, Morales i Lula to tylko awangarda. Wraz z nimi ciągną inni. Socjaliści rządzą Argentyną i Chile, pierwszego w historii lewicowego prezydenta wybrał Urugwaj, lewica walczy w tym roku o powrót do władzy w Meksyku, a w przyszłym w Nikaragui.

Renesans przeżywa Fidel Castro, który przestał być wyrzutkiem. Nowa lewica widzi w nim ojca rewolucji, a trzech główni liderzy nie szczędzą mu pochwał. Sędziwy przywódca Kuby dożywa swoich lat w chwale.

CZŁOWIEK W SWETRZE

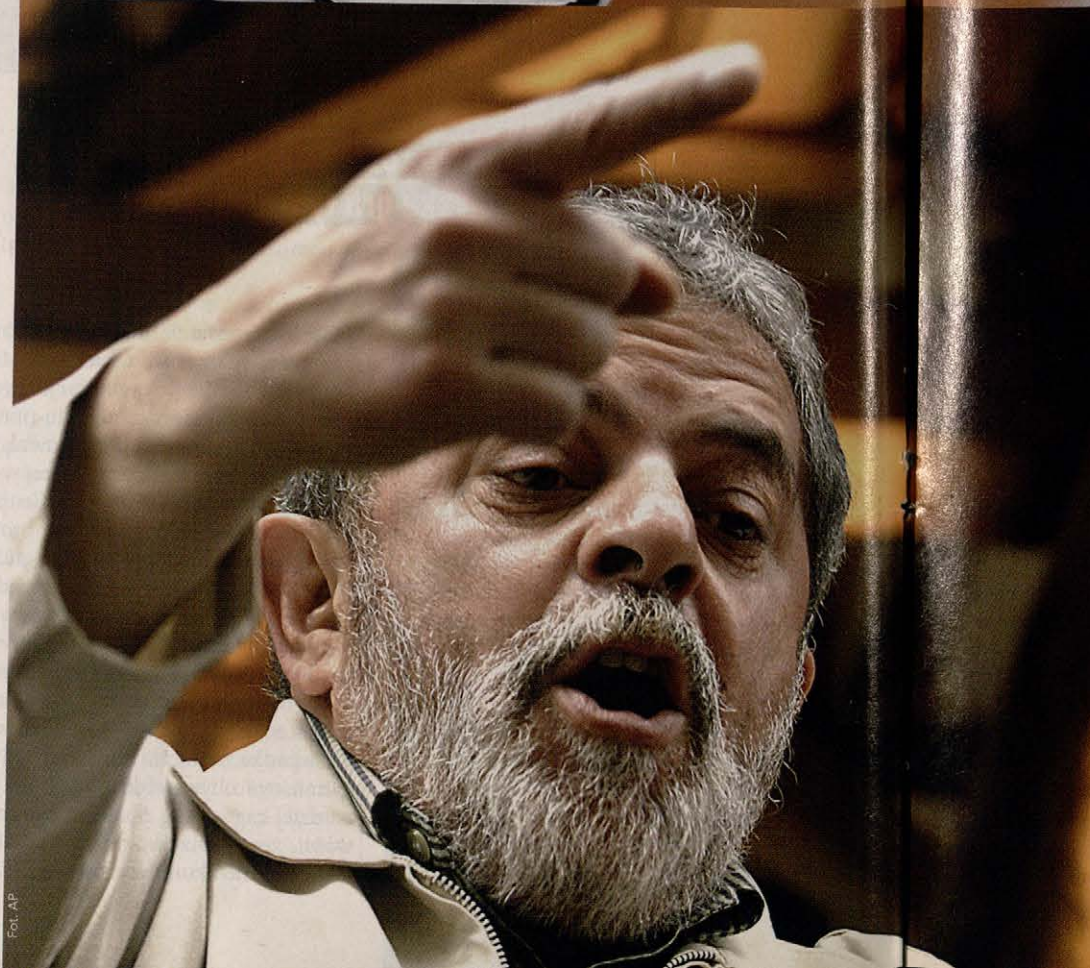
– Chcę wam powiedzieć, indiańscy bracia, że nasza 500-letnia walka i opór nie poszły na marne – 46-letni Evo Morales najchętniej odwołuje się do krzywd, których w czasie hiszpańskich rządów i 180-letniej „niesprawiedliwej republiki” doświadczyła miejscowa ludność. Sam jest w stu procentach Indianinem, choć w rodzimym języku ajmara mówi słabo. Nie zdobył wykształcenia, nie ma rodziny, choć jest ojcem dwójki nieślubnych dzieci z dwiema różnymi kobietami. Został ochrzczony jako katolik, ale swoją ceremonię zaprzysiężenia zorganizował według indiańskich rytów. Nigdy nie założył garnituru – nawet z królem Hiszpanii rozmawiał ubrany w sweter.

Morales wybrnął z najgorszej boliwijskiej nędzy. Z siedmiorga rodzeństwa przeżyła trójka, na początku lat 80. porzucił górnictwo i zajął się hodowlą koki. Gdy naskany przez Waszyngton rząd boliwijski zdecydował się na walkę z uprawami, Evo stał się przywódcą zbuntowanych farmerów. – Koka to nie narkotyki, to święty liść Indian Keczua i Ajmara – mówił na swoich wiecach.

Przychodzą z nędzy, przynoszą ze sobą brzemień analfabetyzmu i biedy, a Ameryka Łacińska wybiera ich jednego po drugim na prezydenta. Południowy kontynent przeżywa wielką eksplozję lewicowych rządów, która pochłania coraz to nowe kraje



Hugo Chávez (z lewej u góry) rządzi Wenezuelą od 1999 roku, Michelle Bachelet (obok) dopiero co wygrała wybory w Chile, podobnie jak Evo Morales (poniżej) w Boliwii. Prezydenta Brazylii Inácio Lulę da Silvę (z lewej u dołu) w tym roku czeka walka o reelekcję





Sweter Evo Moralesa, który indiański prezydent Boliwii założył nawet na spotkaniu z królem Hiszpanii, stał się jednym z ulubionych boliwijskich gadżetów



Nowi przywódcy Ameryki Łacińskiej kochają każdego, kto ma na pieńku z USA. Przyjaciółmi Cháveza są Iran, Chiny i Białoruś, a Evo Moralesa z honorami przyjmuje „stara” Europa



Demonstracja przeciwników USA w Argentynie. Na transparencie obok siebie: Castro, Chávez, Kirchner, Lula i Tabaré Vázquez



Dwóch uczniów i nauczyciel? Nowi lewicowi przywódcy Ameryki Łacińskiej wyciągnęli z lamusa Fidela Castro – traktują go jako prekursora swojej walki. Na zdjęciu: Chávez, Castro i Morales

Wdzięczni cocaleros wybrali go na swojego przywódcę. Stojąc na czele indiańskich protestów, doprowadził do upadku dwóch prezydentów.

Największym wrogiem ludzkości jest kapitalizm – mówił. – Fidel Castro to bojownik o wolność – dodawał innym razem. Kocha Ernesta Che Guevarę i fascynuje się liderką gwatemalskich Indian Rigobertą Menchú. Jego naród wybrał go w grudniu ubiegłego roku. Morales dostał 54 procent głosów w pierwszej turze. Wystarczyło parę tygodni, by niedokształcony boliwijski rolnik stał się dla lewicy postacią emblematyczną. Sweter à la Evo stał się tak popularny, że jeden z boliwijskich biznesmenów zarobił już na nim krocie. Morales obniżył sobie pensję o 60 procent i mianował rząd, w którym 14 na 16 ministrów to Indianie. Po czym zapowiedział, że zrywa amerykański program zwalczania koki. – Nie będzie kokainy, nie będzie handlu narkotykami, ale nie pozwolę zniknąć hodowli koki – mówił. Innym razem ni to na iwnie, ni to cynicznie dodał: – Ja jestem farmerem hodującym liście. To nie ja robię z nich kokainę.

Narkotykowa przeszłość nie przeszkadza mu pozostawać autorytetem moralnym lewicy. – Oto eksplozja godności w Ameryce Łacińskiej, brat Morales jest jej największym przykładem – chwali boliwijskiego przywódcę dawny lider nikaraguańskich sandinistów Daniel Ortega. A Castro i Chávez chcą z nim budować antywaszyngtońską „os dobrą” – co jest aluzją do „osi zła”, do której Bush zaliczył Libię, Koreę Północną i Iran.

W styczniu Boliwijczyk objechał kilkanaście krajów, ale nie odwiedził Waszyngtonu. Pierwszą wizytę złożył Fidelowi Castro, a w Europie uzyskał obietnice pomocy finansowej. Francja, Belgia i Hiszpania witały go jak człowieka, który przeciwstawił się Stanom Zjednoczonym.

CZŁOWIEK Z MIKROFONEM

51-letni Hugo Chávez rządzi Wenezuelą od 1999 roku. Siedem lat wcześniej pułkownik re-

wolucjonista próbował dokonać puczu, ale skończył w więzieniu. Władzę nad roponośnym krajem, gdzie bogactwo naftowej oligarchii kontrastuje z biedotą miejskich przedmieść, dostał z woli wyborców i w najbliższym czasie nie ma perspektyw, by ją stracił. Ma 60–70-procentowe poparcie.

Chávez – ciemna karnacja, mieszanek czarnej, białej i indiańskiej krwi – kreuje się na twardziela. Niedoszły ksiądz i bejsbolista, dwukrotnie żonaty ojciec trójki dzieci, popularny wśród kobiet, mówi z prowincjonalnym akcentem, z wenezuelską zjadą końcówki, ale potrafi też idealnie grać uczuciami – popada w patos, raz po raz zdarzają mu się skrzydlate frazy, jest przekonujący i nie owija w bawełnę. George’a W. Busha nazwał kiedyś *pendejo*. Amerykanie długo nie mogli ustalić, czy znaczy to „debil”, „przyglup” czy „duppek”. W lutym publicznie ogłosił, że Stany chcą go zabić. – Jeśli spróbują, odetniemy im ropę – zagroził. Na razie poprzestał na przyjaźnieniu się z Castro i sympatyzowaniu z Iranem, Chinami, Rosją i każdym, kto miewa na pieńku z Ameryką.

W słowach nie przebiega. Opozycyjne kanały telewizji nazwał „czterema kurwami Apokalipsy”, przeciwników politycznych określił mianem „zbirowiska kwiczących świń”, a kardynała, który go skrytykował, „alfonsem” i „bandytą”.

Program „Aló Presidente” co niedziela ma kilkumilionową widownię. Ubrany w kolorową koszulę Chávez odwiedza fabryki, brata się z rolnikami (z każdym jest na ty), nadaje program z różnych miast, ma swoich korespondentów, gdy mu przyjdzie ochota, fałszując, podpiewuje piosenki, opowiada kawały, dzieli się historiami z dzieciństwa i co najmniej kilka-kilkanaście razy wali w Amerykanów.

W ojczyźnie oper mydlanych medialność to klucz do potęgi. – Chávez jest człowiekiem z ludu, śmieje się jak oni, wygląda jak oni, mówi jak oni – mówi „Przekroju” meksykański socjolog

Fernando Buen Abad Domínguez. Najbardziej wieje patosem, gdy na żywo dzwoni do niego Fidela Castro. – Jesteś, Fidelu, socjalistą na miarę XX, XXI i XXII wieku – powiedział mu za którymś razem. – Dokonałście w kilka lat tego, na co my potrzebowaliśmy blisko pół wieku – czule odpowiedział mu kubański przywódca.

CZŁOWIEK BEZ GRZECU

Inácio Lula da Silva różni się od dwójki populistów. Jest starszy, bardziej stonowany i świadom, że od kondycji jego 186-milionowego kraju w dużej mierze zależy światowa gospodarka. Nie ma ropy, więc nie stać go na eksperymenty socjalne, jest biały jak większość Brazylijczyków, zatem nie rozgrywa poczucia krzywdy rasowej.

60-letni prezydent to potomek niepiśmiennych farmerów, którzy przenieśli się do miasta. Da Silva musiał rzucić szkołę i od 12. roku życia pracował – najpierw jako pacybut, później w zakładach metalurgicznych. Przy maszynie stracił palec. Był przez lata związkowcem, bojownikiem z rządami wojskowych, wreszcie twórcą radykalnej Partii Pracujących (PT). Straszyl marksistowskimi frazami o „przejściu środków produkcji”, inicjował Forum z São Paulo, które szybko stało się trzecioświatową międzynarodówką, miejscem narad latynoskich partii komunistycznych, gdzie brylował Fidel Castro. – Dzięki, Fidelu, za to, że istniejesz – mówił na jednym z nich, witając prezydenta Kuby.

Wygrał w 2002 roku, zapowiadając między innymi, że natychmiast zaprzestanie spłaty brazylijskiego długu i zerwie stosunki z Międzynarodowym Funduszem Walutowym (MFW).

Wówczas zwycięstwo Luli przerażało wielu. Gdyby zrealizował swoje zapowiedzi, prawdopodobnie ściągnąłby na swój kraj sankcje i skończyłoby się wojną domową.

Lula ustąpił. Uspokoił inwestorów i zamiast zamieniać Brazylię w rewolucyjny eksperyment, poprzestał na drobnych reformach, a jego programy społeczne, w tym największy – „Zero głodu” – co roku są okrajane. Jednocześnie Lula nie przestał być protektorem latynoskiej lewicy oraz przyjacielem Wenezueli i Kuby. – Nie pozwolimy obrażać naszych towarzyszy – grzmiał pod adresem Stanów Zjednoczonych przy okazji ich kolejnego konfliktu z Chávezem.

Zyskał uznanie światowej lewicy, ale w kraju popsuł sobie notowania lawirantwem. Do tego

popadł w zadufanie. – Nikt w tym kraju nie przewyższa mnie pod względem moralnym i etycznym – palnął którymś razem, a gdy przyłapano go, że na pogrzebie Jana Pawła II przyjął komunię bez spowiedzi, odparł bez namysłu: – Jestem człowiekiem bez grzechu!

CZŁOWIEK NA MOTOCYKLU

Do trójki najbardziej jaskrawych prezydentów lewicy dołączają inni – mniej radykalni, lecz równie przywiązani do wspólnych wartości. Nie rzucają wyzwania Waszyngtonowi, ale nie są już jego oddanymi sojusznikami, nie zamierzają rewolucjonizować gospodarek swoich krajów, ale chcą reform socjalnych. Wreszcie nie dadzą skrzywdzić swoich bardziej radykalnych „towarzyszy” i również wykazują spory szacunek dla Castro.

Tabaré Vázquez, wybrany w ubiegłym roku pierwszy lewicowy przywódca Urugwaju, rozpoczął rządy od przywrócenia zawieszonych przez jego poprzednika stosunków dyplomatycznych z Kubą. Utworzył rząd, do którego weszli między innymi urugwajscy komuniści i związany z dawną partyzantką miejską Ruch na rzecz Uczestnictwa Ludu. W Chile w tym roku w wyborach zwyciężyła socjalistka Michelle Bachelet, która w latach 70., w czasach dyktatury wojskowej, uciekła do NRD. Argentyną rządzi Néstor Kirchner, w młodości lewacki aktywista. Swoją pozycję zbudował na krytyce wolnorynkowych reform. Dziś jest umiarkowany, ale mówi, że jest dumny ze swojej lewackiej przeszłości.

W tym roku lewicowego prezydenta może mieć również Meksyk, bo faworytem wyborów i walki o sześciolletnią kadencję jest Andrés Manuel López Obrador, przywódca Partii Rewolucji Demokratycznej (PRD) i były burmistrz miasta Meksyk. Część lewicy uważa go jednak za typowego przedstawiciela białego, kapitalistycznego establishmentu, który jedynie szermuje lewicowymi frazesami. Bardzo przeszkadza mu dawny

lider indiańskiej rebelii w Chiapas. Subcomandante Marcos demaskuje Obradora jako hipokrytę. Część obserwatorów twierdzi, że sam Marcos, widząc sukcesy sobie podobnych, próbuje włączyć się do walki politycznej i być może za sześć lat będzie walczył o władzę.

LUDZIE UKŁADU

Nowi prezydenci muszą się liczyć ze starymi elitami. Evo Morales, który publicznie zapowiada nową politykę i nacjonalizację boliwijskiego gazu, spotkał się z wielkim kapitałem i uspokajał, że nie ma się czego obawiać. – Będą zmiany reguł gry, ale to nie oznacza, że skonfiskujemy wasze inwestycje – mówił.

Mimo że na temat białych wypowiada się radykalnie, to zza jego pleców wygląda biały wiceprezydent, lewacki intelektualista Alvaro García Linera. Zastępcą Luli jest magnat tekstylny i prawicowy liberał José Alencar, a wiceprezydentem u Cháveza – 77-letni weteran wenezuelskiej polityki i bojownik o prawa człowieka José Vicente Rangel.

Tylko Chávez pozwala sobie na otwarte zatargi z Waszyngtonem i utrzymywanie trwającej od lat zimnej wojny. Ma ropę, a to argument nie do przebiccia. Reszta musi się ograniczać do retoryki, jednak im silniejszy jest ich front, tym bardziej mogą mówić jednym głosem i tym bardziej Stany Zjednoczone muszą się z nimi liczyć.

Większość dochodzących do władzy lewaków, tak jak Lula, zachowując radykalną retorykę, podejmuje znacznie mniej radykalne decyzje. Nie wiadomo, jaką drogę wybierze Morales. Generalnie jednak ci, którzy chcą rządzić i nie doprowadzić swoich krajów do ruiny, muszą odstawić buńczuczne hasła na bok. Czy nową rewolucję też to czeka?

JAKUB KUMOC

Podyskutuj o tym na **onet.pl**



RYŁ. PIOTR GIDLEWSKI

PAULINA KOZŁOWSKA

Trzy i pół miliona sprzedanych egzemplarzy książki „A Million Little Pieces” czyni z niej jeden z największych bestsellerów ostatnich lat. Jej autor, James Frey, był na amerykańskim rynku wydawniczym objawieniem. Był też bohaterem, którego ceniono za brutalną szczerość i siłę wypowiedzi. Ale też za to, co przeżył i jak z tego wyszedł – przynajmniej do momentu, gdy okazało się, że jego wspomnienia mają niewiele wspólnego z prawdą. Teraz jest bohaterem dyskusji o tym, czy pisarz może kłamać o własnym życiu.

NAMASZCZONY PRZEZ OPRAH

W swoim życiu James Christopher Frey najwyraźniej długo szukał celu. W ciągu 37 lat zdążył napisać kilka scenariuszy filmowych, jeden film nawet wyreżyserował, pracował jako sprzedawca deskorolek, był bramkarzem w barze i ochroniarzem w hotelu. Zdarzyło mu się nawet przebierać za Świętego Mikołaja i wielkanocnego króliczka w dużym domu towarowym. Ale większą część dorosłego życia spędził, walcząc z nałogiem alkoholowym i narkotykowym. Po kilku latach abstynencji postanowił napisać o swoich przeżyciach książkę. Długo szukał wydawcy – rękopis został odrzucony 17 razy! W końcu wspomnienia pod tytułem „A Million Little Pieces” opublikował w 2003 roku Random House, duże i prestiżowe wydawnictwo, część medialnego koncernu Bertelsmann AG. Książka stała się bestsellerem, a we wrześniu 2005 roku James Frey dostał nie lada zaszczytu – sama Oprah Winfrey, nie tylko wielka gwiazda telewizji, ale też postać kluczowa dla amerykańskiego rynku wydawniczego, wybrała jego książkę do swojego Book Clubu. Miesiąc później Frey pojawił się na koczce u Oprah, z której wstał już jako literacka sensacja Ameryki. Program zatytułowano: „Człowiek, przez którego Oprah całą noc nie zmrugała oka” („The Man Who Kept Oprah Awake At Night”).

Wspomnienia Freya ponownie podbiły listy bestsellerów – 1,77 miliona egzemplarzy zeszło w samym 2005 roku. Tylko najnowsza część przygód Harry’ego Pottera sprzedawała się w Stanach lepiej. Tak dobrze nie rozchodziła się żadna z 56 książek wybranych do tej pory do Book Clubu, choć przecież nalepka z napisem „Oprah’s Book Club” czyni cuda.

NIE TAKI ZNÓW POSZUKIWANY

Tu jednak na scenę wkracza The Smoking Gun (thesmokinggun.com), witryna internetowa należąca do medialnego koncernu Time-Warner. Jej redaktorzy oświadczają, że przeprowadzili sześciotygodniowe śledztwo, które pokazało, że w rzeczywistości życie, jakie prowadził James Frey, nie do końca zgadza się z tym, co opisał w swoich wspomnieniach. Zarzucają, że Frey kłamał, przeinaczał, wyolbrzymiał i fabrykował fakty. Na stronie thesmokinggun.com 8 stycznia pojawia się raport zatytułowany „Człowiek, który wywiódł Oprah na manowce” („The Man Who Conned Oprah”). TSG wpadło na trop przypadkowo. Redaktorzy szukali bowiem zdjęć Freya zrobionych na potrzeby kartotek policyjnych

PISARZ, KTÓRY. ZA DUŻO KŁAMAŁ

Amerykanie zakochali się we wspomnieniach **JAMESA FREYA**, twardego wyrzutka społecznego, który wyszedł z nałogów. A potem odkryli, że ich oszukał

Book
OPRAH'S
Club

37 lat życia Jamesowi Freyowi wypełniły dotąd w dużej części kokaina, heroina, LSD, amfetamina, trawka i alkohol. Teraz żyje z opowiadania tego, co przeżył

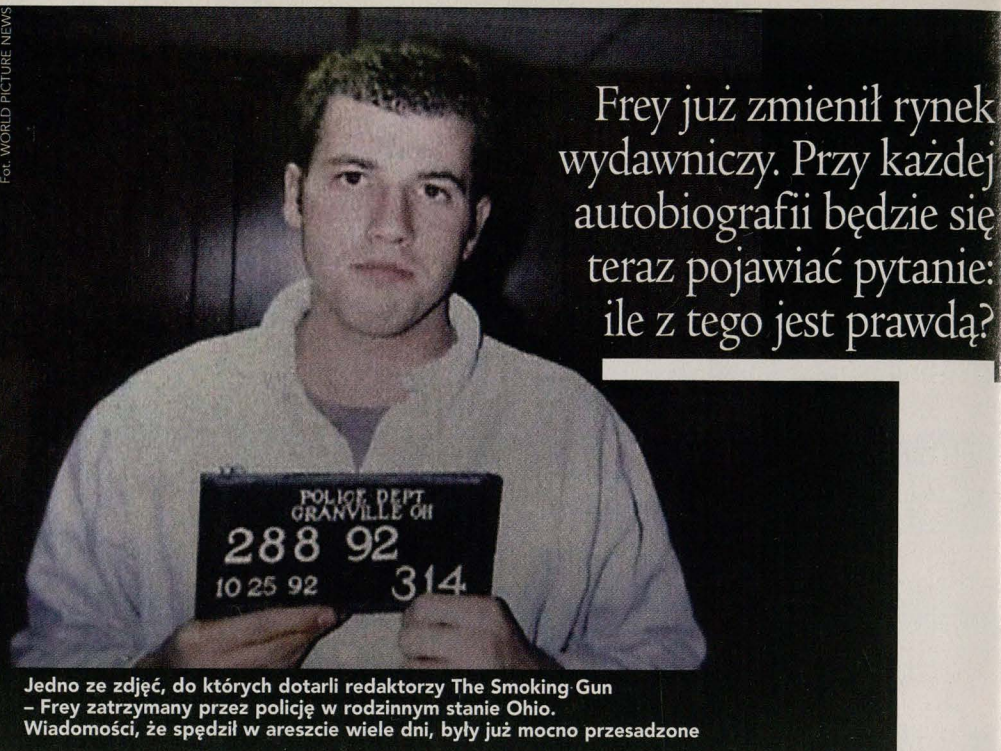




Frey u Larry'ego Kinga – tu mówił tylko o „ubawianiu”. Poniżej: Oprah Winfrey w swoim show zmusza go, by przyznał się do kłamstwa



Jedno ze zdjęć, do których dotarli redaktorzy The Smoking Gun – Frey zatrzymany przez policję w rodzinnym stanie Ohio. Wiadomości, że spędził w areszcie wiele dni, były już mocno przesadzone



Frey już zmienił rynek wydawniczy. Przy każdej autobiografii będzie się teraz pojawiać pytanie: ile z tego jest prawdą?

– bo dział zawierający tak zwane *celebrity mug shots*, czyli zdjęcia sławnych ludzi aresztowanych przez policję, stanowi znaczną część The Smoking Gun. Z książki wynikało, że autor był wielokrotnie aresztowany, więc dotarcie do zdjęć miało być proste. Okazało się jednak, że Frey mocno przesadził, opisując swoją kryminalną przeszłość, odsiadkę w więzieniu i status „poszukiwanego w trzech stanach”.

Redaktorzy serwisu odkryli, że Frey – który opisał w książce swoją trzymiesięczną odsiadkę – nie spędził w więzieniu nawet dnia, ledwie parę godzin. I aresztowano go tylko raz. Słowem – że nie jest aż tak złym człowiekiem, za jakiego próbował uchodzić w „A Million Little Pieces”. Dziennikarze TSG dotarli też do uczniów i nauczycieli ze szkoły średniej, do której uczęszczał Frey, by sprawdzić, czy James rzeczywiście był powszechnie znienawidzonym, sprawiającym trudności dzieckiem. Okazało się, że zapamiętano go jako sympatycznego chłopca z zamożnej rodziny. Co więcej, raport TSG podważa i inne opisane w książce fakty – Frey nie brał udziału w wypadku, w którym zginęli uczniowie z jego szkoły, nie był wcale głównym podejrzanym w śledztwie FBI i w żadnym razie nie mógł się poddać leczeniu kanałowemu zęba bez znieczulenia. Redaktorzy TSG sprawdzili wszystko, słowo po słowie. Z rzekomej biografii wyszła fabuła.

OPOWIEM CI MOJĄ HISTORIĘ

Tu pojawia się zasadniczy problem. „A Million Little Pieces” zostało sklasyfikowane przez wydawcę jako wspomnienia, według anglojęzycznej nomenklatury – memoir. Dziennikarze próbują zdefiniować na nowo, co znaczy ten termin. Czy autor własnych wspomnień ma prawo być subiektywny? Czy musi pisać prawdę? Jak daleko może posunąć się z interpretacją faktów? Kryty-

cy literaccy podkreślają, że memoir to subiektywna wersja historii, że wspomnienia często mijają się z prawdą, a wreszcie – że pisarze od zawsze fabrykowali i ubarwiali swoje życie. Tu podają przykład Kosińskiego i „Malowanego ptaka”.

Od lat furorę w USA robią *kiss'n'tell stories*, opowieści o sławnych osobach walczących z nałogami albo molestowanych seksualnie w dzieciństwie. Plotkarskie serwisy medialne donoszą o nowych umowach na książki opisujące prawdziwe historie z życia sławnych i bogatych. Rzadko się jednak zdarza, by na łamy prasy trafiło oskarżenie pisarza o pisanie nieprawdy. Do tej pory to raczej dziennikarzy przyłapywano na mijaniu się z prawdą. Dwa największe skandale dotyczą Jaysona Blaira z „New York Timesa” (2003 rok) i Janet Cooke z „Washington Post” (1981). Ich kłamstwa nadwężyły zaufanie do prestiżowych tytułów i oboje zostali zmuszeni do odejścia z redakcji.

Ale cała awantura wokół książki Freya tylko wzmaga zainteresowanie – „A Million Little Pieces” łąduje na pierwszym miejscu list sprzedaży w Amazon.com, sieci księgarni Barnes&Noble oraz na liście „New York Timesa”. Warner Bros. (również część Time-Warnera, oczywiście) kupuje prawa do ekranizacji i pracuje nad projektem razem z firmą producencką należącą do Brada Pitta i Johna Wellsa. Scenariusz pisze sam Frey, a reżyserować ma słynny twórca wideoklipów i filmu „Zdjęcie w godzinę” Mark Romanek. Całość planowana jest jeszcze na 2006 rok i anon-sowana jako... wspomnienia.

TERAZ TO NAPRAWDĘ PRAWDA

Jeszcze przed publikacją raportu Frey zatrudnił Martina Singera, prawnika z Los Angeles, który reprezentuje interesy takich gwiazd, jak Jennifer Aniston, Catherine Zeta-Jones i Britney

Spears. Adwokat zagroził procesem i wysokim odszkodowaniem, jeśli na The Smoking Gun pojawi się choć jeden zarzut na poparcie tezy, że James Frey jest kłamcą. Gdy jednak raport się ukazał, do procesu nie doszło. Ba, Frey podczas jedynego wywiadu, jakiego udzielił Larry'emu Kingowi z CNN (również część Time-Warner), przyznał w końcu, że zmieniał fakty dla wzmocnienia dramaturgii, bo planował wydanie swej książki jako powieści, ale to wydawca uznał, że lepiej będzie opublikować ją jako wspomnienia. Amerykański rynek lepiej reaguje na literaturę faktu. Wspomnienia dobrze się sprzedają, a wydawanie książek to przecież też biznes.

Frey podkreśla, że dochodzenie TSG dotyczy tylko 18 z 430 stron książki, a reszta jest prawdziwa – opowiada o nałogach i walce z nimi. Tłumaczy, że książka została napisana z jego punktu widzenia, że to subiektywna i osobista historia. Autora wspiera wydawca Random House i sama Oprah, która niespodziewanie dzwoni podczas wywiadu Larry'ego Kinga z Freym i mówi na antenie, że wciąż uważa „A Million Little Pieces” za wspaniałą, mocną literaturę. – Nadal wspieramy książkę, ponieważ wiemy, że zmieniła ona życie setkom tysięcy ludzi. Przesłanie zawarte w twojej książce oddziałuje na mnie i na miliony innych osób – mówi Winfrey. Dodaje też, że rozważania dotyczące tego, czy brał udział w wypadku albo jak długo siedział w więzieniu, nie mają znaczenia dla opowiadanej przez niego historii. Według Winfrey zdefiniowanie kategorii i rodzaju publikowanej książki to rola wydawców. Co więcej, to na nich spoczywa odpowiedzialność za sprawdzenie autentyczności informacji. James Frey jest wyraźnie zadowolony.

Niezadowoleni są za to inni pisarze, dziennikarze, psycholodzy i terapeuci zajmujący się uzależnieniami oraz liczni bloggerzy – ci bez końca

analizują sprawę. Niewiele osób broni Freya, ale książka wciąż się sprzedaje. Właściwie należy napisać, że książki, bo drugi tytuł opublikowany przez Freya, „My Friend Leonard”, również radzi sobie znakomicie. Tyle że ten zawiera już adnotację, iż nie wszystkie fakty i postaci w nim opisane są prawdziwe.

OPRAH SIĘ WŚCIEKA

Przychodzi środy czwartek 26 stycznia. Gościem programu „Oprah Winfrey Show” jest znowu James Frey. Nie wie, że czeka go upokarzające zadanie. Musi przyznać publicznie, że raport TSG jest prawdziwy i rzetelny. Oprah Winfrey też przeprasza. Mówi widzom, że żałuje, iż zadzwoniła z poparciem podczas programu Larry'ego Kinga. Domaga się od Jamesa, by powiedział jej, czemu skłamał, zarzuca mu, że zdradził czytelników. Frey jest zdenerwowany, a Oprah – wręcz rozjuszona. Wypytuje Freya o nieścisłości i kłamstwa zawarte w książce, zmusza go do wyznania, że skłamał. – To, że stworzyłem czarny portret samego siebie, to był mechanizm obronny – uznaje Frey. Winfrey pyta, czy nie brał też pod uwagę atrakcyjności książki. Na to Frey, że owszem, „zapewne chodziło o obie rzeczy”.

Cała scena wpisuje się w serię sławnych mea culpa – przypomina moment, gdy prezydent Bill Clinton przepraszał naród amerykański za swoje kontakty ze stażystką, a aktor Hugh Grant w talk-show Jaya Leno opowiadał o tym, jak policja przyłapała go z prostytutką. Tamte oba nagrania też wielokrotnie pokazywała telewizja.

Wydawnictwo Random House również przeprasza czytelników. Publikuje oświadczenie, w którym informuje, że do kolejnych wydań „A Million Little Pieces” zostaną dołączone listy od autora i wydawcy. Bo w tym samym czasie przygotowuje – co jasne – kolejny dodruk. Pojawiła się bowiem cała rzesza nowych czytelników zainteresowanych dowiedzeniem się, co wywołało aż taki skandal.

EFEKT FREYA

Poważniejsze są konsekwencje całej sprawy dla rynku książki. „W zeszłym tygodniu 8 na 10 książek z czołówki listy bestsellerów stanowiły wspomnienia. Dlaczego? W epoce reality TV ludzie po prostu wybierają wspomnienia, bo te mówią »prawdę« w przeciwieństwie do powieści, których autorzy z natury są właśnie »kłamcami«” – pisał niedawno „New Statesman”. A krytycy literaccy straszą, że wobec takiego obnażenia popularnego gatunku stracą pisarze i wydawcy. Przy każdej książce wspomnieniowej czy autobiografii będzie się odtąd pojawiać pytanie: ile z tego jest prawdą? Brukowce w pogoni za sensacją zaczną sprawdzać fakty z życia autorów wspomnień. A sprzedaż książek typu memoir może spaść. Na pewno jednak przemysł wydawniczy będzie musiał wypracować procedury związane ze sprawdzaniem autentyczności wydarzeń opisanych w rękopisach. O tym wspominają komentatorzy. Zaś autorzy wspomnień muszą się przygotować, że dziennikarze i czytelnicy będą się domagać dokumentów potwierdzających zawartość książki.

Dlaczego dopiero teraz ktoś się zainteresował, na ile prawdziwe są wydawane wspomnienia? Być może chodziło o sukces, jaki osiągnął swoją książką Frey? Może sprawa stała się tak sławna, bo pośrednio dotyczyła najbardziej wpływowej osoby w amerykańskiej telewizji? Gdyby Oprah nie wybrała „A Million Little Pieces” do swojego Book Clubu, nikt nie byłby zainteresowany rozważaniem, czy i gdzie autor skłamał.

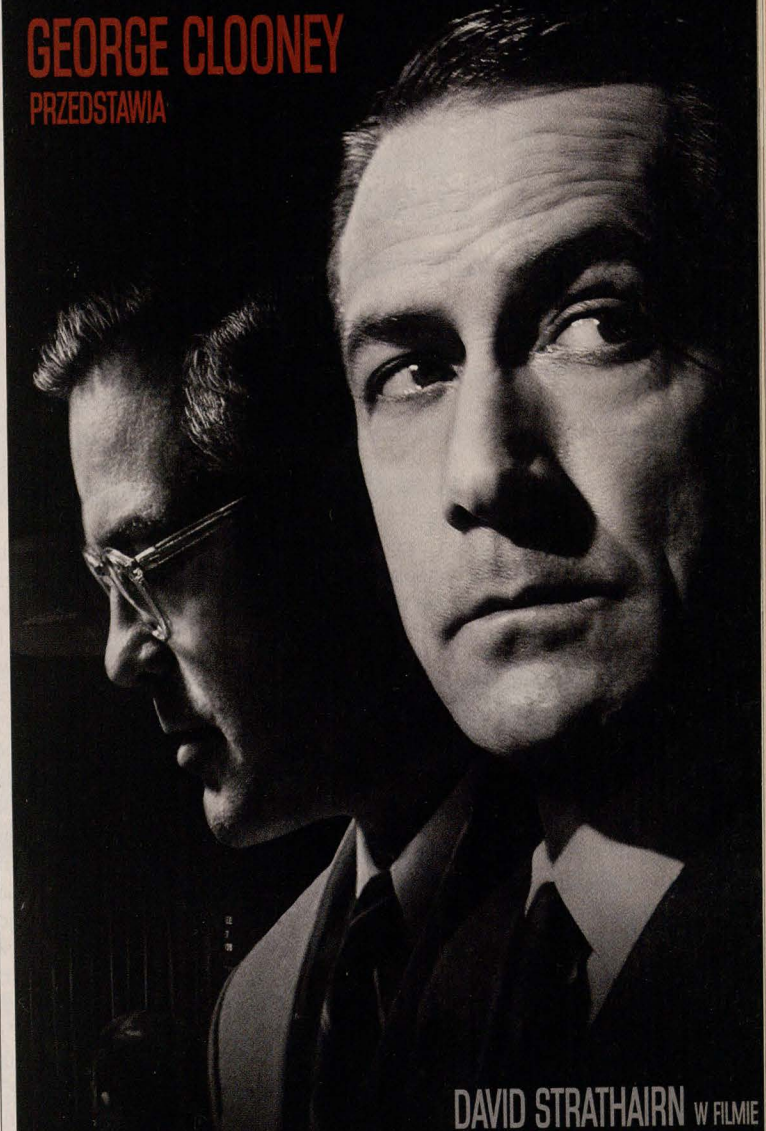
To chyba żadne pocieszenie dla Freya, który zamierza napisać powieść, żeby udowodnić, iż jest dobrym pisarzem. U Larry'ego Kinga zapowiedział, że już nigdy nie będzie pisał o sobie. Cynicy odpowiadają, że przecież nigdy o sobie nie pisał. Na razie Freya opuściła jego dotychczasowa agentka. Czy będą pozwy oszukanych czytelników? To czas pokaże. Tymczasem kolejna książka wybrana przez Oprah do Book Clubu to „Night” Elie Wiesela. Znow wspomnienia.

PAULINA KOZŁOWSKA

Podyskutuj o tym artykule w [wp.pl](http://www.wp.pl) w serwisie www.media.wp.pl

OSCARY 2006 GŁÓWNY FAWORYT 5 NAGRÓD - MFF WENECJA NAJLEPSZY AKTOR 4 ZŁOTE GLOBY NAJLEPSZY FILM

GEORGE CLOONEY
PRZEDSTAWIA



DAVID STRATHAIRN W FILMIE

GOOD NIGHT
AND GOOD LUCK

DAVID STRATHAIRN PATRICIA CLARKSON GEORGE CLOONEY JEFF DANIELS ROBERT DOWNEY JR. FRANK LANGELLA

A COMPANY KINO ŚWIAT

wkrótce w kinach

Szkodliwa wielkoduszność

Pod hasłem walki z lichwą rząd miał nas uszczęśliwić ustawą zmuszającą banki do niższego oprocentowania kredytów. Ale z bankami jeszcze nikt nie wygrał

Stało się. Polska prześcignęła Amerykę. Po ostatniej obniżce stóp procentowych NBP po raz pierwszy będą one niższe niż w USA. Tam odwrotnie. Amerykanie po raz 14. w ciągu półtora roku podwyższyli sobie stopy. To wszystko oznacza, że w Ameryce pożyczanie pieniędzy powinno być coraz droższe, a w Polsce coraz tańsze. Tym bardziej że dodatkowo od 20 lutego wchodzi u nas w życie ustawowe ograniczenie wysokości odsetek od jakichkolwiek pożyczek. Teraz nie będzie ono mogło przekraczać czterokrotności ustalonego przez Radę Polityki Pieniężnej oprocentowania kredytu lombardowego. Po ostatniej obniżce wynosi ono 5,75 proc. rocznie. Teraz nikt, ale to nikt – ani bank, ani jakiś parabank, ani lombard – nie będzie mógł od nas żądać wyższego oprocentowania niż czterokrotność ostatniego oprocentowania lombardowego. Daje to po ostatniej obniżce stóp 23 proc. w skali roku.

Nowe prawo wyznacza także limit kosztów związanych z udzielaniem kredytu, który nie będzie mógł przekraczać 5 proc. wartości pożyczki. W ten sposób odsetki na przykład od kredytów, do których zachęcają banki przy okazji rozliczania rat kredytowych, czy też odsetki karne nie będą mogły już osiągać dowolnych poziomów. Krótko mówiąc, koniec z lichwą.

Na pierwszy rzut oka nic, tylko żyć, pożyczać, nie umierać. Ale uwaga. Nie spotkałem jeszcze banku, który nie poradziłby sobie z jakimś kagańcem. Bo tak się składa, że ze swej natury są one od zarabiania pieniędzy przy maksymalnym ograniczeniu ryzyka straty. Specyficzny jest tylko towar, którym handlują, czyli pieniądze, i robią wszystko, aby ich nie tracić. Co jest naturalne, normalne, przewidywalne i nikogo nie powinno dziwić. Teraz przychodzi banków z tytułu ograniczeń wysokości odsetek i prowizji mogą się obniżyć nawet o kilkanaście procent. Niewykluczone więc, że cała seria podwyżek najróżniejszych opłat i prowizji z ostatnich tygodni związana jest właśnie z dostosowaniem się do nowej sytuacji. Pomysłów jest w bród. Podwyżki albo nowe opłaty za wypłatę pieniędzy w oddziale banku, za przelewy, za to, że nie płacisz przynajmniej dwa razy kartą kredytową, której jesteś posiadaczem, za PIN przez Internet do nowej karty, chociaż kod może być stary, za opłaty przygotowawcze do kredytu, nawet jeśli z niego zrezygnujesz, za wcześniejszą spłatę pożyczki hipotecznej, za pakiety ubezpiecze-

niowe przypisane do kart kredytowych, za wydanie karty, jej użytkowanie i ubezpieczenie, za każde nawet najbardziej błahe zaświadczenie..., o czym pisałem w „Przekroju” sprzed trzech tygodni.

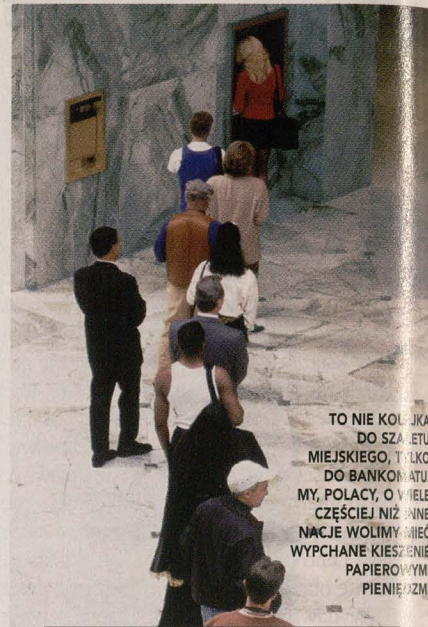
Najważniejsze i już na pewno bezpośrednio związane z ograniczeniami odsetkowymi nałożonymi na banki – otóż wprowadzają one ubezpieczenia kredytów na wypadek najczęstszych zdarzeń losowych, jak chociażby niezdolność do pracy, bezrobocie czy śmierć. Jeden z czołowych banków zaproponował dobrowolne ubezpieczenie kredytów dla swoich klientów, którego koszt wynosi w skali miesiąca od 3,4 do 8,3 proc. wartości raty kredytu i jest zależny od długości okresu kredytowego. To prawda, że ubezpieczenie jest dobrowolne. Ale który klient o ryzykownej zdolności kredytowej odmówi ubezpieczenia pożyczki, skoro wie, że może to być „dobrowolny warunek” jej otrzymania. W ten sposób do ustawowo ograniczonego oprocentowania i prowizji dojdzie legalne oprocentowanie z tytułu ubezpieczenia dla towarzystwa współpracującego z bankiem. I bilans wyjdzie na plus. Dla banków i ubezpieczycieli – oczywiście. Ale nie dla tych, których ustawa miała chronić. Czyli całej rzeszy klientów z niskimi dochodami, którzy czasem przeceniali swoje możliwości i wpadali w pętlę zadłużenia. To właśnie dla tych najbardziej ryzykownych kredytów stosowano najwyższe odsetki. Teraz ustawa ma zmusić banki i inne instytucje, by pożyczały taniej. I będą pożyczać nominalnie taniej. Ale nie będą także zachowywać się jak samobójcy, bo przez akcjonariuszy są rozliczane z wyników. Znajdą więc zawsze sposoby na to, by wyjść na swoje i odzyskać pieniądze, które stracą z tytułu ograniczenia oprocentowania.

I w ten sposób intencje pomysłodawców – wielkodusze dla pożyczających pieniądze – mogą im tylko zaszkodzić. Część klientów mniej zamożnych kredytów może nie dostać. Inni będą musieli je ubezpieczyć. I, co chyba najważniejsze, za ewentualne straty z tytułu limitowania pożyczkowych odsetek płacą już wszyscy klienci banków. Ci najsolidniejsi także. Chociażby w podwyższonych cenach najróżniejszych dodatkowych usług do usług.

Bo z bankami jeszcze nikt nie wygrał.

TADEUSZ A. MOSZ

AUTOR MAGAZYNU EKONOMICZNEGO
„PLUS MINUS” W TVP1



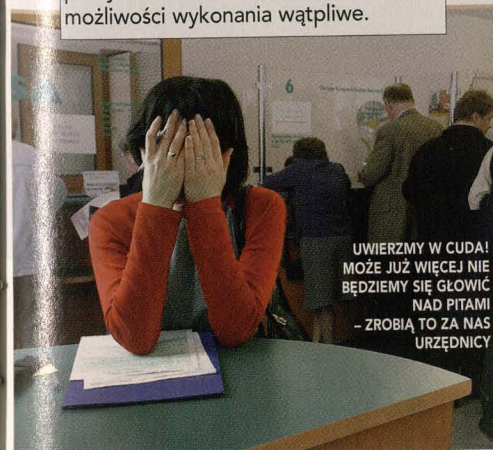
TO NIE KOLEJKA DO SZAFKI MIEJSKIEGO, TYLKO DO BANKOMATU. MY, POLACY, O WIELE CZĘŚCIEJ NIŻ INNE NACJE WOLIMY WIEC WYPCHANE KIESZENIE PAPIEROWYMI PIENIĘDZMI.

Plastiki w natarciu

Są jeszcze tacy, którzy bronią się przed plastikowymi pieniędzmi jak lwy. Chodzi o właścicieli małych sklepów, punktów usługowych czy restauracyjek, a nawet stacji benzynowych. Jeszcze nie skapitulowali. To dlatego statystyki posługiwania się przez Polaków kartami kredytowymi i płatniczymi nie wyglądają imponująco. Już prawie połowa z nas ma w portfelu plastikowy pieniądz, ale używa go przeciętnie raz w miesiącu. Zdecydowanie częściej z płacenia kartą korzystają osoby z wyższym wykształceniem. Zdecydowana większość Polaków posługuje się plastikową kartą do wypłacania pieniędzy z bankomatu i do sklepu idzie z gotówką. Banki, które wydały już ponad 20 mln kart płatniczych i kredytowych, narzekają, że bardzo powoli wyrabiamy w sobie nawyk posługiwania się plastikiem. Rzadko także korzystamy z kredytu przyznanego z tytułu posiadania karty. Według bankowców zaledwie 20 proc. posiadaczy kart kredytowych korzysta z kredytu, co znaczy, że nie spłaca zadłużenia w terminie. I nie ma się co dziwić, że liczba ta jest niewielka, skoro banki dają inne, o wiele atrakcyjniejsze możliwości pożyczek. Chociażby linie kredytowe, które najczęściej oprocentowane są niżej niż kredyt kartany. Lepiej więc dług z karty kredytowej spłacić w terminie gotówką z linii kredytowej, niż zadłużyć się z tytułu posiadania karty. Liczenie to miła rzecz i może nawet zamienić się w gotówkę.

PIT-em w skarbówkę

Jest pomysł MSWiA, aby urzędy skarbowe wypełniały wszystkie PIT-y na podstawie danych przesyłanych przez pracodawców. Teraz robi to 18 mln spośród 23 mln podatników. Za 5 mln osób robią to zakłady pracy. Podatnicy wypełniliby tylko formularz dotyczący ewentualnych ulg. Po czym 7 tys. urzędników wprowadzałoby dane do systemu informatycznego, system obliczyłby podatek, a potem PIT pocztą wędrowałby do zainteresowanego. A ten zareklamuje, jeśli uzna, że urzędnik się pomylił. Cudowne. Szczególnie dla ludzi podchodzących z obrzydzeniem do wszelkiej biurokracji. Ale chyba w sferze cudów pozostanie. Bo jakże jeden urzędnik będzie mógł sobie poradzić ze średnio 3,3 tys. PIT-ów? Po co człowiek, który ma sam wypełnić PIT, miałby taką pracę zlecać urzędowi skarbowemu, skoro i tak będzie musiał sprawdzić, czy urząd nie popełnił błędu? A w jaki sposób osoba, która nie ma o tym pojęcia, miałaby ocenić pracę urzędnika i podpisać się pod czymś, czego nie rozumie? Kto wreszcie ponosiłby odpowiedzialność za wypełnienie – ten, który to czynił, czyli urzędnik skarbowy, czy też podpisujący PIT? Intencje pomysłodawców szlachetne, możliwości wykonania wątpliwe.



UWIERZMY W CUD! MOŻE JUŻ WIĘCEJ NIE BĘDIEMY SIĘ GŁOWIĆ NAD PITAMI – ZROBIA TO ZA NAS URZĘDNICY

Chiny potężnieją

Chińska gospodarka pędzi. Na 2,25 bln dol. wyliczono ubiegłoroczny produkt krajowy brutto tego kraju, który zyskał w ciągu roku 9,9 proc. To prawda, że Chinom daleko jeszcze do USA, którego produkt krajowy wynosi ok. 12 bln dol., ale wystarczy, by znaleźć się zaraz za Niemcami i Japonią, a przed Francją i Włochami i stać się czwartą gospodarką świata. A powinno być jeszcze lepiej. Jeżeli przez następne 20–25 lat Chiny utrzymają obecne tempo rozwoju, mogą wyprzedzić

Japonię i zbliżyć się do Europy. Nadal jednak daleko im będzie do USA. Chiński boom w znacznej mierze wynikać będzie nie tylko z eksportu, jak do tej pory, ale i z konsumpcji wewnętrznej. Chińczycy bowiem mają coraz więcej pieniędzy, które na razie oszczędzają. O ile w USA oszczędności mają wartość 10 proc. PKB, w Chinach jest to 42 proc. Ma zatem Chińczyk co wydawać.



OSZCZĘDNI CHIŃCZYCY OSZCZĘDZAJĄ SWOJE CHIŃSKIE PIENIĄDZE W SWOICH CHIŃSKICH ŚWINKACH

POTRÓJNY MECHANIZM
DZIAŁANIA

VENOŻEL



VENOŻEL
ZEL PRZECIWKŁUTY I PRZECIWPŁYTY DO WSKAZANIA PRZECIWKŁUTY

BOLE: KRĘGOSTĘPA - NOG - MIĘŚNI I STAWÓW

1g żelu zawiera 12mg diklofenaku sodu, 10mg trybenozydu, 5mg escyny. Żel, tuba 50 g. Cena det. ok. 9,80 zł

➔ bóle kręgosłupa

➔ bóle mięśni i stawów

➔ bóle nóg (żylaki, obrzęki)



Przed użyciem zapoznaj się z ulotką, która zawiera wskazania, przeciwwskazania, dane dotyczące działań niepożądanych i dawkowanie oraz informacje dotyczące stosowania produktu leczniczego, bądź skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą.

www.gck.org.pl



GŁÓWNY ATAK I ZŁOTY i okolice
AND ORIENT HOUSE ENSEMBLE

18.02. sobota
Główny Atak i Złoty i okolice
Jazz Club Hipnoza oraz Główny Atak i Złoty i okolice
Kultury zapraszają

Katowice, pl. Sejmu Śląskiego 2
informacja, sprzedaż biletów:
tel. 032 785-79-80, kalinowski@gck.org.pl
Jazz Club Hipnoza: tel. 032 785-71-31
jazzclub@jazzclub.pl
www.jazzclub.pl





Pierwszym demokratycznie wybranym irackim przywódcą został prezydent George W. Bush. Gdy telewizja Al-Dżazira ogłosiła jego zwycięstwo, ulice miast wypełniły tłumy skandujące w ekstazie: „Niech żyje George Bush, prezydent Iraku!”, „Niech Allah błogosławi jego i dzieci jego aż do siedmiu pokoleń” – wykrzykiwał wolny obywatel Iraku Abdul-lah Al-Hallasid, strzelając z karabinu w powietrze i raniąc siedmiu amerykańskich żołnierzy. (...) Bush, który prowadził w sondażach, od chwili kiedy pozostałych kandydatów zabili żołnierze koalicji lub rebelianci, powiedział, że jego zwycięstwo to świt demokracji na Bliskim Wschodzie i dowód, że operacja się powiodła.

To oczywiście nie wydarzyło się naprawdę, ale taką wersję wydarzeń znajdziemy na stronach Onion.com – najdłużej aktywnego i największego internetowego serwisu fałszywych wiadomości.

CIASTO JAK SZTANDAR

„Korea Północna atakuje się bronią jądrową w desperackiej próbie zwrócenia na siebie uwagi”; „Biały Dom świętuje Pięć Lat bez Seksu Oralnego”; „Pozostałym członkom U2 nie przeszkadza głód w Afryce” – każdego dnia „The Onion” publikuje wyssane z palca informacje dotyczące wszystkich dziedzin życia: polityki, sportu, rozrywki, biznesu, nauki...

Początki serwisu sięgają 1988 roku, kiedy dwóch studentów z Wisconsin zaczęło wydawać niskonakładową gazetkę satyryczną. Periodyk pozostawał lokalną ciekawostką aż do debiutu w sieci w 1996 roku. Od maja 2005 roku w wielu amerykańskich miastach znów można kupić drukowaną wersję „The Onion”, a jeśli komuś mało, może sięgnąć po jedną z licznych książek opracowanych przez twórców serwisu. Co więcej, w 2001 roku „The Onion” otrzymał Nagrodę Pulitzera. Był pierwszym amerykańskim medium, które odważyło się przedstawić ataki terrorystyczne na USA w satyrycznym świetle. W niecałe dwa tygodnie po 11 września w serwisie pojawiła się seria artykułów, które drwiły i z terrorystów, i z przerażonych mieszkańców Ameryki („Nie wiedząc, jak inaczej może pomóc, kobieta piecze ciasto w barwach amerykańskiego sztandaru”).

Dla „The Onion” nie ma świętości. Dostaje się wszystkim po równo. Nie oszczędzali chorego Jana Pawła II, Terri Schiavo i jej obrońców ani ofiar „Katriny”, bo satyra pozwala na zrzućnięcie sztywnego gorsetu politycznej poprawności. Dzięki bezkompromisowej i bezinteresownej złośliwości internetowa wersja „The Onion” przyciąga tygodniowo ponad trzy miliony użytkowników i choć Al Gore uważa serwis za „pozbawiony smaku i wymierzony w wartości, które wspólnie wyznaczamy”, nagrody otrzymane przez jego twórców trudno zliczyć.

– Granice zabawy mają tę właściwość, że szybko się rozmywają lub przesuwają. Tym bardziej że satyra powinna kogoś urazić. Jeśli nikt nie czuje się dotknięty, prawdopodobnie żart nie był wy-

Dwóch realnych bohaterów na zwykłych stanowiskach. Trzeci też prawdziwy, ale nie na swoim miejscu. W SatireWire napisaliby, że jeden z nich to także ojciec dziecka z prawej



BUJDA news

JAREK SZUBRYCHT

Nawet Chuck Norris potwierdzi, że mamy urodzić fałszywych wiadomości. Bo gdy te prawdziwe są złe, lepiej przerzucić się na czytanie bzdur

starczająco dobry – uważa Andrew Marlatt, weteran internetowej satyry, twórca witryny SatireWire, w swoim czasie konkurenta „The Onion”.

POTOMKOWIE MARKA TWAINA

Satyra udająca poważne dziennikarstwo nie jest współczesnym wynalazkiem. Ponad 140 lat temu młody dziennikarz Mark Twain pisywał dla gazet w Nevadzie i Kalifornii wyssane z palca hi-

storie. Spotkał go za to los właściwy niemal wszystkim pionierom – obie redakcje w mig podziękowały mu za współpracę pod naciskiem tej części czytelników, która zdołała się zorientować, że ktoś wystrychnął ich na dudka.

Z kolei w 1978 roku twórcy satyrycznego magazynu „National Lampoon” (często określano ich mianem amerykańskiej odpowiedzi na grupę Monty Pythona) wydali broszurę zatytułowaną

„National Lampoon’s Sunday Newspaper Parody”, która zgodnie z tytułem była parodią niedzielnego wydania gazety i zawierała prześmiewcze informacje udające poważne artykuły. Pomysł chwycił, bo gdy ekipa „National Lampoon” wyładowała w telewizji i zabrała się do robienia programu „Saturday Night Live”, stałe miejsce znalazło w nim okienko ze zmyślnymi newsami.

Przykładów nie trzeba jednak szukać aż za oceanem. Polskim mediom, nawet tym najbardziej poważnym, również zdarza się puścić zabawną fałszywkę – raz do roku, w prima aprilis. Poza tą datą zdarza się to głównie tabloidom – dla takich gazet jak „Weekly World News”, „The Sun” i „Bild” to element rozpaczliwej walki o czytelnika. Mechanizm jest prosty – im bardziej sensacyjne treści będą przekazywać wielkie litery na pierwszej stronie, tym większa szansa, że na stoisku z gazetami ktoś wyłowi dany tytuł spośród dziesiątek podobnych. Tabloidy stronią zwykle od tematyki politycznej, chętnie racząc czytel-

BAT CHILD FOUND IN CAVE!



Fot. WWW.WEEKLYWORLDNEWS.COM

ników fałszywymi odkryciami naukowymi („Naukowcy odkryli odwróconą żarówkę, która sprawia, że w pokoju jest ciemniej!”), historiami z UFO i duchami w roli głównej („Znaleziono książkę kucharską obcych... w każdym przepisie człowiek jest jednym ze składników!”) oraz rzeckomyi sekretami z życia gwiazd („Michael Jackson słyszy przez nos!”).

PLEĆ PRZESIEĆ

Satyryczne newsy od dziesięcioleci stanowiły ledwie dostrzegalny margines szerokiej oferty rozrywkowej tradycyjnych mediów. Można zaryzykować stwierdzenie, że całe zastępy notorycznych kłamczuchów czekały na wynalezienie Internetu. „The Onion” jest liderem w wymyślaniu absurdalnych wiadomości, ale konkurencja rośnie w siłę. Warto zajrzeć na depczący mu po piętach BrokenNews.com („Żywność zakażona ptasią grypą smakuje jak wołowina”), NewsHax.com, TheSpoo.com, FNN247.com czy AvantNews.com. Polacy nie gęsi – przez chwilę bawiło nas internetowe wydanie wyśmienitego „Nowego Pompona” (www.nowypompon.pl), niestety, od dawna nie nowego nie pojawiło się na stronie.

W 2003 roku powstała organizacja HumorFeed, która zrzesza twórców ponad pół setki serwisów z satyrycznymi newsami. Dzięki niej autorzy fałszywek promują się nawzajem, wymieniają pomysły, a wielbicielom tego rodzaju humoru dostarczają codziennie wybór najlepszych żartów. 1 lutego bieżącego roku po raz pierwszy przyznał HumorFeed Satire News Awards, nagrody dla najlepszych bzdurnych newsów. Bohaterem większości nominowanych był prezydent Stanów Zjednoczonych. – Bush to dość oczywisty cel. Ale naśmiewanie się z niego staje się coraz trudniejsze, bo prawdziwe historie związane z prezydentem są wystarczająco niewiarygodne – mówi

„Przekrojowi” Marlatt, który był jednym z jurorów HumorFeed Satire News Awards.

Zapytany o przyczynę popularności prześmiewczych wiadomości Andrew Marlatt wymienia trzy: – Po pierwsze, trudno ich uniknąć, bo wszyscy wysyłają je sobie mailem. Po drugie, ludzie po prostu chcą się pośmiać. Większość tych historii to przecież dowcipy udające dziennikarskie newsy. Mam jednak nadzieję, że najważniejszy jest powód numer trzy – ludzie chcą, by satyra pomogła im odkryć prawdę. Za jej pomocą można bowiem zgłębić temat w sposób niedostępny dla informacji pisanych serio. Fałszywki są zabawne, są wyssane z palca, ale często mają drugie dno.

Zdaniem psychologów, zmyślając w Internecie, zaspokajamy starą jak ludzkość potrzebę bajania. Tę samą, która w długie zimowe wieczory kazała naszym pradziadom nieco ubarwiać opowieści o bitewnych przewagach, a prababkom straszyć wnuki topielicami mieszkającymi w stawie. Dopóki opowieść jest ciekawa, nie musi być prawdziwa. Na piękne łgarstwo chętniej nadstawimy ucha niż na brzydką prawdę. A Internet to wymiarzone środowisko dla zwolenników tego rodzaju zabawy. Jest demokratyczny, szybki i tani. W dodatku jak żadne inne medium pozwala autorowi na zatarcie śladów i podszyć się pod kogoś innego. Zamieszanie potęgują wyszukiwarki wiadomości, jak na przykład Google News, które grupują informacje tematycznie, bez względu na wiarygodność źródła. – Co dziwne, Internet stał się dla naszej wiedzy punktem odniesienia numer jeden. W nim szukamy potwierdzenia informacji. Satyra dobrze się tu sprawdza, bo jest uzupełnieniem prawdziwych wiadomości. W naturalny sposób dopasowała się do środowiska newsów, bo najlepsza satyra od zawsze egzystuje bardzo blisko rzeczywistości – uważa twórca SatireWire, którego dowcipy czytał i cytował cały świat. Jeden

George Bush szuka wsparcia przed wyborami, a Osama promuje Nowy Jork, czyli czarny humor autorów fake news

Thrilling news for Bush Campaign!

P'LoD Gives Bush the Nod!

Space Alice from Sirius B has picked every president since Reagan!

Never say Bush and Gore were killing their sons as they waited for P'LoD's final verdict!



NAGRODA ZA BUSHA

George W. Bush woli odsprzedać Luizjanę Francuzom, zamiast odbudowywać stan zdewastowany atakiem huraganu „Katrina”. Uzyskane w ten sposób 25 milionów dolarów Białe Dobre przeznaczy oczywiście na... odbudowę zniszczonego wojną Iraku. A kiedy już Francuzi naprawią szkody w Luizjanie, to się ich zaatakują i odbije utracony stan – oto skrót wiadomości, która otrzymała HumorFeed Satire News Award, laur przyznawany w tym roku po raz pierwszy najlepszym internetowym fałszywkom. Jurorzy uznali ten news wymyślony i opublikowany przez serwis BSNews.org za śmieszniejszy od ponad trzech i pół tysiąca innych zgłoszonych do konkursu. Tego samego zdania musiał być słynny radiowiec Howard Stern, który przeczytał wiadomość na antenie swojego programu, zanim jeszcze została nagrodzona. Nagrody przyznano 1 lutego, a więcej informacji na ich temat można znaleźć na stronie www.humorfeed.com.

(JSZ)

z nich trafił nawet do książki Salmana Rushdiego. Ostatni fałszywy news pojawił się w SatireWire w połowie 2002 roku, po czym jego autor przeniósł się do raju dla satyryków – teraz pisze scenariusze seriali komediowych dla BBC.

HARRY POTTER Z PIEKŁA RODEM

Niektóre serwisy z fałszywkami informują czytelnika, że został wprowadzony w błąd, inne nie specjalnie się tym przejmują. Jeśli jesteś na tyle głupi, by uwierzyć, że „Izrael wziął sobie do serca radę Iranu i przenosi się do Europy” (wiadomość z FNN247.com) – twój problem. A są tacy, co wierzą, oj, wierzą...

W połowie 2004 roku serwis BrokenNewz wziął na celownik Williama Hunga, który zdobył popularność dzięki występowi w amerykańskiej wersji „Idola”. Sympatyczny Chińczyk z Hongkongu miał według serwisu... popełnić samobójstwo przez przedawkowanie heroiny. Doniesienie o rzekomej śmierci tak poruszyło dziennikarzy z Kraju Środka, że dały się nabrać nawet „Pekińskie wiadomości wieczorne”. Najchętniej czytana gazeta w stolicy Chin powtórzyła z kolei za „The Onion” wiadomość o przenosinach Kongresu („może do Memphis albo Charlotte w Karolinie Północnej”). A ten artykuł był przecież niewinną parodią częstych w amerykańskiej prasie doniesień o drużynach sportowych, które groźbą przeprowadzki zmuszają władze miast do wybudowania nowego stadionu.

Zaciekli przeciwnicy „Harry’ego Pottera” narażili się z kolei na pośmiewisko, kiedy wśród dowodów na szkodliwy wpływ książki na nieletnich cytowali artykuł z „The Onion”. W tym rozmowę z dziesięcioletnią Ashley, która po lekturze książki rzuciła szkołę niedzielną, została czarownicą i opanowała zaklęcie, które przywołuje z piekła Cerbera.

ENCYKLOPEDIA NONSENSU

Nie tylko bzdurne newsy mają wzięcie. Rekomendowana przez „Przekrój” Wikipedia doczekała się lustrzanego odbicia, przy czym jest to zwierciadło ewidentnie krzywe. Pod adresem Un-

cyclopedia.org znajduje się parodia encyklopedii, a w niej blisko 20 tysięcy idiotycznych i nikomu niepotrzebnych haseł. – Genialny pomysł! Pomaga mi spojrzeć na to, co robię, z dystansem – cieszy się Łukasz Garczewski, prezes stowarzyszenia Wikimedia Polska zajmującego się promocją Wikipedii w Polsce. – Przynajmniej kilku moich znajomych wikipedystów od czasu do czasu pisze także na Uncyclopedia.

Z Uncyclopedia dowiedzieć się można na przykład, że Polska to „zapomniana, oficjalnie już nie socjalistyczna wioska położona na małej wyspie na Bałtyku”, a nazwa „Microsoft” „pochodzi od niemieckiego słowa Mikroschaft, co oznacza małego penisa”. W Polsce raczkuje Nonsensopedia (Nonsensopedia.wikicitities.com), która oprócz parodii haseł encyklopedycznych zawiera sekcję z satyrycznymi wiadomościami. Niestety, poza nielicznymi wyjątkami („Ze względu na zagrożenie atakami terrorystycznymi gejów, Żydów oraz masonów Lech Kaczyński odwołał sylwestra i Nowy Rok”) nie jest to humor najwyższych lotów.

Uncyclopedia powstała zapewne po to, by mieli się gdzie wyżyć ci, którzy z uporem godnym lepszej sprawy wprowadzają do Wikipedii nieprawdziwe wiadomości. – O ile aktów popospolitego wandalizmu mamy sporo, to tego typu kreacje zwane przez nas z angielskiego hoax nie są zjawiskiem częstym – zapewnia Garczewski. – Najczęściej powtarzają się artykuły o przełomach w nauce. Na początku to może być nawet zabawne, ale jak się czyta o kolejnym perpetuum mobile lub kamieniu filozoficznym, człowiek działa już mechanicznie – zgłosić, usunąć, zapomnieć.

Jakie konsekwencje czekają użytkownika Wikipedii, który celowo wprowadza innych w błąd? – Najpierw otrzymamy ostrzeżenie. Jeśli to nie skutkuje, na jakiś czas odbieramy mu możliwość edycji haseł – tłumaczy przedstawiciel polskiej Wikipedii. Niesformy użytkownik ma czas

na przemyślenie swojego zachowania, od dwóch godzin do tygodnia, po czym blokada zostaje zdjęta. – Innych sankcji nie jesteśmy w stanie nałożyć – taka już natura Internetu.

ŻARTY MNIEJ ŚMIESZNE

Nie wszystkie internetowe fałszywki mają nas rozbawić. Niektórym dowcipnisiom wystarczy, że spowodują trochę zamieszania. Do tej kategorii zaliczyć możemy informacje o nieistniejących wirusach i wygranych na loterii, lukratywne oferty od nigeryjskich banków oraz wszelkiego rodzaju łańcuszki. Najpopularniejszy żeruje na dobrej woli – obiecuje pieniądze na leczenie chorego na raka dziecka, które ma wypłacić jakaś duża firma, jeśli adresat listu przekaże go wszystkim znajomym. To oczywiście bzdury, która zabiera ludziom czas i podnoszą koszty używania Internetu. Ich autorami są patologiczni złośliwcy albo... firmy, które zbierają adresy mailowe do wysyłki niechcianych ofert reklamowych, czyli tak zwanego spamu.

Specyficzną odmianą hoaksów (trzymajmy się terminologii anglojęzycznej, choć słowo to można łatwo przetłumaczyć jako „mystyfikacja” lub po prostu „głupi dowcip”) są fałszywe blogi. Internetowe pamiętniki pisane zwykle w imieniu postaci znanych z pierwszych stron gazet są odbiciem wydarzeń angażujących uwagę mediów. Stąd w czasie wyborów w sieci roilo się od blogów „polityków”. Ich żywot bywał krótki – gdy administrator serwisu odkryje fałszywkę, blog jest usuwany. – Mniej spektakularne, ale częściej występujące zjawisko to blogi, których autorzy udają na przykład siostrę umierającego chłopca, ofiarę gwałtu, małą matkę... Chodzi o to, by przez współczucie zdobyć popularność – mówi Halina Worwa, szefowa serwisu OnetBlog. – Zjawisko to występuje masowo i ma charakter mody. Po pojawieniu się pierwszej jaskółki powstają kolejne blogi na ten sam temat. Potem wyciszenie i... pojawia się coś nowego.

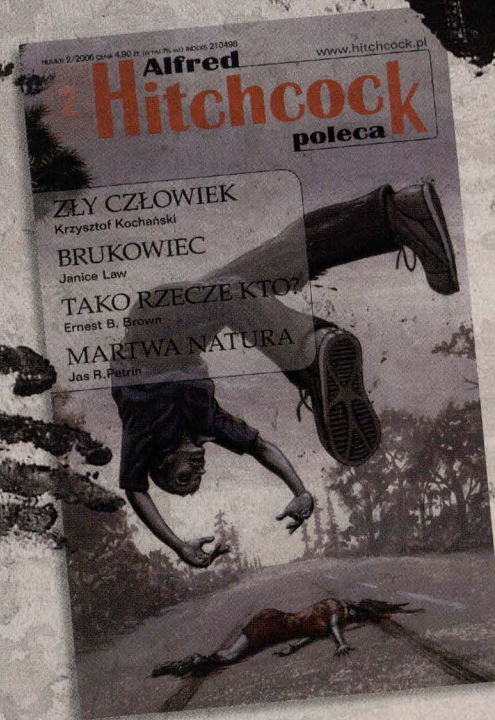
Nie wszyscy mają poczucie humoru. Nie istnieje już wymyślony przez dwóch rosyjskich studentów FakedNews.com, gdzie autorami newsów byli anonimowi użytkownicy serwisu. Subtelnością nie grzeszyli – prezydenta Busha zarazili wąglikiem, a Christinę Aguilera uśmiercili. FakedNews.com wymknął się twórcom spod kontroli, więc zamknęli witrynę u szczytu jej popularności.

Na podobnych zasadach opierał się Generator Fałszywych Newsów z CNN, który przetrwał w sieci zaledwie tydzień. Zbyt wielu dziennikarzy nieświadomych prowokacji powtarzało znalezione w nim rewelacje w poważnych mediach. CNN zagroziła twórcom witryny sądem i Generator przepadł. Stacja nie po raz pierwszy zresztą stała się obiektem ataku wirtualnych kpiarzy – w 2001 roku dopiero wyrokiem sądu doprowadziła do zamknięcia satyrycznej witryny CNNdn.com publikującej nieprawdziwe wiadomości ekonomiczne. Choć można spojrzeć na to i z drugiej strony – informacje o niezbitych dowodach na istnienie broni masowego rażenia w Iraku pojawiały się w prawdziwym CNN. Więc o co tu się obrażać?

JAREK SZUBRYCHT

Podyskutuj o tym na onet.pl

www.hitchcock.pl



Co miesiąc kolejny tom opowiadań kryminalnych.

* - - - 0

Do nabycia w kioskach i punktach sprzedaży prasy w całej Polsce!

*

: {

alfre d _H

^ * 8 23 6

po

le

ca

mur

@

der



TRUP BEZ BUTÓW
David Braly

NAGA PRAWDA
Ernest B. Brown

NIE BUDZIE SNIĄCZYCH UPIORÓW
Rob Kentner

RASHOMON W DESZCZU
J.J. Parker



W Polsce turystyka filmowa nigdy nie stała się dużym biznesem, a kult gwiazd jest stosunkowo niewielki. Ktoś, kto chciałby wybrać się na wycieczkę po kraju śladami znanych scen filmowych, będzie miał więc spore problemy. Może też mieć kłopot z jeżdżeniem śladami roman-
sów filmowych w kraju, w którym w walentynki para kocharzy się głównie z tą wy-
dobywającą się z ust na mrozie, a zakochani w domku nad morzem mogą zajmować się odsnieżaniem i usuwaniem sopli lodu. A jednak warto – by przez chwilę poczuć się jak w filmie. Tym, którzy chcieliby ruszyć śladami zagranicznych romansów, polecamy lokalizacje w Londynie, Paryżu i Los Angeles. Pozostałym – miejsca w Polsce. Wszystkie, które opisujemy poniżej, zapisały się w historii kinematografii. I, co ważne, są dostępne nawet w lutym.

BYĆ JAK HUGH GRANT

Sklep z antykami na Notting Hill, Londyn

Nazwa stylowej, modnej (i drogiej) dzielnicy w zachodnim Londynie posłużyła reżyserowi Rogerowi Michellowi za tytuł romantycznej komedii. Zakątki Notting Hill stworzyły tło romansu hollywoodzkiej gwiazdy Anny Scott (Julia Roberts) i nieśmiałego sprzedawcy książek podróżniczych Williama Thackera (Hugh Grant). Filmowa księgarnia Travel Book Co. została urządzona w sklepie z antykami, który teraz pod nazwą Gong sprzedaje meble (142 Portobello Road). Jej pierwowzór – The Travel Bookshop – znajduje się niedaleko, na 13-15 Blenheim Crescent.

Romans zaczął się niefortunnie – wychodzący zza rogu William wpadł na Annę i niechcący oblał ją sokiem pomarańczowym dokładnie przed kawiarnią Coffee Republic, która nadal mieści się pod numerem 214 przy Portobello Road. Na szczęście romantyczny pechowiec mieszkał za rogiem, więc zaprosił poszkodowaną do siebie, aby mogła się przebrać. Filmowy dom z niebieskimi frontowymi drzwiami znajduje się przy 280 Westbourne Park Road. Kiedyś należał do scenarzysty i producenta filmu Richarda Curtisa. Dziennikarze zarzucali mu nawet wykorzystanie w filmie własnego domu w celu podniesienia jego wartości!

Niebieskie drzwi sprzedano na aukcji w Christie's. A nowy właściciel pomalował swoje na czarno, aby nikt ich nie rozpoznał. Na darmo – wkrótce na ścianie obok wejścia znalazł graffiti: „Żegnajcie, niebieskie drzwi”. (JO)

Wskazówki praktyczne: Bilet lotniczy na trasie Warszawa – Londyn: od 300 złotych. Na Notting Hill dotrzecie metrem.

KUPIDYN ATAKUJE...

...przy ulicy Józefa 12 na krakowskim Kazimierzu

Pod powyższym adresem przynajmniej należałoby szukać kupidyna, idąc tropem Artura Więcka „Barona” i Witolda Beresia. Ich filmowy bohater – Anioł, prywatnie Krzysztof Globisz – właśnie na podwórku przy Józefa 12 został ugodzony miłosną strzałą w... pośladek. I z miejsca zakochał się w przechodzącej tuż obok pięknej pani psycholog Romie (Anna Garmarek).

Spragnionym podobnych przeżyć nie pozostaje nic innego, jak udać się pod ów magiczny adres. Nawet jeśli żadna strzała was nie dosięgnie, spędzicie czas w „jednym z najbardziej urokliwych zakątków Krakowa”, jak opisuje to miejsce szefowa założonego w tym podwórku przed trzema laty klubu Stajnia. Barman klubu, który

O tej porze roku na pewno nie spędzimy nad morzem ostatniego dnia lata, ale może ostatni dzień zimy?



To właśnie u stóp zamku w Chęcinach po raz ostatni widzieli się Baśka i Wołodyjowski. Wy możecie umówić się tam po raz pierwszy

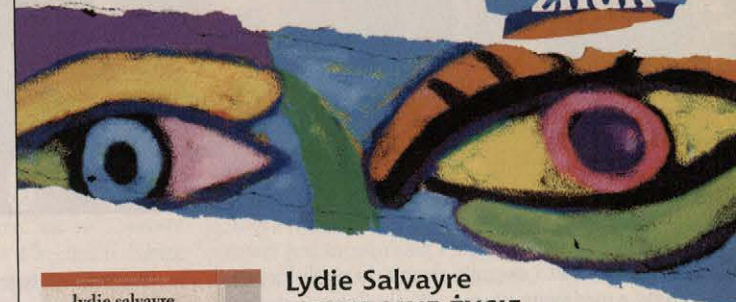
Stolik w Valencii (po prawej) czeka na parę, która zechce spędzić wieczór tak romantyczny jak jeszcze „Nigdy w życiu!”

NAKREĆ SOBIE miłość

Przewodnik walentynkowy kinomana, czyli jak się umówić w jednym z miejsc, które dobrze znamy z filmowego planu



nie przegap znak



Lydie Salvayre
ZWYCZAJNE ŻYCIE
tłum. Ewa Wieleżyńska

Historia zwyczajnej kobiety, studium zwyczajnego szaleństwa ujęte w ramy zapożyczone z greckiej tragedii. Bohaterowie książki z jednej strony budzą w nas rozbawienie, z drugiej zaś – zażenowanie, współczucie, a nawet litość. Patetyczne ujęcie przyziemnych spraw wywołuje groteskowy efekt. Co ciekawe, czytelnik wraz z bohaterką niepostrzeżenie daje się zamknąć w skomplikowanym labiryncie obsesji. Czy uda mu się wydostać z tej literackiej pułapki? Czy uda mu się odróżnić lęki bohaterki od własnych? Odpowiedź może nas zaskoczyć.



J.M. Coetzee
ELIZABETH COSTELLO
tłum. Zbigniew Batko

Zaskakująca autokreacja noblisty
Elizabeth Costello, powszechnie ceniona pisarka, podczas licznych spotkań odczytuje swe bulwersujące publiczność wykłady. Kim właściwie jest Elizabeth Costello? *Porte-parole* słynnego pisarza, aktorką wygłaszającą tekst wykładu Coetzee'ego, a może prowadzą...? Kolejne dzieło noblisty to niezwykła powieść-esej, inspirowana i zarazem drażniąca, zmusza do zajęcia stanowiska, nie pozwala pozostać obojętnym.



Wiktor Pielewin
HEŁM GROZY
tłum. Małgorzata Buchalik

Kolejna powieść z międzynarodowej serii MITY
Akcja *Hełmu grozy* rozgrywa się w świecie wirtualnym, w świadomości bohaterów uwikłanych w sieć wszechotaczającego ich labiryntu. Próbuje go rozszyfrować, rozsadzić, przedostać się do innej rzeczywistości. Pielewin dokonał nowatorskiej interpretacji popularnego mitu o Minotaurze, którego wątki i najważniejsze treści ujawniają się wraz z rozwojem zagadkowego czatu internetowego.

W marcu – Jannette Winterson, *Brzemie*

onet.pl @merlin.pl gazeta

SIW Znak sp. z o.o., ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków,
www.znak.com.pl, bezpłatna infolinia: 0800 130 082

rzy Turek, odtwórca roli listonosza w serialu „Złotopolscy”. Wszelkiego rodzaju ruiny są idealnym miejscem dla miłosnych wyznań i potajemnych schadzek, masowo romansujący mieszkańcy Złotopolis musieli mieć więc swoje – Ruiny Jana. Miejsce to prócz romantyzmu miało dla serialu jedną niewątpliwą zaletę – łatwo było tam kogoś podejrzec. Gdy więc senator Złotopolski (Kazimierz Kaczor) w Ruinach Jana zalecał się do o 25 lat młodszej Anety Czystej (Magdalena Wójcik), cała wieś wkrótce o tym huczała. W tej samej scenerii zazdrośna Kęsikowa (Stanisława Celińska) zaatakowała listonosza, nakrywając go z agroturystką, Waldek (Andrzej Nejman) pobił się z Mirkiem (Radosław Elis) o Weronikę (Agnieszka Sitek), a ta ostatnia udaremniła próbę samobójczą przeżywającego rozterki sercowe Florka (Adam Dzienis). Filmowe Ruiny Jana nie znajdują się pod Tarczynem, gdzie kręcono zdjęcia plenerowe do „Złotopolskich”, ale w... Warszawie. Nie są też ruinami zamkowymi – to tylko fragment muru w otoczeniu drzew.

Wskazówki praktyczne: Warszawa, tereny SGGW (okolice ulicy Vogla), blisko sąsiadujących z nimi pól golfowych.

NA OSTATNI DZIEŃ LATA

Leśniczówka w Szklanej Hucie nad polskim morzem

Bezludna plaża, na której spotykają się młody mężczyzna (Jan Machulski) i dojrzała kobieta (Irena Laskowska) w „Ostatnim dniu lata”, znajdują się niedaleko Dębek, tuż za Białogórą. – Zainstalowaliśmy się na pustkowiu – do najbliższej osady sześć kilometrów (...). Stała tam tylko leśniczówka z romantycznym leśniczym – wspominał reżyser i scenarzysta Tadeusz Konwicki w książce „Pamiętam, że było gorąco”.

Nadal można to wszystko sprawdzić, bo leśniczówka w Szklanej Hucie stoi do dziś. Co więcej, można nawet wynająć w niej kwatery. Chętnych, jak twierdzi obecny leśniczy Ryszard Leśnik, nigdy nie brakuje. – W lipcu przyjeżdżają do nas Anna Dymna i Anna Seniuk – dodaje. Leśniczy Leśnik pamięta z opowiadań poprzednika, w którym miejscu kręcono sceny z filmu, więc wskaże, gdzie trzeba iść. Uprzedza tylko, że część nadmorskich wydm zdążyła przez minione kilkadziesiąt lat zarosnąć gęstym lasem. (KP)

Wskazówki praktyczne: Pokoje można rezerwować pod numerem: (0-58) 572 42 14. Cena noclegu – 42 złote od osoby.

JAK PRZYGODA, TO...

Rynek na Mariensztacie, Warszawa

„Jak przygoda, to tylko w Warszawie” – o tym wiedzą nawet przedszkolaki nieświadome, skąd pochodzi piosenka, której uczą się na pamięć. Ano z filmu Leonarda Buczkowskiego „Przygoda na Mariensztacie” z 1954 roku. Romantyczna historia jest tu tylko pretekstem do ukazania entuzjazmu przy odbudowie stolicy, a tym samym optymizmu nowej, socjalistycznej Polski. Dlatego właśnie miejscem, w którym spotyka się Hanka z zespołu ludowego z murarzem Jankiem, jest świeżo wybudowana dzielnica – Mariensztat. Tam właśnie, na rynku, wieczorem młodzi poznają się i tańczą. A w dalszej perspektywie tworzą szczęśliwą murarską parę, która z zapalem buduje nowe domy.

Dzisiaj Mariensztat zamienił się w cichą i urokliwą dzielnicę, która ożywa latem w czasie koncertów pod gołym niebem. Na rynku ocalał nawet kamienny podest, na którym tańczył w filmie zespół ludowy Hanki. Ale



Uwaga! Przy Józefa 12 strzały Amora trafiają w pośladek! Przekonał się o tym pewien anioł...



Kąpieli w górskim strumieniu w lutym nie polecamy, ale gorący pocałunek w plenerze – i owszem

pracował tam także półtora roku temu, a więc w czasie kręcenia zdjęć (jedna z kelnerek znalazła się nawet przypadkiem na planie, czym koledzy z pracy chętnie się chwala), przyznaje, że bramę przy Józefa 12 już przed „Zakochanym Aniołem” nazywano „filmowym podwórkiem”. Spielberg nakręcił tutaj kilka scen do „Listy Schindlera”. I można się tu natknąć na wycieczkę zwiedzającą plany właśnie tego ostatniego filmu. (KP)

Wskazówki praktyczne: Piechotą z Dworca Głównego na krakowskie „filmowe podwórko” można dostać się w 20 minut. Kawa w Stajni – 3,5–7 złotych, a grzane wino – 5 złotych.

CZARODZIEJSKO NIEWINNE

Podwórko przy Chmielnej 10, Warszawa
Wczesny poranek. Na warszawskie podwórko wtacza się korowód skacowanych chłopaków

– poprzedniej nocy był jazzowy koncert i picie do rana. – Bo nie zna życia, kto nie służył w marynarce, upojne harce, upojne harce – wykrzykuje: rozpoznajemy wśród nich młodzieńczego Krzysztofa Komedę, Zbigniewa Cybulskiego, Romana Polańskiego. Zatrzymują się po oknem kolegi Andrzeja (gra go niemal białowłosy Tadeusz Łomnicki) i rzucają kamieniem w otwarte okno. Andrzej wygląda i ucisza ich, bo w jego pokoju śpi dziewczyna. Przez całą noc prowadzili romantyczną grę. On jako Bazyli, ona (Krystyna Stypułkowska) jako Pelagia. Pudełkiem zapalek grali na ubraniowe fanty – ona była już o krok od pełnego neglizju, ale Bazyli okazał się dżentelmenem. Już wiecie, co to za film? „Niewinni czarodzieje” Andrzeja Wajdy z 1960 roku – świetny obraz młodziowej Warszawy: jazzu, zabawy i podchodów miłosnych. A dom, w którym była kawaler-

ka Andrzeja-Bazylego, mieści się przy jednej z bardziej znanych handlowych ulic – Chmielnej. Jeśli na niej stoicie i macie przed oczami Pałac Kultury, a za plecami Nowy Świat, wystarczy skrócić w prawo, wejść w przesmyk, który wiedzie do ulicy Tuwima. To tu o świcie po pijanej nocy należy odśpiewać „Bo nie zna życia...”. (JS)

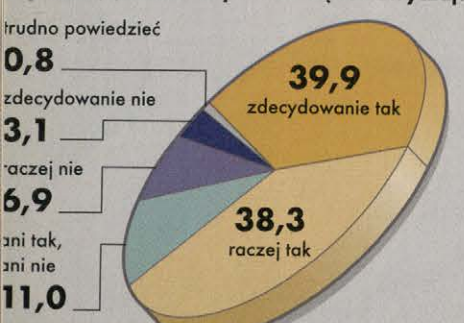
Wskazówki praktyczne: Na piechotę kilka minut od Galerii Centrum. Po drodze przystanek na piwo w każdej knajpie. Mandat za zakłócanie ciszy nocnej: 200 złotych. Potencjalnie izba wytrzeźwień: 150 złotych. Uczucie niewinności nad ranem – bezcenne.

SCHADZKA W RUINACH

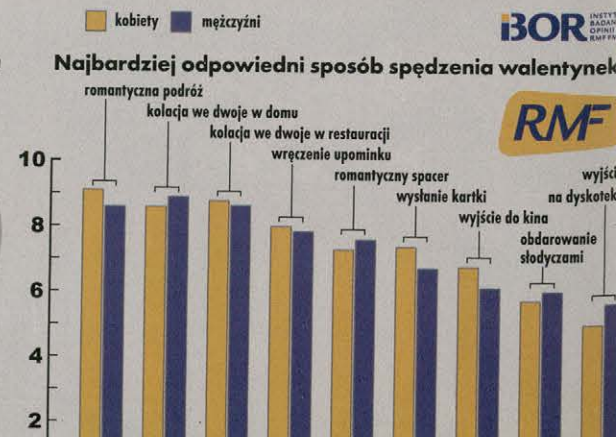
Ruiny Jana – miłość w stylu „Złotopolskich”
– Tak sobie scenarzyści wymyśli, że jak miało się dziać coś sercowego, to właśnie tam – mówi Je-

Czy obchodzisz walentynki?

Od kilku lat 14 lutego obchodzi się w Polsce święto zakochanych, tak zwane walentynki. Czy Panu(-i) oświadczenie podoba się ten zwyczaj?



Czy pan(i) oświadczenie, chciał(a)by w tym roku dostać od kogoś kartkę walentynkową lub inną niespodziankę z tej okazji?





„Niewinni czarodzieje” w bramie przy Chmielnej; „Pretty Woman” i jej pierwszy (no, może drugi...) raz w windzie; gdyby Hugh Grant naprawdę prowadził księgarnię na Notting Hill, z pewnością byłby tam większy ruch; Amelia czeka, aż Nico się odwróci, żeby spojrzeć mu głęboko w oczy

większość ludzi chętniej zbacza do pobliskiej Baryłki z niedrogim piwem. „Królu Zygmuncie, powiedz nam, czyś widział Warszawę tak piękną jak dziś?” – pytanie pozostało retoryczne, ale akurat romantycznego Mariensztatu Warszawa mimo zmian ustrojowych nie musi się wstydzić. (JS)

Wskazówki praktyczne: Od Krakowskiego Przedmieścia trzy minuty piechotą ulicą Bednarską na dół i jesteśmy na miejscu. Piwo w Baryłce – od 7 złotych. Pod górę droga potrwa dłużej.

MAŁA CZARNA JAK W „AMELII”

Kawiarnia Les Deux Moulins w Paryżu

Pamiętacie paryską kawiarenkę, w której pracowała niewinna czarodziejka Amelia Poulin? Kilka stolików, przy których zasiadają miejscowe oryginały, mały bar i półka z papierosami. W tle słychać charakterystyczną paryską muzykę. Tam Amelia i kolekcjoner niechcianych fotografii Nico spojrzeli sobie po raz pierwszy głęboko w oczy. On pił kawę z czarnej filiżanki, ona zapisywała menu dnia białym flamastrem. Tam również Nico upewnił się, że to Amelia jest kobietą, która zostawiła mu wiadomości w metrze.

Choć film Jeana-Pierre’a Jeuneta pełen jest zmyślonych miejsc, kawiarnia Amelii istnieje naprawdę i rzeczywiście nazywa się Les Deux Moulins (Dwa Młyny). Jest ukryta w jednej z malutkich uliczek Montmartre’u, rue Lepic pod numerem 15. Odkąd „Amelia” pojawiła się w kinach, kawiarnię odwiedzają tłumy turystów. Nieco dalej, przy ulicy Trois Frères, znajduje się warzywniak prowadzony w filmie przez gburę Collignona. Tu z kolei Amelia robiła zakupy. (SOL)

Wskazówki praktyczne: Dokładny adres Les Deux Moulins – rue Lepic, numer 15. Telefon do kawiarni +33 (0) 1 42 54 90 50. Do kawiarenki można dojechać drugą linią metra (stacja Blanche) albo przejść się spacerkiem z placu Pigalle, gdzie – co wiemy już z innego filmu – są najlepsze kasztany w Paryżu.

PRZEZ ŻOŁĄDEK DO SERCA

„Nigdy w życiu!”, czyli palce lizać

– A może poszlibyśmy do jakiejś dobrej knajpy, co? – mało kto oparłby się takiej propozycji, zwłaszcza jeśli składa ją Artur Żmijewski, filmowy Adam z „Nigdy w życiu!”. I zwłaszcza jeśli, podobnie jak Judyta (Danuta Stenka), w łódzce mamy jedynie pusty słoik po papryce konserwowej, musztardę i dwie marchewki. Nic dziwnego, że dała się namówić na wieczór w hiszpańskiej restauracji Valencia na 38. piętrze wieżowca Intraco z widokiem na centrum Warszawy.

O czym tamtego wieczoru rozmawiali, nigdy się nie dowiemy, w filmie mogliśmy zobaczyć tylko ich roześmiane twarze nad talerzami, z których jedli palcami. Ale to oczywiste, że kolacja była udana, skoro zakończyła się pocałunkiem.

Valencia jako najlepsze miejsce na pierwszą randkę pojawiła się jeszcze raz – w „Tylko mnie kochaj” Ryszarda Zatorskiego zaglądają do niej Julia (Agnieszka Grochowska) i Michał (Maciej Zakościelny). Kiedy wchodzi, ich spojrzenie pada na... rozbawionych Judytę i Adama, ten ostatni wyjmując pudełeczko z pierścionkiem. Jak był ciąg dalszy, możemy jedynie zgadywać. – Chyba nie będziemy im przeszkadzać – decyduje bowiem Michał i razem z Julią wychodzą.

Aranżując scenę w Valencii, realizatorzy „Tylko mnie kochaj” oczywiście puścili oko do konkurencyjnej ekipy kręcącej kontynuację „Nigdy w życiu!”, czyli „Ja wam pokażę!”. Ale historii filmowego konfliktu nie będziemy tu opowiadać, bo nie ma w niej nic romantycznego. (MASA)

Wskazówki praktyczne: Valencia mieści się w budynku Intraco, ulica Stawki 2. Z centrum najwygodniej dojechać tu tramwajem (na przykład 15 i 36) lub przejść się kawałek od stacji metra Dworzec Gdański. Valencia specjalizuje się w kuchni śródziemnomorskiej, kolacja z winem dla dwóch osób to wydatek około 200 złotych. Rezerwacja stolika: (0-22) 860 62 17.

MIŁUJESZŻE MNIE?

„Potop” w Dolinie Chochołowskiej

Panna urodziwa, kawaler młody i z fantazją, śmiało do całowania się zabiera, a konie rwą z kopyta po ośnieżonej drodze. – Miłujeszże mnie? – pyta młodzieniec (Daniel Olbrychski). – Jako duszę własną – odpowiada ona (Małgorzata Braunek). Otulona baranicą i promienią radością para nie przeczuwa jeszcze, że szczęście uleci szybciej, niż na nią spłynęło, a zanim powtórnie splotą się w miłosnym uścisku i zanim Oleńka wyszepta do Kmicica: „Jędrus, ran twoich całować niegodnam”, ich uczucie zostanie poddane ciężkiej próbie. Droga z powieściowych Wodoktów została zaaranżowana w Dolinie Chochołowskiej, gdzie kuligi to stały punkt imprezowego programu. Kmicicową randkę możemy więc sobie zafundować bez większych przeszkód. (MAL)

Wskazówki praktyczne: Za 117 złotych od osoby autokar zabiera nas z Zakopanego na Siwą Polanę, tam przesiadamy się do sań i mkniemy przed siebie w świetle pochodni, by u kresu drogi ogrzać się w gazdówce, zjeść talerz żuru i posłuchać kapeli góralskiej.

Z KAMYKA NA KAMYK

Rzeka Białka, czyli erotyka z Janosika

Nawet mało wytrawni widzowie serialu „Janosik” wywołani do odpowiedzi przypomną sobie natychmiast scenę, w której Maryna z Janosikiem kąpali się w rzece. Nie tylko romantyczną, ale i nad wyraz odważną erotycznie. Słowiański Robin Hood (w tej roli Marek Perepeczko) i piękna góralka zrzucająca w biegu bajecznie kwiecistą chustę (Ewa Lemańska – czy Maryna i Marion to tylko przypadkowa zbieżność imion?) – trudno wyobrazić sobie doskonalszą parę kochanków. Chociaż legendarny rozbójnik grasował głównie po słowackiej stronie Tatr, większość scen pełnowymiarowych powstawała w okolicach naszej Białki Tatrzańskiej, niedaleko stamtąd nakręcono też scenę kąpieli. (MAL)

Wskazówki praktyczne: Białka Tatrzańska leży za Nowym Targiem. Jako że kąpiel w rzece w lutym więcej ma ze sportów ekstremalnych niż z romantyzmu, proponujemy ugrzeczniejszą wersję – ot, kilka namiętych pocałunków na łonie malowniczej przyrody. W dodatku za darmo.

BARBARA I NENUFARY

„Noce i dnie” na bagnach w Pogorzeli

Rozbawione towarzystwo przybiega nad staw, panie w letnich sukniach osłaniają się przed słońcem parasolkami, panowie bez marynarek – tylko Toliboski w śnieżnobiałym garniturze zapiętym na ostatni guzik i w cylindrze. Jakże musiało pochlebiać Barbarze (Jadwiga Barańska), że piękny młodzieniec specjalnie dla niej pobrudził swój nienaganny strój. A może Toliboski wcale nie był ubrany na białe? Może miał przetłuszczone włosy i lekko przepoconą koszulę? Tego się nie dowiemy, bo scena jest tylko wyidealizowanym wspomnieniem Barbary, które będzie powracać przez całe życie, pobrzmiwając rzewną nutą. Karol Strasburger zrywający w stawie nenufary to jedna z najbardziej romantycznych scen w polskim kinie. Została nakręcona w Pogorzeli, gdzie w pobliżu zabytkowego dworku (filmowego Pamiętowa) znajdziemy rezerwat pełen bagiennych zbiorników wodnych. (MAL)

Wskazówki praktyczne: Pogorzle leży siedem kilometrów na południe od Mińska Mazowieckiego, przy drodze wojewódzkiej numer 802; ma połączenia PKS-owe z Mińskiem i Warszawą.

NOSTALGIA DWORCOWA

Otwórz wino w Poddębicach

O wpływie kolei na polskie kino można by napisać powieść, w której nie zabrakłoby namięt-

nych uścisków w salonce („Ziemia obiecana”), podróży kończącej się niemal na plaży („Pociąg”) czy kalekiej miłości w domku przy torach („Kobieta samotna”). Ale naszym zdaniem na romantyczny wieczór najlepiej wybrać cichą stacyjkę Poddębice, gdzie zabijając pustkę wakacyjnych dni, Ataman, Admirał, Pasza i Wódz z „Nad rzeką, której nie ma” fantazjowali o brunetkach i blondynkach, które wysiadą kiedyś z któregoś z rzadko przejeżdżających pociągów. I pewnego dnia wysiadła – studentka w spódnicy w grochy, Marta (Joanna Tizpicińska), w której po uszy zakochał się Admirał (Marek Bukowski).

Dla pełnego wczucia się w nostalgiczny klimat filmu Andrzeja Barańskiego powinniśmy na dworcowej ławce zanucić ulubione brazylijskie tango Admirała i Marty („Gdy nocą pachnie kwiat magnolii, oddaje serce się bez woli...”) i otworzyć butelkę lokalnego wina marki wino. (MASA)

Wskazówki praktyczne: Do Poddębic można dojechać pociągiem z Łodzi Kaliskiej z przeładką w Zduńskiej Woli (około 1,5 godziny). Położenie z Warszawy trwa ponad cztery godziny i też konieczna będzie przesiadka.

PARA Z KRWI I KOŚCI

„Pan Wołodyjowski” na zamku w Chęcinach

Baśka i Michał jako jedyna chyba Sienkiewiczowska para małżeńska byli ludźmi z krwi i kości – i taki też był ich związek. Wołodyjowscy nie tylko się kochali, oni przede wszystkim bardzo się lu-

bili, a gdzie był Michał (Tadeusz Łomnicki), tam też murem za nim stała Baśka (Magdalena Zawadzka). Dlatego pewnie widzom tak trudno było pogodzić się z tym, że historia Wołodyjowskich nie kończyła się happy endem, a scena ich ostatniej rozmowy zawsze robiła wrażenie. Były zresztą po temu warunki: półmrok, za plecami zwróconych ku sobie kochanków mury twierdzy kamienneckiej, w tle przygrywa jakiś smutny grajek i padają słynne słowa pana Michała: „Bo jak na mnie termin przyjdzie, a przecie to żołnierska rzecz, zaraz powinnaś powiedzieć sobie: nic to”. Surowe ruiny XIII-wiecznego zamku w Chęcinach dobrze sprawdziły się jako dramatyczne tło dla ostatniej rozmowy zakochanych. (MAL)

Wskazówki praktyczne: Chęciny leżą 15 kilometrów od Kielc. Dojazd samochodem drogą numer 7 z Warszawy i Krakowa oraz 762 z Kielc.

NIEPRZYWOICIE... DROGO

Randka z „Pretty Woman” w Beverly Hills

Jeśli jesteście w stanie wydać na romantyczną randkę co najmniej kilka średnich krajowych, wpadnijcie na weekend do Regent Beverly Wilshire, pięciogwiazdkowego hotelu w Beverly Hills. To on był sceną romansu biznesmena z prostytutką, który w połowie lat 90. zbulwersował amerykańską widowńię. Mowa o „Pretty Woman” Garry’ego Marshalla z Julią Roberts i Richardem Gere’em. Za 500 dolarów za noc (stawka wyjścia) możecie pospacerować po urządzonej z przepychem wnętrzach, przejechać się słynną już windą (– Mają tu sofę dla dwóch osób! – darła się zachwycona Viviane. – Pierwszy raz w windzie – tłumaczył zdumionym gościom jej entuzjizm Edward), wieczorem wpaść do baru, a do pokoju obowiązkowo zamówić szampa i truskawki. I tu zła wiadomość – filmowy apartament został w całości zaaranżowany w studiu, pozostaje więc zarezerwować tutejszy – konieczne jednak na najwyższym piętrze! (MASA)

Wskazówki praktyczne: Regent Beverly Wilshire, Wilshire Boulevard, tel. +1 310 858 23 99. Hotel znajduje się 18 minut taksówką od lot-

niska i kilka minut piechotą od Rodeo Drive, gdzie idąc w ślady Gere’a i Roberts, możemy zaszaleć w ekskluzywnych butikach. Bilet powrotny z Warszawy do Los Angeles: od 2000 złotych.

MAGDA Z WIEJSKIEJ

Gdzie w Warszawie spotkać Magdę M.

Jak na serial dla nowej klasy średniej o kłopotach sercowych współczesnych 30-latków przystało, „Magda M.” wtopiła się w miejskie przestrzenie Warszawy. Wbrew temu, co twierdzą złośliwi, stolica też może być romantyczna, a czasem może nawet grać inne miasta. Gdy pogoda sprzyjała spacerom, Magda (Joanna Brodzik), jej najlepszy przyjaciel Sebastian (Bartek Świdzki) i przyjaciółki Agata (Daria Widawska) i Karolina (Katarzyna Herman) korzystali z uroków przyrody w parku Skaryszewskim, na Polu Mokotowskim i w parku Morskie Oko. Piotr (Paweł Małasiński) i jego wspólnik Wojtek (Bartek Kasprzykowski), a także ich sekretarka i koleżanka Mariola (Katarzyna Bujakiewicz) odreagowali stres prawniczej pracy na ścianie wspinaczkowej mieszczącej się w ośrodku sportowym przy ulicy Nowowiejskiej. Piotr mieszka na Ochocie, skąd ma blisko do pracy w kancelarii na Górnym Mokotowie. Magda M. i jej kot Dziś rezydują w nowocześnie urządzonej mieszkanie w starej kamienicy przy ulicy Wiejskiej. Niedaleko, na placu Trzech Krzyży, dochodzi w końcu do namiętnego (niestety, w pierwszej serii jednego) pocałunku między Magdą i zakochanym w niej Piotrem. (JO)

Wskazówki praktyczne: „Mieszkanie” Magdy M. mieści się dokładnie na Wiejskiej 16. Na V piętrze, więc nie zajrzycie jej w okno z ulicy. Po drugiej stronie ulicy Wiejskiej mieści się redakcja „Przekroju”, więc przypadki Magdy M. w zasadzie najlepiej byłoby śledzić z naszego okna.

JOANNA OZDOBIŃSKA, KAROLINA PASTERNAK, MAŁGORZATA SADOWSKA, OLA SALWA, JUSTYNA SOBOLEWSKA, MALWINA WAPIŃSKA

11.02.2006 POZNAŃ Klub Blue Note
12.02.2006 WARSZAWA Fabryka Trzciny
13.02.2006 WROCŁAW Centrum Sztuki IMPART
14.02.2006 CHORZÓW Teatr Rozrywki
15.02.2006 BIELSKO-BIAŁA Centrum Kultury

info: www.jazzrazporaz.pl

Sponsorzy: VATTENFALL, LOT

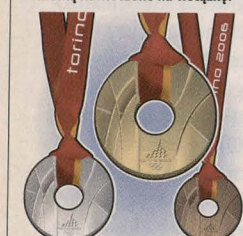
Patroni medialni: TVP KULTURA, PRZEKROJ, gazeta WYBORCZA, Radio PIN 102FM, COJEST & GRANE, jazz forum, INFO MUSIC, www.infomusic.pl, INK

e.s.t. esbjörn svensson trio



MEDALE OLIMPIJSKIE

Po raz pierwszy w historii igrzysk olimpijskich medale nie będą klasycznymi krążkami miedzianymi u góry. Zamiast tego zwycięzcy dostaną... kółka z dziurką nawleczone na wstążkę.



PRODUKCJA MEDALI

Medale zostały wykonane mając co najmniej 4500 lat metodą traconego wosku.

1 Najpierw powstaje rzeźba – wzór

2 Na tej podstawie robi się formę z silikonu

3 Do formy wstrzykiwany jest specjalny wosk – powstaje dokładna kopia

4 Woskowy medal zalewany jest płynną masą, którą utwardza się, wypalając w 800 stopniach. Jednocześnie wytapia się ze środka wosk

5 Przez otwory w formie wlewa się do środka płynny metal. Gdy zastygnie, forma jest rozbijana

6 Medal jest wykańczany – usuwa się ślady po wlewkach i nadaje odpowiedni kolor

Olympic logo property of the IOC
Source: IOC

torino 2006

torino 2006

torino 2006

torino 2006

torino 2006



TURYŃ 2006

Zaczyna się olimpiada. Wszyscy znają skoki narciarskie czy łyżwiarstwo figurowe. My pokazujemy takie dyscypliny, w których na pierwszy rzut oka nie bardzo wiadomo, o co chodzi. Z naszym przewodnikiem wreszcie zrozumiesz, po co zamiatać lód



NARCIARSTWO DOWOLNE

Ta dyscyplina po raz pierwszy została zaprezentowana podczas igrzysk w 1988 roku. Składa się z dwóch konkurencji – narciarstwa akrobatycznego i jazdy po muldach

NARCIARSTWO AKROBATYCZNE

Ta konkurencja zmieniła się od ostatnich igrzysk – po zmianie przepisów jest bardziej widowiskowa, zawodnicy wykonują szybsze i wyższe skoki.

Rozbieg
Długość 60–70 metrów,
nachylenie 23 stopni

Rampy
Wysokość 2,1–3,5 metra,
nachylenie 55–65 stopni

Zawodnicy starają się utrzymać narty pod kątem prostym w stosunku do ciała

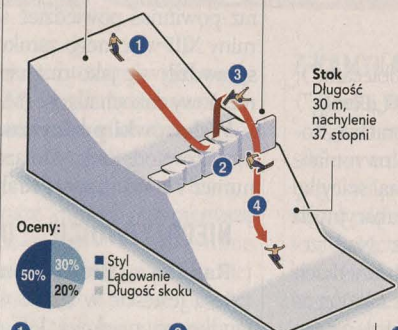
SPRZĘT

Kroju kombinizonu nie określają przepisy, ale nie może on kępować ruchów

Narty są lekkie i krótsze od ciała zawodnika

min. długość – 81% wzrostu

Czuby z obu stron nart ułatwiają obroty i jazdę do tyłu



Oceny:

50% 30% 20%
Styl Lądowanie Długość skoku

1

Rozbieg
Zawodnicy mogą startować z dowolnego punktu stoku zależnie od tego, jaką prędkość chcą uzyskać

2

Rampy
Do wyboru jest kilka wysokości skoczni. Zawodnik wybiera tę, która najlepiej nadaje się do wykonania danej ewolucji

3

Faza lotu
Najlepsi zawodnicy mogą wykonać trzy obroty i pięć skrętów. Skoki z czterema obrotami są zabronione

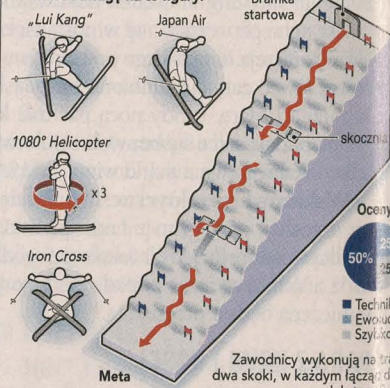
4

Stok
Zawodnicy lądują z wysokości 3–4 pięter. Aby osłabić uderzenie, śnieg na tym odcinku jest specjalnie napowietrzany

MULDY

Jazda po liczącym 250 m stoku pokrytym muldami. Po drodze zawodnicy pokonują dwie skocznie.

Zwróć uwagę na te figury:



Oceny:

50% 25% 25%
Technika Ewolucja Szybkość

Torino 2006 logo and pictograms TM © TOROC

REUTERS

Żebyś wiedział

SNOWBOARD

Snowboard narodził się w USA w 1960 roku. Za wynalazcę tej dyscypliny uważa się Shermana Poppa, który wpadł na pomysł połączenia dwóch nart. Snowboard zadebiutował na Igrzyskach w 1998 roku

W Turynie po raz pierwszy zostaną rozegrane zawody w crossie – konkurencji łączącej jazdę i akrobatykę.

PROGRAM

Miejsce: Bardonecchia
Luty 12 13 14 15 16 17 18 19 20 21 22 23

KONKURENCJE

halfpipe
slalom równoległy
cross

BUTY

Miękkie – wykonane ze skóry lub elastycznego plastiku, związane sznurowadłami lub zapinane na paski. Pozwalają na mocne odchylenie stopy

Twarde – podobne do klasycznych butów narciarskich mocno trzymają stopę, choć pozwalają na wychylenie nogi do przodu

DESKI

Miękkie wiązania
długość: 140–170 cm
szerokość: 23–28 cm

Wiązania platformowe
długość: 150–195 cm
szerokość: 18–20 cm

Freestyle'owa
Stosowane w halfpipe'ie dzięki takiemu samemu podgięciu z obu stron pozwalają na jazdę w obu kierunkach. Miękkie wiązania ułatwiają akrobacje

Alpejska
Wąska i długa świetnie sprawdza się przy dużych prędkościach. Duża zwrotność i twarde wiązanie pozwalają na ostre skręty w slalomie

CURLING

Curling pochodzi ze Szkocji. Jego reguły po raz pierwszy spisano w 1716 roku. Częścią igrzysk stał się w 1998 roku

Dwie drużyny składają się z czterech zawodników. Każdy zawodnik wypuszcza dwa kamienie, starając się je umieścić jak najbliżej guzika, czyli środka domu – kręgu na końcu toru.

SPRZĘT

Złoty, srebrny, brązowy
Złoty – wykonany jest ze sztucznego tworzywa, płótna lub włosa

Lewy but
Nakładka z teflonu zmniejsza tarcie

Prawy but
Podszewka z materiału zwiększającego tarcie

Szczotka
Wykonana jest ze sztucznego tworzywa, płótna lub włosa

Ruch kamienia
Szczotkowanie lodu przed kamieniem wytwarza cienką warstwę wody i pozwala na zwiększenie długości ślizgu oraz zmianę kierunku ruchu

Dom
Tylko kamienie w nim umieszczone liczą się w punktacji

Linia końcowa
Linia celu

Guzik

Strefa kamieni-strażników

Kropelki
Nierówny lód zmniejsza powierzchnię kontaktu z kamieniem, który może sunąć dalej

Lód
Pokrywany jest rozpylanymi kropelkami wody, by zmniejszyć opór kamienia

Kamienie
średnica: 30 cm
wysokość min.: 11,43 cm
waga maks.: 19,66 kg
materiał: granit
cena: 6000 dol.

Linia spalonego
Kamień trzeba wypuścić przed jej przekroczeniem

Belka
Służy do odbicia się przy wypuszczeniu kamienia

Zagrywający

Kapitan

44,5 m

47,5 m – 5,50 m



TRASY

Oba tory przygotowane są tak, by były możliwe do siebie podobne

nachylenie: 125 m
długość trasy: 600 m

Slalom równoległy

Dwaj zawodnicy równocześnie pokonują tory. Po dwóch rundach kwalifikacyjnych dalej przechodzi 16 zawodników. Rywalizują w parach, a przegrywający odpada. W finale odbywają się dwa zjazdy, tak by zawodnicy zamienili się torami

Co najmniej 20, odległość między nimi wynosi 11–13 m

Bramka

Trasa poprowadzona jest tak, by były na niej muldy, pagórki, niewielkie skocznie i inne przeszkody

nachylenie: 175 m
długość trasy: 700 m

Cross

Dwa pierwsze przejazdy zawodnicy pokonują samodzielnie. 32 najlepszych kwalifikuje się do finałów

W finałach zawodnicy zjeżdżają po czterech. Dalej przechodzą dwaj pierwsi

stanowisko sędziów

Włochy

Piemont

Rzym

TURYŃ

50 km

Bardonecchia

Torino 2006 logo and pictograms TM © TOROC

REUTERS

Sources: Illustrated Encyclopedia of Sports – Aurum Books, Torino 2006, Swedish Skiing Federation

Torino 2006

Torino 2006

Torino 2006

Torino 2006

Torino 2006

Torino 2006

Torino 2006

Torino 2006

Torino 2006

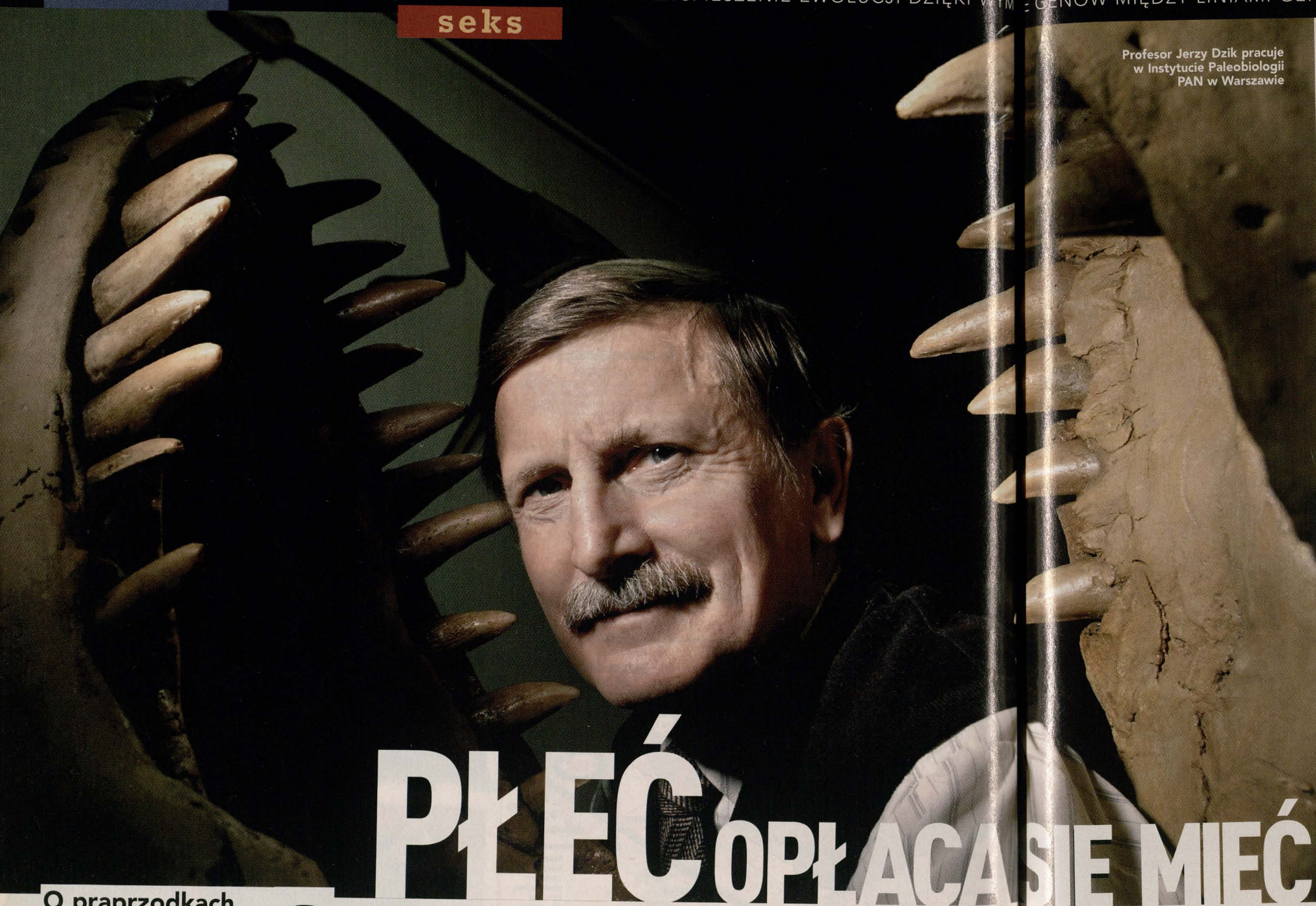
Torino 2006

Torino 2006

Torino 2006

- Curling to jeden z najdziwniej wyglądających sportów. Szczególnie zaskoczenie budzą zawodnicy zawzięcie szczotkujący lód przed sunącym po nim majestatycznie głazem. O co w tym wszystkim chodzi?
- Zawodnik wypuszcza z jednego końca toru kamień tak, by umieścić go jak najbliżej środka celu znajdującego się po przeciwległej stronie lodowiska. Wygrywa ten zespół, którego kamień znajduje się najbliżej środka po 16 rzutach. Dopuszczalne jest uderzanie w inne kamienie.
- W grze biorą udział dwa czteroosobowe zespoły. Każdy z zawodników wypuszcza, na przemian z rywalami, po dwa kamienie. Kapitan zespołu wskazuje cel i pomaga nakierować kamień, a dwaj pozostali gracze z drużyny szczotkują lód.
- Szczotkowanie lekko rozpuszcza nawierzchnię i wydłuża tor, po którym sunie kamień. Szczotkując silniej z jednej strony, można też zmienić trasę kamienia.

KOLUMNY OPRACOWAŁ PIOTR STANISŁAWSKI



Profesor Jerzy Dzik pracuje w Instytucie Paleobiologii PAN w Warszawie

Fot. BOGDAN KRZEL

PŁEĆ OPŁACA SIĘ MIEĆ

O praprzodkach wszystkich samców i samiczek oraz o tym, jak głód może zmusić do uprawiania seksu, opowiada paleontolog, profesor JERZY DZIK

OLGA WOŹNIAK: Wiele organizmów świetnie sobie radzi, rozmnażając się bezpłciowo. Dlaczego więc ewolucja zdecydowała się na płeć?

PROFESOR JERZY DZIK: Po pierwsze, nie mieszalibyśmy tak zaraz płci z rozmnażaniem. Proszę spojrzeć na to z czysto arytmetycznego punktu widzenia – z połączenia dwóch komórek płciowych, plemnika i jaja, powstaje jeden organizm. Liczba bytów ulega zmniejszeniu, a nie powieleniu. Mało kto zdaje sobie sprawę, że procesy płciowe nie służą wcale rozmnażaniu. Z punktu widzenia pojedynczego organizmu nie prowadzi to do żadnych korzyści. To ma sens tylko w perspektywie wielopokoleniowej.

To do czego służy płeć?

– Przez długi czas biologowie nie umieli odpowiedzieć na to pytanie. Wiedzieli, że musi być w tym sens, skoro organizmy, zwłaszcza wyższe, inwestują

dużo energii, by prowadzić procesy płciowe. Były na przykład jelenie kopalne, które miały poroża trzymetrowej rozpiętości. Służyły one do walki o samice, były znakiem ich zdrowia i sprawności – wyznacznikiem wartości biologicznej. Koszty corocznego wytwarzania i rzucania tak wielkich rogów doszły jednak do granicy wydolności zwierząt. Ale musiało to czemuś służyć, skoro ewolucja polega na selekcjonowaniu tylko tego, co daje korzyści organizmom. Nawet u organizmów rozmnażających się aseksualnie, jak niektóre grzyby czy bakterie, przeważnie zachowana zostaje zdolność podjęcia procesów płciowych.

I czemu służy?

– Już pod koniec XIX wieku niemiecki zoolog August Weismann twierdził, że wysiłek wkładany w życie płciowe można uzasadnić z punktu widzenia ewolucji. Seks zwiększa bowiem różnorodność gene-

tyczną, która jest szczególnie przydatna w sytuacji nagłej zmiany warunków środowiska. Wtedy możliwa staje się selekcja najlepiej przystosowanych organizmów, a szanse na przetrwanie gatunku rosną. I choć to wyjaśnienie jest logiczne, trudno było go dowieść eksperymentalnie.

Udało się?

– Niedawno Brytyjcy naukowcy porównali dwa szczepy drożdży – jeden zdolny do rozmnażania płciowego i drugi – uzyskany drogą mutacji – do tego niezdolny. W optymalnych warunkach tak jeden, jak i drugi rosły równie dobrze i wykazywały bezpłciowy sposób rozmnażania. Kiedy jednak naukowcy utrudniali im życie – dawali zbyt mało pokarmu lub obniżali temperaturę – normalne drożdże natychmiast zaczęły wytwarzać komórki płciowe. Po ich połączeniu (zapłod-

nieniu) powracały bezpłciowe podziały komórek i mimo trudnych warunków radziły sobie świetnie. Tymczasem mutanty niezdolne do życia płciowego dzieliły się i rosły wolniej. To doświadczenie potwierdziło dawną tezę: pojawienie się płci umożliwiło przyspieszenie ewolucji dzięki wymianie genów między liniami genealogicznymi. Jednak wymiana genów to nie jest rozmnażanie – połączenie tych dwóch procesów to cecha tylko niektórych organizmów wielokomórkowych.

Dlaczego u nich się połączyły?

– Z czystej ekonomii. Po pierwsze, procesy płciowe odbywają się na poziomie pojedynczych komórek. U organizmów wielokomórkowych wyodrębniony jest więc szlak jednokomórkowy – biorą w tym udział pojedyncze gamety.

Po drugie, rośliny i zwierzęta żyjące w środowisku lądowym mają problemy z procesami płciowymi, bo one mogą zachodzić tylko w wodzie. Tu były dwa wyjścia. Przepływ komórek płciowych mchów i paproci może zachodzić w kroplach rosy czy deszczu. A o to najłatwiej przy gruncie – w górę rośnie tylko to pokolenie rośliny, które rozmnaża się bezpłciowo. Rośliny nasienne lub zwierzęta lądowe postawiły na zapłodnienie wewnętrzne. Procesy płciowe wciąż odbywają się w wodzie, ale wewnątrz organizmu. Ograniczenie miejsca i oszczędność żywej materii doprowadziły w końcu do tego, że nie warto tu było rozdzielać rozmnażania od procesów płciowych.

Kiedy powstała płeć?

– By do tego doszło, musiały powstać organizmy o złożoności budowy większej od bakterii. Wewnątrz ich komórek musiał wyodrębnić się osobny oddział – jądro – zawierający liczne chromosomy. Musiał też powstać sposób ich precyzyjnego rozdziału do komórek potomnych. Pierwsze dwa miliardy lat życia na Ziemi było bez płci.

Czy to oznacza, że gdyby nie było płci, nie mógłby powstać człowiek?

– To fundamentalny problem: do jakiego stopnia złożoności można dojść, nie korzystając w ogóle ze zjawiska płci. Podpowiedzią może być to, że żadne organizmy, które nie wchodzi w procesy płciowe, nie osiągnęły stopnia złożoności wielokomórkowej porównywalnej z tymi, które płeć mają. Przeprowadzenie zjawisk płciowych wymaga większej złożoności komórki, a zatem i większej liczby genów. Być może nadmiar informacji zawarty w chromosomach jednokomórkowców był niezbędny do uformowania układów wielokomórkowych.

A jakie są najbardziej skomplikowane bakterie?

– Sinice – tworzą złożone kolonie, ale nieporównywalnie mniej złożone od krasnorostów, najprymitywniejszych spośród wielokomórkowych glonów rozmnażających się płciowo.

Dlaczego organizmy bezpłciowe przegrywają z płciowymi?

– Nie tyle przegrywają, ile zajmują inne miejsce w przyrodzie. Rzeczywiście nie ma pierwotnie bezpłciowych organizmów o złożonej anatomii. Może procesy płciowe są potrzebne, by wytworzyć

mechanizm blokowania i uruchamiania różnych genów w obrębie kolonii identycznych genetycznie komórek? Taką kolonią jest też nasz organizm. Każda komórka naszego ciała ma ten sam zestaw genów – to kłony. Ale w jednych tkankach działają jedne geny, w innych inne. Jedne geny kontrolują drugie. U wielokomórkowych organizmów bezjądrowych tego nie ma.

Ale są wyższe organizmy bezpłciowe. Na przykład mszyce.

– Wtórnie bezpłciowe, i to okresowo. Gdy warunki ich życia się pogarszają, do akcji wkracza płeć.

A dlaczego płeć dzieli nas akurat na samce i samice?

– Chodziło o to, by mieszały się geny różnych komórek, a nie tych, które noszą taką samą informację genetyczną. Na początku wykorzystany został do tego sposób rozpoznawania, który pozwalał odróżnić komórki nadające się do zjedzenia od własnego rodzeństwa. Pewne komórki noszą określony sygnał w błonie komórkowej, inne – odmienny. Zlewać się ze sobą mogły jedynie komórki o przeciwnych znakach. Tak powstał praplemnik i prajajo. Dziś wszystkie samce i samice to potomkowie tamtych pierwotnych komórek.

Dziś za płeć odpowiadają odpowiednie geny upakowane w komórkach w chromosomach. Kiedy doszło do takiej specjalizacji genów?

– Być może pierwsze organizmy, które posiadały jądro komórkowe, wchłonęły do swojego wnętrza symbiotyczne bakterie, z których powstały różne komórkowe organelle. W tej komórce znajdowało się wiele identycznych zestawów genów – wiele chromosomów powielających się w oczekiwaniu na podział komórki. Kiedy powstał precyzyjny system rozdzielania kompletów chromosomów do potomnych komórek, chromosomy zaczęły ewoluować niezależnie od siebie. Zaczęły się specjalizować. Potomna komórka, aby poprawnie funkcjonować, musiała dostać cały zestaw tych chromosomów, a nie losowo wybrane.

W każdej komórce naszego ciała jest 46 chromosomów.

– 23 pary identycznych w każdej parze u kobiety. U mężczyzny jedna para jest inna. Tam, gdzie kobiety mają chromosomy XX, mężczyźni mają X i mniejszy Y. Ale nie zawsze tak było.

Kiedy powstał ludzki chromosom Y?

– Nie ludzki, tylko ssaczy. Na etapie rozwoju ewolucyjnego, gdy jeszcze ptaki nie rozdzieliły się od ssaków, istniały prawdopodobnie dwa nierozróżnialne chromosomy płci. Gdy drogi ptaków i ssaków się rozeszły – jakieś 350 milionów lat temu – zaczęła się ewolucja tych chromosomów. U ptaków poszła trochę inaczej. U nich różne chromosomy ma samica. Samiec ma identyczne.

W różnych grupach zwierząt chromosomy płci ewoluowały odmiennie, choć efekt jest podobny.

To znaczy, że z punktu widzenia ewolucji warto mieć płeć?

– Inaczej nie przetrwałaby miliarda lat zarówno w świecie zwierząt, jak i roślin.

MAŁY MĘSKI GEN

O tym, jak robi się mężczyzn, i o pułapkach, jakie na nich czekają ze strony kobiecych genów, oraz o tym, że niezdrowo mieć za mało i za dużo, opowiada genetyk, profesor JADWIGA JARUZELSKA

OLGA WOŹNIAK: Co to znaczy mieć pleć?

PROFESOR JADWIGA JARUZELSKA: Pleć wynika z posiadania określonego zestawu genów. Geny znajdują się w paczkach – chromosomach. W każdej komórce naszego ciała mieści się 46 chromosomów. 23 pary po dwa identyczne egzemplarze – jeden garnitur pochodzący od matki, drugi od ojca. W każdej komórce ten sam zestaw. Ten schemat dotyczy kobiet. W chromosomach mężczyzn panuje małe zamieszanie. W jednej z par, gdzie u każdej kobiety znajdują się dwa spore, pełne genów chromosomy X, mężczyźni mają jeden X i przykusy, mały Y.

Jakie są na nim geny?

– Najważniejszy jest jeden, bez którego nie byłoby mężczyzny. To gen nazywany SRY. Gdy go nie ma, powstaje kobieta.

Czy ten gen jest aktywny od początku naszego życia?

– Włącza się między piątym a szóstym tygodniem życia płodowego. Uruchamia kaskadę różnych procesów, które prowadzą do powstania męskiej płci. U zarodka tworzą się jądra, które zaczynają produkować testosteron i inne hormony. To one będą dalej rzeźbić mężczyznę. Testosteron wpływa też na rozwój mózgu. Dlatego mózg kobiety jest ukształtowany inaczej niż mężczyzny.

A jeżeli zarodek w swym wyposażeniu genetycznym nie ma genu SRY?

– Wtedy trochę później – mniej więcej w 11. tygodniu życia płodowego – z pierwotnej gonady zarodka zaczyna powstawać jajnik i dalej uruchamia się różnicowanie w kierunku żeńskim.

Czy może się zdarzyć, że u chłopca gen SRY nie włączy się w określonym czasie? Co się wtedy dzieje?

– Oczywiście, że może się tak zdarzyć. Jeśli SRY nie zadziała, to tak jakby go w ogóle nie

było. Rozwój zarodka idzie w kierunku żeńskim. Rodzi się kobieta z chromosomami XY. Ona ma często wzrost ponad przeciętną, bo na chromosomie Y są też geny odpowiedzialne za wzrost. Jest też bezpłodna. Nie ma męskich gonad – bo nie działa SRY, a do rozwoju gonad żeńskich potrzebne są dwa chromosomy X.

To jakiej płci jest taka osoba?

– Żeńskiej, choć ma nieco odmienny profil hormonalny i niedorozwój gonad. To przypadek odwrócenia płci.

Mężczyzna XX i kobieta XY?

– Dokładnie. Zdarza się, że jajo (w którym zawsze jest chromosom X) zostanie zapłodnione plemnikiem, w którym też był X, ale na skutek jakiegoś błędu do tego X przyczepił się gen SRY. On nie traci swoich funkcji mimo przeniesienia. Włącza się w piątym tygodniu życia płodowego i tworzy mężczyznę, który w skrajnych przypadkach jest zupełnie zwyczajny, poza tym że niepłodny.

Dlaczego?

– Bo z chromosomu Y ma tylko SRY, a tam jest jeszcze cały pakiet genów odpowiedzialnych za powstawanie plemników.

A gdyby mężczyzna XX popełnił przestępstwo – na przykład gwałt? I przeprowadzono by badania genetyczne jego tkanki?

– To bardzo teoretyczny przypadek, bo takich osób jest bardzo niewiele. Taki mężczyzna nie wytwarza plemników. Badanie nasienia byłoby więc niemożliwe. Jesliby zaś badać inne tkanki – na przykład skórę czy włosy – to potencjalnie można by dojść do wniosku, że gwałtu dokonała... kobieta, bo nie znaleziono by chromosomu Y.

A jak powstaje kobieta XY?

– Zdarza się, że w plemniku znajduje się chromosom Y, z którego wypadł gen SRY. Gdy taki plemnik zapłodni komórkę jajową, powstaje kobieta z męskimi chromosomami.

Jak wygląda?

– Jak zwykła kobieta. Że coś jest nie tak, dowiaduje się, gdy nie zaczyna miesiączkować. Jeśli lekarz skieruje ją na badania genetyczne, sprawa się wyjaśni. Zdarza się też, że kobieta rodzi się, mimo że ma chromosom Y ze sprawnym genem SRY. Często ma wtedy jądra.

Jak to możliwe?

– Gen SRY włączył się w określonym czasie. Doprowadził do wykształcenia się jąder, które zaczęły produkować testosteron, ale z jakichś powodów organizm okazał się głuchy na działanie tego hormonu. Uszkodzone mogły być receptory odpowiedzialne za jego wiązanie.

Proces kształtowania się chłopca nie może być zakończony. Powstaje więc dziewczynka. Jądra

ma zwykle w jamie brzusznej. Usuwa się je operacyjnie. Oczywiście taka osoba jest bezpłodna.

W wydanej w latach 70. XX wieku książce pod tytułem „Agresywni przestępcy” jest cały rozdział poświęcony tak zwanym supermężczynom. To osoby, które wskutek zaburzeń genetycznych mają trzy chromosomy płci – jeden żeński X i dwa męskie YY.

– To przestarzała hipoteza, że tacy mężczyźni mają tendencje przestępcze. Istnieje jedna praca na ten temat, ale płynących z niej wniosków nigdy nie potwierdzono.

A co wiadomo o takich mężczyznach na pewno?

– Są płodni, choć nie wszyscy. Są też bardzo wysocy. Niektórzy mogą mieć niższy iloraz

inteligencji. Na szczęście na chromosomie Y jest tak mało genów, że to specjalnie nie zaburza rozwoju.

Skoro możliwa jest kombinacja XYY, to pewnie i XXY.

– Tak. I to już powoduje duże nieprawidłowości. To się nazywa zespołem Klinefeltera. Podstawowa rola chromosomu Y, nawet w obecności więcej niż jednego chromosomu X, polega na powodowaniu wykształcania się jąder i rozwoju męskich cech płciowych. Tak więc posiadacze takich chromosomów to chłopcy. Jednak dwa chromosomy X powodują nieprawidłowy rozwój jąder i zmniejszenie poziomu hormonu męskiego – testosteronu. Mężczyźni z zespołem Klinefeltera są zwykle wyżsi i słabiej umięśnieni. Często mają

kobieco zaokrągloną sylwetkę – zwłaszcza biodra. U niektórych nadmiernie rozwijają się piersi. Dotknięci zespołem Klinefeltera są też zwykle bezpłodni – ich jądra nie wytwarzają plemników.

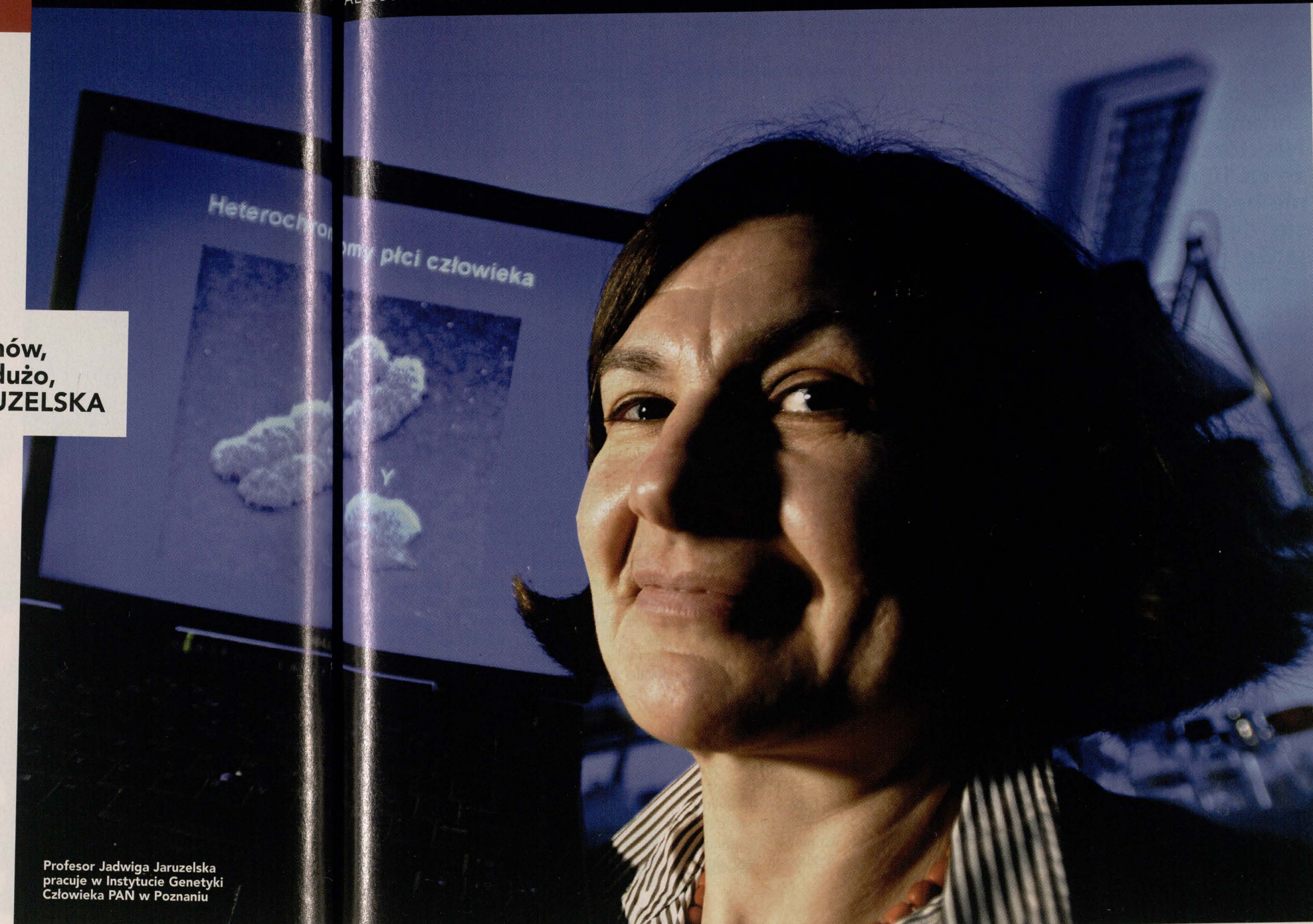
Jak często zdarzają się takie anomalie w chromosomach płci?

– Zależy od zaburzenia – zespół Klinefeltera to jeden przypadek na 500 urodzeń chłopców, ale na przykład mężczyźni o odwróconej płci XX zdarzają się raz na 20 tysięcy urodzeń.

Wygląda więc na to, że mieć za dużo i za mało w genomie nie jest dobrze.

– Tak, ale powielenie X jest jednak gorsze niż powielenie Y. On jest bardziej złożoną strukturą i jest odpowiedzialny za znacznie więcej funkcji. Na chromosomie X jest ponad 200 miejsc,

Profesor Jadwiga Jaruzelska pracuje w Instytucie Genetyki Człowieka PAN w Poznaniu



Fot. BOGDAN KRZEL

Ja się zupełnie nie martwię o męski chromosom Y. Niektórzy mówią, że za 10 milionów lat go nie będzie, tak szybko się degeneruje. Być może, ale to nie znaczy, że nie będzie męskiej płci. Natura wymyśli wyjście awaryjne

Czy chromosom Y zawsze był taki mikry? Jak duży był, kiedy powstał?

– Na chromosomie X jest około 1500–3000 genów. Wobec tego na pierwotnym chromosomie Y było na początku tyle samo. Z tych 1500 genów przez około 300 milionów lat zostało tylko kilkadziesiąt. Y się zmniejsza.

Czy była jakaś kolejność, w której geny były eliminowane? Czego najpierw Y postanowił się pozbyć?

– Na początku nastąpiło odwrócenie – inwersja dużej części tego pierwotnego chromosomu Y, który w tym momencie był jeszcze prawie X. W ten sposób pozbawił się możliwości wymiany genów z X ze swojej pary. W odwróconym kawałku zaczęły się gromadzić kolejne mutacje, kolejne geny ulegały degeneracji i przestawały być aktywne. Potem nastąpiła kolejna inwersja dalszego odcinka Y. I dalsze skrócenie.

Dlaczego następowały te odwrócenia?

– Trudno powiedzieć. Faktem jest, że w ich efekcie chromosom Y przestał być podobny do X i w zasadzie nie wymienia z nim genów. Przez to nie może poprawiać swoich usterek. Wszystkie zmiany się w nim akumulują. Reszta chromosomów przez rekombinację wraca do punktu wyjścia. Naprawia się.

Y się psuje?

– Jak się porówna wielkość Y, jaką miał wyjściowo, z tą, jaką ma dzisiaj, to oczywiście, trochę go zniknęło. Ale trudno powiedzieć, jaki to jest kierunek. Na tym chromosomie zachodzi ciekawe zjawisko, które przeciwdziała degeneracji i utrzymuje ewolucyjnie sens jego istnienia. To jest gromadzenie genów odpowiedzialnych za płodność. Na przykład pewne geny, które są odpowiedzialne za rozwój plemników, uległy na Y powieleniu. Jest cała grupa genów na chromosomie Y, które działają tylko w tkance jądra, czyli mają tylko funkcje związane z płcią i występują w bardzo wielu kopiach. Wydaje się, że to ich powielanie, gromadzenie na Y zatrzymuje degenerację tego chromosomu.

Do jakiego momentu może zdegenerować się chromosom Y, żeby w ogóle jeszcze istnieć?

– Do utraty genu SRY. To się już stało u dwóch gatunków gryzoni. Na przykład u takiego ślepego (elobius) w ogóle nie ma genu SRY. I nie ma chromosomu Y.

Jak to nie ma SRY? Został gdzieś przeniesiony, na inny chromosom?

– Nie. Znikł. Prawdopodobnie u niego inny gen przejął funkcję determinacji płci. Funkcja jako taka nie zniknęła.

Czy u ludzi też może się to zdarzyć?

– U ludzi zdarzają się rodzinne przypadki mutacji genu SRY. Mężczyzna ma niefunkcyjny SRY, a jednak jest mężczyzną, i to w dodatku płodnym. A jego córka ma tak zwaną odwróconą płć, genetycznie jest XY. Prawdopodobnie u tego mężczyzny inny gen przejął funkcję SRY. Dlatego ja się zupełnie o ten gen nie martwię. O chromosom Y tym bardziej. Niektórzy mówią, że za 10 milionów lat go nie będzie, tak szybko się degeneruje. Być może, ale to nie znaczy, że nie będzie męskiej płci. Genom ludzki jest dość plastyczny. Natura wymyśli wyjście awaryjne. Inny gen przejmie pewnie funkcje przełącznika płci.

Czy zanik chromosomu Y i przeniesienie genu SRY na inny chromosom może spowodować, że powstanie inny gatunek człowieka?

– Mogłaby to spowodować jakąkolwiek mutacja, która utrudniłaby uzyskanie potomstwa z populacją wyjściową. Od tego momentu drogi każdej z nich się rozejdą.

ROZMAWIAŁA OLGA WOŹNIAK

Wszystkich, którzy chcieliby otrzymywać informacje na temat kolejnych spotkań w ramach Kawiarni Naukowej, proszę o zgłoszenie mailowe na adres olga.wozniak@przekroj.pl

WALENTYNKOWY KONKURS „PRZEKROJU”



GŁÓWNA NAGRODA

Życzenia dla Walentynki lub Walentego

Ułóż walentynkowe życzenia, wyślij je do nas i wygraj fantastyczne nagrody.

Wszystkie życzenia opublikujemy na stronach internetowych „Przekroju”.

Najbardziej oryginalne zamieścimy w 7. numerze „Przekroju” (16 lutego).

Autorom życzeń, które najbardziej nas poruszają, przyznamy 30 voucherów dla dwojga na przelot liniami Germanwings w dwie strony.



Autorowi Walentynkowego SMS-a Roku podarujemy samochód Citroën C3.

Wyślij SMS-a o treści: PRK.W.treść życzeń pod numer 72070 (2 zł netto, 2,44 zł brutto), np. PRK.W.Kocham Cię!... SMS nie może przekroczyć 160 znaków.

Na SMS-y czekamy do 10 lutego 2006 r.

WYGRAJ WSPANIAŁE NAGRODY

Osoby biorące udział w konkursie biorą pełną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia majątkowych praw autorskich do utworów rozpowszechnianych przez Edipresse w ramach konkursu. Regulamin konkursu dostępny w siedzibie Edipresse Polska SA.

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię i nazwisko, adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego, będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Edipresse Polska SA z siedzibą w Warszawie przy ul. Wiejskiej 19, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również żądania zaprzestania przetwarzania danych. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu do wglądu w siedzibie organizatora.

PH. GETTY/EPM

PRZEKROJ

Kawiarnia Naukowa Przekrój Nauki zaprasza na spotkanie

CZAS: 20 lutego godz. 18.00

MIEJSCE: Traffic Club przy ul. Brackiej 25 w Warszawie (III piętro)



TEMAT:

PŁĆ – FANABERIA CZY KONIECZNOŚĆ?

- Kiedy powstała płć i jak radzą sobie stworzenia, które jej nie mają?
- Czy gdyby nie było płci, powstałby Homo sapiens?
- Co ewolucja zrobi z mężczyznami?

Dyskusję poprowadzą:

prof. Jadwiga Jaruzelska, genetyk z PAN, Poznań
prof. Jerzy Dzik, paleontolog z PAN, Warszawa



Jeżeli kiedyś na twojej drodze stanie pchła czy pluskwa – popatrz na nią z szacunkiem. Swym płciowym wyposażeniem i rytuałami seksualnymi te małe stworzonka byłyby w stanie zawstydzić nawet markiza de Sade

To penis, którym posługuje się samiec pchły. Stosunek seksualny pcheł może trwać od jednej do nawet dziewięciu godzin.

Penis pluskwy. W czasie stosunku pan pluskwa nie jest zbyt delikatny – przebija odwłok pani pluskwy. Nazywa się to zapłodnieniem traumatycznym.



Przyrodzenie wszy. Zwykle schowane w odwłoku podczas stosunku powiększa się i wydłuża. Składa się z pęcherzyka z nasieniem i prącia. Wzdłuż niego podczas zapłodnienia transportowana jest sperma.



Sztywne kolce znajdujące się na szczycie prącia wołka zbożowego nie służą niczemu przyjemnemu. Przynajmniej dla samiczek. Bolesnie uszkadzają one ich drogi płciowe. To niezbyt przyjemne rozwiązanie ma zniechęcić samice do seksu z innymi partnerami – stosunek z więcej niż jednym samcem doprowadza je do śmierci.

Penis trutnia pszczoły. Zapłodnienie wygląda tak: trutnie latają dookoła królowej, która wzbija się coraz wyżej w powietrze. Zapładniają ją kolejno, jednak po akcji tracą swe przyrodzenie i giną.

Haczyki widoczne na penisie ważki tężnicy wytwornej potrafią działać jak łopatkę, wyrzucając z dróg rodnych samicy nasienie innego samca.



SEKS MALUTKI



TYŁKO W VIVIE! WIELKA LOTERIA URODZINOWA

VIVA! CASINO

SETKI
EKSKLUZYWNYCH
NAGRÓD



TERAZ GRAM
Z VIVA!
Borys Szyc



KUP VIVE!
Z KARTĄ
I WYGRYWAJ!

Fot. SPURST NEWS (6)

W DZIĘK STARYCH DŹWIĘKÓW

Nowa filmowa biografia Casha pokazuje dwie rzeczy.

Ze **odtworzyć na ekranie historię muzyki pop to trudniejsza sztuka, niż zrobić film science fiction.**

I że opłaca się próbować

Cztery miesiące prób z producentem muzyki do filmu T-Bone Burnettem mogły nie wystarczyć, gdyby nie to, że Joaquina Phoenixa po prostu udało się zmusić do śpiewania o oktawę niżej, niż pozwalały mu jego naturalne predyspozycje. A bez tego nie brzmiałby jak Johnny Cash. Nie mógłby więc dobrze zaśpiewać 26 piosenek słynnego, zmarłego przed dwoma laty gwiazdora. I nie czekałby teraz na Oscara z nominacją w kategorii Najlepszy Aktor.

Phoenix musiał hity Casha zaśpiewać tak, by robiły wrażenie i na tych, którzy w kinie na filmie „Spacer po linie” usłyszą je po raz pierwszy, i na tych, którzy dobrze znają oryginały. Ba, jeszcze zagrać na gitarze, chociaż wcześniej się tego nie uczył. Filmowcy zdają sobie dziś sprawę z tego, że aktor, który w filmie tylko otwiera usta do granych z taśm przebojów i udaje, nic nie osiągnie. Żeby pokazać historię muzyki na ekranie, trzeba ją nagrać od nowa – ale tak, by brzmiała jak zarejestrowana kiedyś.

PRZED CASHEM BYŁ RAY

W „Spacerze po linie” problem sięgał głęboko – tu pojawili się także inni legendarni muzycy: Elvis Presley, Jerry Lee Lewis, Carl Perkins, wreszcie Waylon Jennings, przyjaciel Casha, którego zagrał jego syn Shooter, rów-

nież muzyk. Muzycznie jednak większość sprowadzała się do epizodów.

Najtrudniejsze aktorskie zadanie mieli Reese Witherspoon (jako żona Casha, piosenkarka June Carter) i właśnie Joaquin. Tego ostatniego zdążył jednak za życia wybrać i zaprosić na obiad sam Cash. Sytuacja była tu podobna jak przy hicie „Ray” sprzed roku. Aktora do roli samego siebie (Jamie Foxx) też zdążył – też niedługo przed śmiercią – zaakceptować bohater filmu Ray Charles.

– Chcesz mnie zagrać? Udowodnij to! – miał powiedzieć Ray Charles, siadając do fortepianu. Foxx miał tu przewagę na Phoenixem – gdy decydował się na rolę, miał już za sobą pierwsze poważne doświadczenia muzyczne. To, co zrobił na wizji i na fonii, odśpiewując niektóre, wręcz święte dla Amerykanów, hity Charlesa (i grając przy tym na fortepianie), ojca rhythm’n’bluesa, nie tylko przyniosło mu Oscara, ale doprowadziło do tego, że dziś jego solowy album „Unpredictable” nie schodzi z czołówki listy bestsellerów „Billboardu”. Z kogoś, kto był dotąd przede wszystkim komikiem, aktorem, zrobiło to przede wszystkim wokalistę.

Curt Sobel, producent ścieżki dźwiękowej „Raya”, spec od edycji muzyki do filmów (pracował też przy „Marzycielu” z Janem A.P. Kaczmarkiem) nagrywał na wideo każde spotkanie Charles-Foxx, żeby uczyć tego ostatniego mimiki i pokazywać drobne niuanse w sposobie gry na fortepianie. Kolejny projekt Curta Sobela, który popisał się przy biografii Charlesa, to film o Beethovenie z Edem Harrisem w roli głównej. Producent

FOT. CINEP

FOT. DANN POUSS/AP

FOT. UNIVERSAL

JAMIE FOXX DO ROLI W FILMIE „RAY” OPANOWAŁ DO PERFEKCJI GRĘ NA FORTIEPIANIE, SZKOLIŁ SIĘ WOKALNIE, ALE NIE TYLKO. NAUCZYŁ SIĘ TEŻ ALFABETU BRAILLE’A

tym samym wyraźnie idzie w ślady T-Bone Burnetta – mistrza w odtwarzaniu starych dźwięków na ekranie. Ten ostatni przed filmem o Cashu zaliczył już jeden spektakularny sukces.

SZALEŃSTWO PRZYSZŁO Z GÓR

Sukces Burnetta nosił tytuł „Bracie, gdzie jesteś?” – to zwiadowana komedia braci Coen z George’em Clooneyem w roli głównej, luźno osnuta na wątkach z „Odysei” Homera, tyle że rozgrywająca się na amerykańskim Południu w czasach lokalnej sławy muzyki hillybilly, mountain music i innych form fol-

„Przekrój”
wydaje
polecenia
kulturalne

plyt ze ścieżką dźwiękową – to jeden z tych rzadkich przypadków, gdy ścieżka odniosła większy sukces niż sam film. Ba, płyta zdobyła Grammy w kategorii Najlepszy Album, chociaż miała za konkurentów grupę U2. Ponadto otrzymała cztery Grammy w pomniejszych kategoriach. Pierwsze miejsce na liście „Billboardu” zajmowała jeszcze wiele miesięcy po tym, jak film zszedł z ekranu.

Tu oczywiście nie śpiewał George Clooney – owszem, bracia Coen nagrali jego głos, ale do filmu nie zachowali. – Nie mieliśmy problemu z namówieniem go do śpiewania, tyle że nie słyszeliśmy w tym śpiewu – mówił Joel Coen. Śpiewali więc inni, w tym legendarny bluegrassowy wokalista Dan Tyminski. Ten ostrzegł swoją żonę Elise, gdy miała pierwszy raz zobaczyć Clooneya śpiewającego głosem jej męża. – Twój głos dobiegający z ciała George’a Clooneya? – zdziwiła się żona. – Dan, przecież to moja najskrytsza fantazja!

Przeboje z „Bracie, gdzie jesteś?” nagrywali też: Emmylou Harris, John Hartford, The Whites. A nad wszystkim czuwał Burnett – kompozytor, niegdyś współpracownik Boba Dylana, potem Elvisa Costello i producent nagrań Los Lobos. Pod własnym imieniem – jako Henry Burnett – skomponował też kilka piosenek do „Wzgórza nadziei”. To maniak zgłębiający stare sztuczki nagraniowe, po to by muzyka nagrana do filmu brzmiała wiarygodnie i naturalnie. W „Bracie, gdzie jesteś?” zastosował technikę zwaną Decca, stosowaną w prymitywnych studiach, polegającą na wykorzystaniu ustawionych w trójkąt mikrofonów mających oddawać przestrzeń pomieszczenia.

przy czym nikt nie będzie miał do nas pretensji, że to nie gra sam Mozart. Pokazywanie w kinie aktorów wcielających się w ikony muzyki pop budzi już uzasadniony sprzeciw. Gdy w 1991 roku Oliver Stone nakręcił „The Doors” z Valem Kilmerem w roli Jima Morrisona, fani rocka nie zostawili na filmie suchej nitki. Po pierwsze, potraktował legendę The Doors dość powierzchownie, sprowadzając ją do alkoholu, narkotyków i skandali. – Mogę to podsumować w pięć sekund: jestem pijany, jestem nikim, jestem pijany, jestem sławny, jestem pijany, jestem martwy – dowcipkował komik Denis Leary po jego obejrzeniu. Po drugie, muzyka, którą słyszeliśmy, składała się w większości z odtworzonych z taśm starych utworów, a gdy śpiewał Val Kilmer (Stone pozwolił mu na to w kilku momentach), coś od razu zgrzytało. Podobny kompilacyjny charakter miała ścieżka dźwiękowa do zeszłorocznego polskiego „Skazanego na bluesa” – równie śmiała, choć też nie do końca udana próba mierzenia się z legendą rocka, tym razem lokalną, Ryszardem Riedlem.

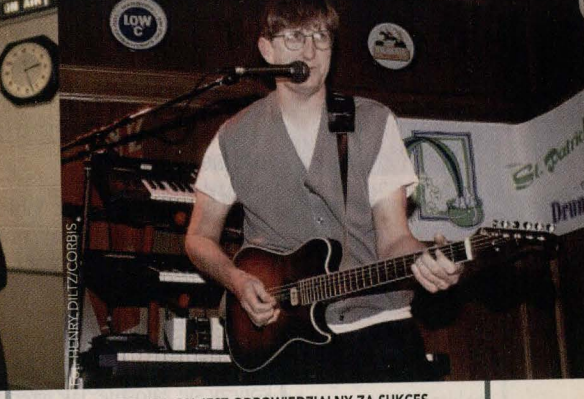
Rzecz jest więc niezmiernie trudna, w sposób naturalny wzbudza kontrowersje, ale ostatnie lata pokazały, jak wiele do wygrania mają ci, którzy zaryzykują. Mogą wywołać modę na niebywałą skalę. Po sukcesie „Bracie, gdzie jesteś?” mieliśmy specjalny koncert muzycznych bohaterów filmu w Nashville, stolicy muzyki country, film dokumentalny poświęcony fenomenowi mountain music, a wreszcie trzy kolejne albumy nagrane pod kierunkiem Burnetta i dwie trasy koncertowe. Po „Rayu” karierę robi Foxx. A Joaquin? Ten ode-



RAY CHARLES W RZECZYWISTOŚCI. ZMARŁ W CZERWCU 2004 ROKU. WIEDZIAŁ JUŻ, ŻE POWSTAJE FILM O NIM. ZDĄŻYŁ JESZCZE PRZYGOTOWAĆ AKTORA DO SVOJEJ ROLI



CHŁOPCY Z MOKRADEŁ, ODPOWIEDNIK JEDNEJ Z ANONIMOWYCH GRUP MOUNTAIN MUSIC, POKAZANI W „BRACIE, GDZIE JESTEŚ?”. GŁOS CLOONEYA (DRUGI Z PRAWIEJ) WYCIEŁO



T-BONE BURNETT – TO ON JEST ODPOWIEDZIALNY ZA SUKCES „BRACIE, GDZIE JESTEŚ?”, A TERAZ CZUWAŁ NAD MUZYKĄ CASHA ODTWARZANĄ W „SPACERZE PO LINIE”

ku. Pomysł był szaleńczy, ale doprowadził do rewolucji w myśleniu o filmach muzycznych. Rzecz bowiem oznaczała więcej niż tylko wybranie kilku utworów z dobrze znanego archiwum wielkiego muzyka – Burnett jeździł tygodniami wspólnie z artystką country Gillian Welch, poszukując na prowincji odpowiednich tematów, starych piosenek z lat 20. i 30., które często nie przetrwały na żadnych nośnikach. I dzięki tym poszukiwaniom odgrzebali starą pieśń folkową z Appalachów „I Am A Man Of Constant Sorrow” i uczynili z niej motyw przewodni filmu. Nie wiedzieli jeszcze, że w ten sposób znaleźli jeden z hitów roku w amerykańskiej rozrywce.

W ciągu kilku miesięcy od premiery umiarkowana popularność filmu sprzedała się pięć milionów

Teraz, w czasie pracy nad „Spacerem po linie”, też zwracał uwagę na niuanse. – Gitary robiono wtedy z materiałów, które Rosjanie wykorzystywali do produkcji paliwa rakietowego. Miały bardzo lekkie wykończenie, brzmiały więc inaczej niż te, których używa się dzisiaj – tłumaczy Burnett konieczność sięgnięcia po instrumenty z tamtych czasów. Do tego doszły wzmacniacze i gitary z epoki – cały sprzęt sprzed ponad 40 lat.

OD MOZARTA DO MORRISONA

W porównaniu z „Rayem” czy „Spacerem po linie” nawet największe filmy o muzykach – jak „Amadeusz” – były paradoksalnie wyzwaniem czysto aktorskim, a nie muzycznym. Mozarta zawsze można zgodzić z zasadami sztuki nagrać od nowa,

brał już Złoty Glob za swoją rolę, a amerykańska prasa wróży mu również Oscara – gdyby go dostał, byłby rok po roku drugim aktorem nagrodzonym za podwójny trud wcielenia się na wizji i na fonii w legendę świata muzyki. Tymczasem zrobił pierwszy krok w – być może – karierze muzycznej. Śladem Casha 4 stycznia zawędrował do więzienia Folsom Prison, by zagrać tam koncert z towarzyszeniem Shootera Jenkinsa. Więźniowie powitali go oczywiście jako oficjalne wcielenie Casha. „All you need is Cash” – podsumowała dwuznacznie jedna z gazet. I rzeczywiście, wszystko przebiegało zgodnie z tą dwuznacznością: chodzi w tym wszystkim o duże pieniądze, ale nie tylko.

BARTEK CHACIŃSKI

„SPACER PO LINIE”, REŻ. JAMES MANGOLD, PREMIERA 17.02

mistrzostwo
na piątkę
warto
ujrzeć
kiepskie
dno



TO MA BYĆ REKLAMA
FIRMA RENAULT JESZCZE
DZIS POWINNA WYSTĄPIĆ
O ODSKODOWANIE

ŁEPKOWSKA MIAŁA RACJĘ

●●●○○○

Może i jest tu jakaś fizjologia, ale chemii na pewno nie

No to nam wreszcie pokazali: przede wszystkim, że nie mają poczucia humoru. Dzięki temu „Ja wam pokażę!” ma szansę przejść do historii kina jako pierwsza w dziejach zupełnie nieśmieszna komedia romantyczna. Niby są tu sceny pretendujące do miana zabawnych, ale zwykle kończą się żałośnie, jak wtedy choćby, gdy Judyta (Grażyna Wolszczak), wychodząc na taras, zatrząskuje drzwiami i biegnie po deszczu w body, samonośnych rajstopach i butach na obcasie zwieńczonych pompkami. Doprawdy, litość i trwoga, a nie ubaw po pachy!

Nieco weselej robi się dopiero wtedy, gdy na ekranie pojawiają się Mieczysław Grąbka w roli naczelnego i rodzice Judyty, już po raz drugi (po „Nigdy w życiu!”) fe-

nomenalnie zagrani przez Krzysztofa Kowalewskiego i Martę Lipińską. To zaledwie kilka epizodów, ale może i dobrze, bo gdyby było ich więcej, Kowalewski i Lipińska z pewnością „ukradliby” film Grażynie Wolszczak i Pawłowi Delągowi (Adam), parze zupełnie nie do pary. Nawet jeśli przez erotyczne sceny starają się nas przekonać, że jest między nimi jakaś biologia i fizjologia, to chemii nie ma, niestety, zupełnie.

Ów erotyzm różni zresztą „Ja wam pokażę!” od folderowych, asekualnych światów „Nigdy w życiu!” i „Tylko mnie Kochaj”. Tu ma być zdecydowanie bardziej życiowo, swojsko, prząśnie i zwyczajnie. Ale jak poskrobać trochę ten brud, okaże się, że pod spodem jest wciąż ta sama gładkość, ten sam banał, lukier i ten sam ekliwy, infantylny język mówienia o miłości – wszak to męska rzecz być daleko, a kobiety wiernie czekać. On ma swój mus, męski blues (z nagłą chwyta swój stary plecak i oświadcza, że rusza na półroczne stypendium), a ona jest taka uroczo roztrzępana – a to drzwi zatrząśnie, a to kotlet przypali, a to koła zapasowego zapomni. Jak on pojedzie w siną dal, ona zęby zaciśnie i przetrwa, ale nocą zawyje do męskiego ramienia.

Ot, wieczny student i wieczna dziewczynka w towarzystwie innych papierowych figur: zbuntowanej córki, wrednej przyjaciółki, groteskowego eksmęża czy szumiętego nastolatka, który notabene nie wiadomo skąd się w filmie w ogóle wziął

(jego młodzieżowy slang pochodzi sprzed jakichś pięciu sezonów). Takich strzelb, które nie wypalają, jest tu zresztą cała masa. Najwyraźniej twórcy zaabsorbowani byli innymi sprawami, choćby umieszczaniem w filmie reklam żarcia dla kotów, jogurtów, cudownych tabletek, samochodów, czasopism, rozgłośni radiowej i portalu internetowego, nie mówiąc już o „trendy i cool” środkach antykoncepcyjnych (długa przemowa nowoczesnej córeczki). A może troska o product placement była głęboko uzasadniona, wszak to w dużym stopniu dzięki scenom „sponsorowanym” udało się wydłużyć film do niemal dwóch godzin, choć materiału wystarczyłoby na krótki metraż. Zdumiewające jest zresztą, że w projekcie maczał pióro znany i szanowany autor Cezary Harasimowicz. Jedynym alibi dla faktu, że podpisał się (wraz z Katarzyną Grocholą) pod scenariuszem tak marnym jak ten, jest przysłowie mówiące, że z pustego i Salomon nie naleje. A co dopiero jakiś tam scenarzysta!

Jest jednak osoba, której wizyta w kinie sprawi najwyższą rozkosz – Ilona Łepkowska. To ona dawno temu powiedziała, że „Ja wam pokażę!” jest książką całkowicie niefilmową. Harasimowicz i Grochola zrobili wszystko, żeby nam pokazać, że miała rację.

MAŁGORZATA SADOWSKA

„JA WAM POKAŻĘ!”, REŻ. DENIS DELIC,
POLSKA 2006, FORUM FILM, PREMIERA 10 LUTEGO

PLASTIKOWE ŁZY

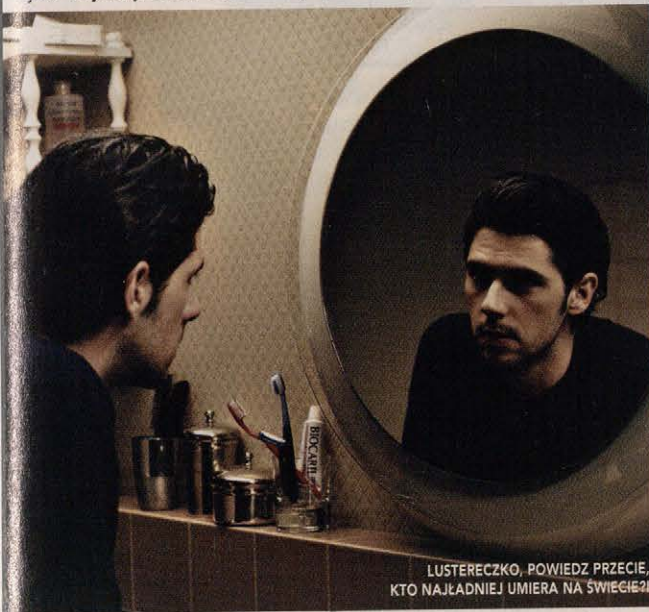
●●●○○○

Ozon zszywa to, co popruł

Po raz pierwszy w swojej karierze François Ozon nakręcił film o mężczyźnie. I po raz pierwszy w swojej karierze zrobił film słaby. Doprawdy trudno uwierzyć, że ten sam człowiek stworzył błyskotliwe „Osiem kobiet”, przewrotny „Basen” czy porażające „5x2”. Największym rozczarowaniem dla fanów Ozona – do których się zaliczam! – jest chyba jednak to, że reży-

szła jednak z tego żadna przewrotna, zaskakująca i odkrywczą gra kiczem, lecz kicz w czystej postaci. Podejrzewam, że wynika to z faktu, że swoje męskie medium (w przeciwieństwie do kobiecych) traktuje nadzwyczaj serio.

Kiczowaty jest więc Romain, facet o urodzie à la Olivier Janiak, kiczowate są jego dylematy, jego łzy i jego malowniczo skrzycone w łazience, niby to chore, lecz wciąż ponętne, ciało. Być może dlatego, że dotąd, próbując niebezpiecznych związków między konwencjami, Ozon miał nam coś do powiedzenia o prawdziwej naturze (kulturowej oczywiście!) miłości, rodziny, wszelkich relacji czy



LUSTERECZKO, POWIEDZ PRZECIE,
KTO NAJKADNIEJ UMIERA NA ŚWIECIE!

ser, który był arcy mistrzem w rozkręcaniu, pruci i nicowaniu filmowych i życiowych schematów, tym razem sam je ochoczo spawa, zszywa i skręca.

Efekt? Sentymalna historyjka o umieraniu młodego paryskiego fotografa (Melvil Poupaud), który w obliczu postępującego raka przeżywa wstrząs i bunt, by wreszcie pogodzony ze śmiercią malowniczo odejść o zachodzie słońca. Zanim jednak ostatnie promienie oraz pierwsze fale przyływu obmyją jego wychudłe ciało, Romain zdąży jeszcze pokochać dzieci, a jedno nawet spłodzić, choć jest gejem.

Ozon posłużył się konwencją melodramatu, w którą z rozmysłem wrzucił mężczyznę, nie wy-

wreszcie samego kina. Tym razem o śmierci nie ma do powiedzenia kompletnie nic; o życiu zresztą też nie, ani o mężczyźnach. Nieprzypadkowo więc najlepszą sceną w filmie jest ta z Jeanne Moreau, doskonałą aktorką i zarazem starzejącą się kobietą rzeczywiście mierzącą się z widmem nadchodzącego końca. Te pięć minut z Moreau mówi o umieraniu tak dużo, że cała reszta to tylko nieistotny czas, który pozostał do końca filmu.

MAŁGORZATA SADOWSKA

„CZAS, KTÓRY POZOSTAŁ”,
REŻ. FRANÇOIS OZON,
FRANCJA 2005, GUTEX FILM,
PREMIERA 10 LUTEGO

Wyróżnij się



www.aygo.pl

Wyróżnij się



www.aygo.pl

Wyróżnij się



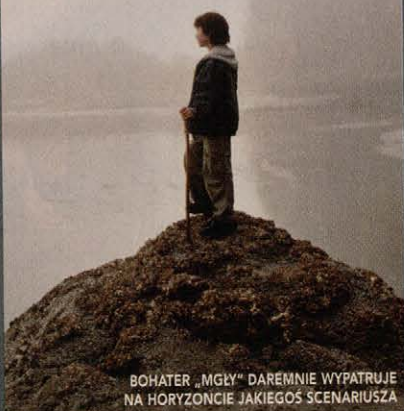
www.aygo.pl

WIĘŻ... DUCHOWA

●●●○○○

Nic nowego, ale można się wzruszyć

Najwyraźniej kino edukuje nawet filmowych bohaterów. Nie było kiedyś normą, by zdrowy mentalnie mężczyzna spotykał w wynajętym przez



BOHATER „MGŁY” DAREMNIE WYPATRUJE
NA HORYZONCIE JAKIEGOS SCENARIUSZA

PO TRUPACH BEZ CELU

●●●○○○

Twórcy remake'u „Mgły” mają mgliste pojęcie o robieniu filmów

Trudno nie zapamiętać tytułu: już od początku ma się wrażenie, że twórcy tak bardzo skupili się na produkowaniu ekranowej mgły, że ani na fabułę, ani na reżyserię i prowadzenie aktorów nie starczyło już czasu. Mgła zwiastuje tu, rzecz jasna, nieszczęście, ma niemal antropomorficzne możliwości (czytaj: bywa po ludzku złośliwa i mściwa), ale tragedia szybko wykroczy poza ziemski świat, co udowodnią setki błąkających się dusz i wędrujących trupów o wyraźnie niepokojowych zapędach.

Jeśli ktoś lubi piosenki, które już zna, będzie się zapewne tym filmem rozkoszował: nie dość, że jest to remake horroru Johna Carpentera sprzed 16 lat, to złożony niemal wyłącznie z klisz (samochód, który nie odpala we właściwym momencie, ręka kościotrupa odśladana przez morskie fale) i infantylnych dialogów („Jesteś seksowny, kiedy się wściekasz”). Nie ratuje go ani wątek romantyczny – Elizabeth (drewniana Maggie Grace) nieoczekiwanie powraca ze światowych wojaży do swojego chłopaka (równie „udana” rola Toma Wellinga) – ani tym bardziej to, że wśród producentów znalazł się też reżyser pierwowzoru John Carpenter. Przybyła za to kolejna pozycja na liście filmów absolutnie niepotrzebnych.

PAWEŁ FELIS

„MGŁA”, REŻ. RUPERT WAINWRIGHT,
KANADA/USA 2005, UIP, PREMIERA 10 LUTEGO



JAK NA DUCHA
REESE WITHERSPOON
(W ŚRODKU) JEST
BARDZO... NAMACALNA

siebie mieszkaniu kobietę, której nikt inny nie widzi. Czasy się jednak zmieniły, David (Mark Ruffalo) zapewne widział „Ducha” i rozmowy z istotą o mocno niepewnym ziemskim statusie nie dziwią go już tak bardzo. Choć coraz chętniej się upija z dno, wobec Elizabeth (Reese Witherspoon) znajduje całkiem sporo wyrozumiałości („Nie chciałem powiedzieć, że nie żyjesz – może po prostu jesteś... lekka?”), bo od początku wszystko skłania się w stronę romansu tych dwu samotnych i zagubionych w świecie... dusz. I jeszcze umoralniającej nauki, że nie warto w życiu tracić ani chwili, bo tuż po otrzymanym awansie i komplementach od dyrektora wszystko może bezpowrotnie przysnąć.

Ani „mądrości” tego filmu, ani pomysłu z duchem, ani gagi z wytrącanymi przez niewidzialne postaci szklanymi czy wreszcie aktorskie popisy pary głównych bohaterów (Witherspoon i Ruffalo powielają jedynie swoje najbardziej schematyczne role) nie są tutaj oczywiście niczym nowym. Mimo to sentymalnie-ciepłe „Jak w niebie” ogląda się bez bólu, a niektórzy mogą nawet autentycznie się wzruszyć (zdanie: „Kiedy nie ma ciebie blisko, to jakbym nie istniała”, ma tutaj znaczenie jak najbardziej dosłowne). Od typowych komedii romantycznych film Watersa dzieli jednak przepaść.

PAWEŁ FELIS

„JAK W NIEBIE”, REŻ. MARK WATERS,
USA 2005, UIP, PREMIERA 10 LUTEGO

**Adam do Judyty, patrząc na nią rozplamionym wzrokiem:
– Judka, moja wiertarka chce wrócić do twojej lodówki!**



Fot. HOPPER MANAGEMENT

NAJGORĘTSI W EUROPIE

Esbjörn Svensson Trio
– jazzowi mistrzowie Europy
– w trasie po Polsce

W ojczyźnie grupy ABBA mają status gwiazdy pop, ich utwory trafiają na listy przebojów, a teledyski krążą na MTV. Do tego przez 13 lat działalności zgarnęli w Europie wszystkie możliwe wyróżnienia dla zespołu jazzowego. Teraz Esbjörn Svensson Trio stara się podbić kraj Milesa Davisa, gdzie prestiżowy magazyn „Downbeat” okrzyknął ich już „najgorętszą grupą jazzową w Europie”. Podczas swojej trasy promującej ostatni krążek „Viaticum” Szwedzi odwiedzają też kraj Krzysztofa Komedy.

JACEK SKOLIMOWSKI: Wróciście z drugiej trasy po Stanach. Udało wam się tym razem podbić ojczyznę jazzu?

ESBJÖRN SVENSSON: (śmiech) Powiedzmy, że robimy krok po kroku i jest coraz lepiej. Teraz graliśmy we wszystkich dużych miastach, w tym w Nowym Jorku, Chicago, Waszyngtonie, San Francisco, Filadelfii, i mieliśmy prawie tak dobre przyjęcie jak u siebie. Przyszło więcej publiczności, sprzedaliśmy dużo płyt, prasa poświęcała nam sporo miejsca. Mamy dobrą markę w Europie, więc nie startujemy od zera, ale i tak przed nami jeszcze długa i ciężka praca.

Spytałem o ten podbój Stanów, bo trzy lata temu powiedziałeś: „Teraz Europa będzie najlepszym miejscem dla jazzu. Czas już nadszedł, zrobimy coś zupełnie nowego”. Podtrzymujesz te słowa?

– Prawdę mówiąc, już ich nie pamiętam (śmiech)... Nie mam nic przeciwko amerykańskiemu jazzowi. Tam się ta muzyka narodziła. Tak jak wielu muzyków w Europie dorastałem, słuchając Charliego Parkera, Dizyego Gillespiego, Theloniusa Monka, i próbowałem naśladować grę Chicka Corei i Herbiego Hancocka. Myślę, że dobrze opanowałem ich język, i zdecydowałem się posłużyć nim po swojemu. Natomiast często odnoszę wrażenie, że Amerykanie wciąż starają się grać jak 40 lat temu. Niby nie ma nic złego w tradycyjnej grze Wyntona Marsalisa, ale Europejczycy są bardziej otwarci, mają

więcej pomysłów na rozwój gatunku. Nam w EST o wiele bliżej do muzyki klasycznej, folkloru – i dopiero do tego dodajemy jazz. Można przecież zagrać Bacha w stylu barokowym, ale można go uwspółcześnić – podobnie my traktujemy jazz.

Czemu uciekasz od nazwy „jazz”, opisujesz EST jako „zespół popowy, który gra jazz”, albo mówisz, że „bliżej wam do rockmanów niż jazzmanów”?

– Nie tyle uciekam, ile po prostu takie mam podejście. W świecie jazzu jest wiele wspaniałych indywidualności, ale mało zespołów, które cały czas ze sobą grają. Oczywiście trzeba jakoś przeżyć, więc każdy muzyk formuje nowe składy co tydzień albo co miesiąc. My jesteśmy inni – od 13 lat

gram z EST, a od 6 nie współpracuję z nikim innym. To sytuacja typowa w zespołach popowych, na których przecież też się wychowywaaliśmy. A co do rockmanów, to na scenie prezentujemy właśnie taką energię, zabieramy też swoich nagłośnieniowców, oświetleniowców i technicznych. Ale kiedy zaczynamy grać, wiadomo, że nie będzie piosenek popowych.

Nie wiem, czy wiesz, ale przez takie podejście do grania mówi się o was „Radiohead jazzu”? Odpowiada ci takie porównanie?

– Bardzo mi pochlebia. Radiohead są ogromnie progresywnym zespołem rockowym, a jeśli ktoś uważa, że odgrywamy podobną rolę w jazzie, to fantastycznie. Na pewno można znaleźć wiele podobieństw między nami, na przykład w łączeniu akustycznych instrumentów z elektroniką. Bardzo chciałbym zobaczyć, jak robią to na żywo, bo znam ich tylko z płyty. Mają znakomite melodie, których chyba w naszych kompozycjach też nie brakuje. Ale pewnie nie improwizują tak jak my (śmiech).

ROZMAWIAŁ JACEK SKOLIMOWSKI

ESBJÖRN SVENSSON TRIO – 11.02 POZNAŃ, BLUE NOTE, 12.02 WARSZAWA, FABRYKA TRZCINY (DWA KONCERTY: 17.00 I 19.30), 13.02 WROCŁAW, IMPART, 14.02 CHORZÓW, TEATR ROZRYWKI, 15.02 BIELSKO-BIAŁA, CENTRUM KULTURY

NEUROZY NA WALENTYNKI

Plastikowe piosenki o ofiarach seksualnej przemocy

Apatia, histeria, hipochondria, bulimia, anoreksja, nekrofilia... – śpiewa sobie jak zwykle bez troski o neurotycznych wianach Europejczyków François Cactus ze Stereo Total. Premierę najnowszego albumu „Do the Bambi” przypadkiem poprzedził głośny skandal wokół jej wystawy „When Love Turns to Poison” poświęconej przemocy seksual-



FRANÇOISE CACTUS W WALENTYNKOWEJ NEUROZIE

nej. Berlińska prasa skrytykowała ją za promowanie dziecięcej pornografii, czego dowodem była na przykład welniana lalka erotyczna 18-letniej Wollity. Ekstrawagancki duet, który tworzy od ponad 10 lat ze swoim partnerem Bretzelem Göringiem, szczyt z popkultury, wykorzystując rysunek kolorowych piersi jako swoje logo, umieszczając na okładce zdjęcie w negliżu na dywaniku z niedźwiedzia czy nagrywając covery „Joe le taxi” Vanessy Paradis i „Push It” Salt’n’Pepe. Swoim niewinnym głosem z elektryzującym francuskim akcentem François wypowiada do plastikowych melodii i rytmów Bretzela infantylne piosenki o miłości, pożądaniu i perwersjach. Resztę można znaleźć w jej książce „Neurozy na Walentynki”, której polska premiera przypadkiem zbiegła się z pierwszą trasą Stereo Total po Polsce. I z walentynkami. (JAS)

STEREO TOTAL – 14.02 KRAKÓW, RE, 15.02 POZNAŃ, KISIELICE, 16.02 KATOWICE, ELEKTRO KLUB, 17.02 WARSZAWA, CDQ, 18.02 GDAŃSK, ASP. WSPÓŁORGANIZATOR TRASY: GOETHE INSTITUT

EXTRA CLASSIC

Classic RMF

ROSYJSKIE KLIMATY

Jednych jego gra za chwyci, innych irytuje „wiecznie romantyczny” – bez względu na wykonywany repertuar – sposób interpretacji. Nie ma jednak nikogo, kto mówiąc o wiołonczeli, nie wymieniliby w końcu nazwiska Mischa Maisky. Najnowszy album wiołonczelisty „Vocalise. Russian Romances” nagrany został właśnie po to, by „wyspiewać” wplecioną w twórczość XIX-wiecznych rosyjskich kompozytorów nostalgię, sentymentalizm. Maisky nie ukrywa, że nigdy nie czuł się Rosjaninem. To, że urodził się w Związku Radzieckim, nazywa „wielką pomyłką Opatrzności”, ale rosyjską muzykę kocha szczerze, co zresztą słychać. „Skowronek” Michała Glinki (założyciela rosyjskiej szkoły narodowej), „Noc” Piotra Czajkowskiego, „Nimfa” Nikołaja Rimskiego-Korsakowa, tytułowa „Vocalise” Sergiusza Rachmaninowa i wiele innych kompozycji, które znalazły się na owej płycie, to wszystko przykłady rdzennie rosyjskiego charakteru melodyki. Wiołonczeliście towarzyszy na fortepianie – ale raczej w charakterze tła – Pavel Gililov.

JOWITA DZIEDZIC-GOLEC, RMF CLASSIC

„VOCALISE. RUSSIAN ROMANCES”, MISCHA MAISKY, PAVEL GILILOV, Deutsche Grammophon

Wyróżnij się



www.aygo.pl

DALSZY CIĄG PROGRAMU

•••••○

Wrocławscy eksperymentatorzy w dobrej formie



W WYPADKU PROGRAMU NIC NIE MOŻE BYĆ PROSTE, NAWET ZDJĘCIE ZESPOŁU

Programem jest jak z malarstwem abstrakcyjnym. Nigdy do końca nie będziecie pewni, czy obcuje się z arcydziełem, czy może ktoś robi was w konia. Chętnie skłaniam się ku pierwszej opcji, choć muszę przyznać, że mimo wielogodzinnego obcowania z „Autumn...” momentami czuję się wobec tej muzyki bezradny. Industrialne zgrzyty, awangardowe belkoty, jazzowe ozdobniki – wszystko to wije się, zamienia miejscami, pulsuje, żyje. Amorficzne kompozycje rozpalają się na cztery strony świata i łatwo zgubić się w tym labiryncie, łatwo stracić wątek. Ale kiedy już wydaje mi się, że zespół przestaje panować nad własną muzyką, jakimś cudem chaos zamienia się w matematyczny ład, a rozpasane pomysły grzecznie zbiegają się w punkcie kulminacyjnym. Co tym trudniejsze, że Program za nic ma granice pomiędzy muzycznymi gatunkami. Jazzowi zawdzięcza swobodę improwizacji oraz znakomitych gości z Mazollem na czele, scenie alternatywnej – otwartości na dziwaczne brzmienia, a metalowi zamilowanie do gitarowego ciężaru i grindcore’owych przyspieszeń. Choć w tych ostatnich więcej słychać Naked City i japońskich maniaków hałasu niż takiego Napalm Death. Trudny album, który cierpliwemu słuchaczowi może dać wiele radości. Miłośnicy muzycznych dróg na skróty połamią sobie na nim zęby.

JAROSŁAW SZUBRYCHT



Wyróżnij się

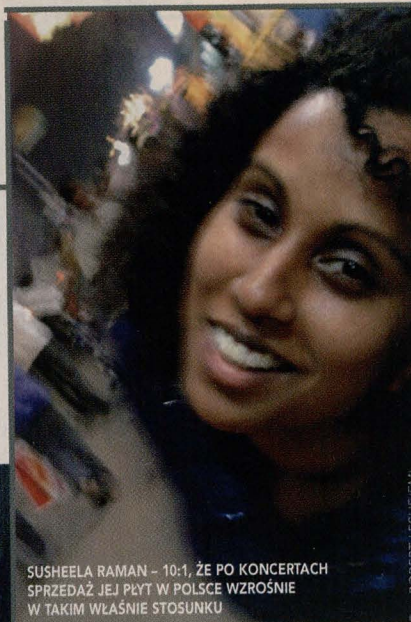


www.avqo.pl

Wyróżnij się



www.aygo.pl



SUSHEELA RAMAN – 10.1, ŻE PO KONCERTACH SPRZEDAŻ JEJ PŁYT W POLSCE WZROŚNIE W TAKIM WŁAŚNIE STOSUNKU

POP EGZOTYCZNY

Susheela Raman w Polsce, czyli dwie w jednej

Dwa lata temu słusznie ekscytowaliśmy się prestiżową nagrodą BBC Radio 3 Award For World Music dla naszej Kapeli ze Wsi Warszawa. Nieco wcześniej te same laury przypadły Susheeli Raman, 33-letniej córce tamilijskich imigrantów w Londynie. Ta światna wokalistka wróciła z Wielkiej Brytanii do Indii po naukę śpiewu, by potem podbić Zachód z mieszanym składem muzyków hinduskich, afrykańskich i europejskich. Jej kariera to typowy przykład siły współczesnego rynku muzyki świata. Dwa pierwsze albumy, „Love Trap” i „Salt Rain”, niosły odpowiadającą temu pojęciu mieszankę folkloru różnych krajów, z mnóstwem tradycyjnych melodii. Trzecia, zeszłoroczna „Music For Crocodiles”, to z kolei świetna pozycja dla tych, którym z muzyki etnicznej wystarczą egzotyczne naleciałości, a cenią przede wszystkim czar wyspiewywanej ciekawym głosem piosenki. Użycie tabli czy innych rdzennych instrumentów nie zmienia zachodniego szlifu płyty i jej przystępności. Jeśli uznać, że Norah Jones i jej siostra Anoushka Shankar mają krańcowo różne podejście do schedy po swoim ojcu, słynnym Ravim Shankarze, to Susheela Raman (z Shankarem niespokrewniona) ma właśnie osobowości ich obu w jednym ciele. Łączy świat współczesnej produkcji rozrywkowej oraz muzyki etnicznej i, o dziwo, wychodzi z tego z klasą.

(BACH)

SUSHEELA RAMAN – 10.02, 11.02 WARSZAWA, Fabryka Trzcin

Wyróżnij się



www.aygo.pl

OKLASKI NA WEJŚCIE

•••••○

Bo zawsze jest taki moment, że **ktos** zaklaszcze pierwszy...

Podobnie jak przed rokiem wychwalane Arcade Fire, tak teraz grupa Clap Your Hands Say Yeah (Klaszcz i Przytakuj) debiutuje właśnie w Europie jako długo oczekiwana sensacja zza oceanu. Ich album zdążył podbić Amerykę i do nas przyjeżdża już z etykietką sensacji. O tyle usprawiedliwiona, że dawno nikt tak świetnie nie udawał grupy Talking Heads z jej rytmicznym nerwem i szaleństwem. A już wokalista Alec Ounsworth wprost idealnie symuluje manierę Davida Byrne’a. Zresztą nawet gdy cichną tu wpływy Talking Heads, wciąż słychać echo lat 80. Problem w tym, że to nie jest program „Idol”, no i ludzie, którzy pamiętają lata 80., znają parę lepszych rzeczy i potrafią odróżnić oryginał od kopii. A ci, którzy tamtej epoki nie znali, nie odczuwają nostalgii i mogą to mieć gdzieś.

Zatem geniusze czy hochsztaplerzy? Prawda leży pośrodku, choć to mało atrakcyjne. Parę osób się z tego ucieszy, kilka rozczaruje, a z resztą będzie tak jak z klaskaniem – gdy zrobi to jedna osoba, kolejne na wszelki wypadek podchwycą. Zresztą może ta niepozabawiona poczucia humoru grupa to wie, skoro tak się nazywała? Mnie naprawdę porusza utwór zamykający płytę, w którym wokalista zdaje się z zapamiętaniem skandować: „cia-sto, cia-sto”. Reszta dość krucha, chwilami trochę się ciągnie. A zespół to sensacja ciut niedopieczona, ale jestem przekonany, że jeszcze wyrośnie.

BARTEK CHACIŃSKI



CLAP YOUR HANDS SAY YEAH, „CLAP YOUR HANDS SAY YEAH”, Wichita

FLÂNEURZY I KOKOTY

Kto przeczyta **monumentalne „Pasaże” Waltera Benjamina**, zobaczy Paryż, jakiego nawet sobie nie wyobrażał

Miał to być zwykły artykuł do gazety. Walter Benjamin, niemiecki filozof znany w Polsce choćby z „Ulicy Jednokierunkowej”, zamierzał w 1927 roku napisać tekst o paryskich pasażach, czyli ulicach zamienionych w luksusowe, zadaszone targi. Ten esej nigdy nie powstał, za to Benjamin zaczął zbierać materiały do monumentalnego dzieła – panoramy XIX wieku: stosunków społecznych, przemian kapitalizmu i miejskiego życia na przykładzie Paryża. Dziś dostajemy do rąk efekt – gigantyczny zbiór zapisków, czyli jego nieukończoną budowlę.

Proszę się nie przerażać – zamiast chaosu notatek mamy przed sobą genialną kopalnię obrazów, motywów, a miejscami wręcz powieść interaktywną i wieloplanową, której bohaterami są postacie, ale i towary, sprzęty czy idee. W dodatku sami tę powieść stwarzamy, otwierając na chybił trafił i podczytując – spacerując to tu, to tam.

Benjamin przeniósł się do Paryża i zakopał się w bibliotece. Zapamiętał kolejne teckki cytata i komentarzami. Interesowały go rozmaite miejskie zjawiska: konstrukcje żelazne, reklamy, prostytutki, wnętrza mieszkalne, poezja Baudelaire’a, postać flâneura, czyli typowego spacerowicza, który włóczy się bez celu w tłumie paryskim, dagerotypy, wystawy światowe, bulwary Haussmanna. Równolegle uważnie czytał Marksa i surrealistów, z którymi dzielił fascynację snami. Kolejne teckki roły, ale finał dzieła oddalał się z każdym dniem. Jego pracy sekundowali przyjaciele filozofowie – Theodor W. Adorno i Max Hor-



PASAJ TO JEDYNE ZYMŚLOWA ULICA HANDLU ZDOLNA TYLKO ROZBUDZĄC ŻĄDZE! – TUTAJ FRANCUSKI PASAJ HANDLOWY W ROKU 1841

kheimer. Jednak w 1940 roku Benjamin, żydowskiego pochodzenia, musiał uciekać z Paryża. Najbardziej bolał nad tym, że nie zdążył ukryć rękopisów. „Czytam »Czerwone i czarne« – pisał do Adorna. – Wszystko we mnie jakoś zamarło”. Gdzieś na granicy francusko-hispańskiej zagrożony wydaniem w ręce gestapo popełnił samobójstwo.

„Pasaże” nie są przykładową historią XIX wieku. Benjamin tworzy literacki montaż cytatów. Nie opisuje, tylko pokazuje nam obrazy przeszłości. Jako zbieracz szuka konkretnych, które mają mówić same za siebie. Dalekim celem tej syntezy miało być przebudzenie się ze snu, jakim był XIX wiek. Czas, kiedy wszystko stało się towarem, a prekursorką gospodarki towarowej była, jak pisze Benjamin, dziwka. Zaś świątynią towarów stały się, właśnie w XIX wieku, pasaże. Przechadzali się po nich flâneurzy dandysi z modnymi wtedy żółtami. W mikroświecie pasaży wszystko sąsiadowało ze wszystkim – luksusowe przedmioty i starocie, ekskluzywne parasolki, zmiotki do kurzu i Wenus z Milo. „Żeńska fauna pasaży: kurwy, gryzетки, leciwe wędrownie handlarzy o wyglądzie czarownic,

lachmaniarki”. Ten pejzaż należy do czasów zmierzchu, niebawem rolę pasaży przejęły tomy towarowe. Ostatecznie „w 1893 przepędzono kokoty z pasaży”.

Badacze już od dawna studiują Benjaminską wizję XIX wieku. Ale ten niezwykle to jest gratką dla całych rzesz innych ciekawskich czytelników: zbieraczy śladów przeszłości czy amatorów niezwykłego języka Benjamina. Polecam cytaty na motta do książek, na przykład: „Nuda to kawał ciepłego szarego sukna, podbitego jaskrawym, różnobarwnym jedwabiem. Spowijamy się nim, gdy śnimy”. Żadnej powieści na razie nie planuję, ale na wszelki wypadek mam już przynajmniej 10 cytatów. Najlepszego nie zdradzę. Sami go państwo znajdziecie.

JUSTYNA SOBOLEWSKA



WALTER BENJAMIN „PASAŻE”, PRZEL. IRENEUSZ KANIA, WL, Kraków 2006

Wyróżnij się



www.aygo.pl

Wyróżnij się



www.aygo.pl

STRZĘLBY MIŁOŚCI

Nowy Rushdie

thriller, melodramat i protest song w jednym

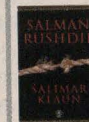
Powieść Salmana Rushdiego to miłosny i polityczny dance macabre. Historia pewnej tragicznej miłości przeplata się z obrazami wojny w niegdyś ziemskim raju, podhimalajskim Kaszmirze. Wielkie uczucie, zdrada, zemsta, śmierć – jest tu wszystko. Czy w ogóle istnieją jakiegokolwiek inne tematy literackie?

Rushdie z materiału na bollywoodzką operę mydlaną stworzył całkiem niezłą książkę – wzorcową pod względem konstrukcji, zawieszania strzelb, które mają wystrzelić w odpowiednim czasie. I choć znać rękę mistrza, sporo można „Śalimarowi klaunowi” zarzucić. Książka nosi znamię uszytej na miarę. Rozumiem, że „Śalimar klaun” miał być w zamierzeniu protest songiem przeciwko cynicznej wojnie wielkich mocarstw rozgrywanej kosztem ofiar, a także głosem w sprawie światowego terroryzmu. Niestety, wątki wojenne sprawiają wrażenie tła dla historii miłosnej, a wplątanie w całą opowieść

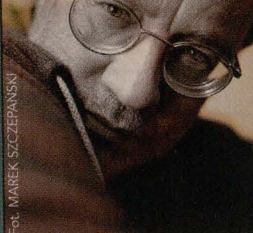
Al-Kaidy służy wyłącznie formacji jednego z bohaterów. Nie pomaga w tym nieustanny nacisk na emocje, co czyni „Śalimara...” miejscami okropnie sentymentalnym. To, że w książce roi się od duchów i telepatii, także za ciemnia jej moralny przekaz. Ciekawym pomysłem natomiast jest zestawienie obok siebie surowych osobowości rodem z Kaszmiru oraz postaci Maksa Ophulsa, ocalałego z piekła II wojny tajemniczego agenta, człowieka w typie bohaterów późnych powieści Kosińskiego

– zonglującego swoimi tożsamościami, utalentowanego i cynicznego. Między tymi ludźmi pojawia się magnetyzm, który prowadzi do tragedii. „Śalimar klaun” zawiera sporą dawkę suspense i w gruncie rzeczy bardziej niż epicką sagą jest obyczajowym thrillerem i melodramatem. Jednak bohaterom Rushdiego przede wszystkim brakuje tego, co Zbigniew Herbert nazwał kiedyś „najtrudniejszym kunsztem”, a mianowicie umiejętności odpuszczania win. To ich wpędza w kłopoty.

PIOTR KOFTA



SALMAN RUSHDIE „ŚALIMAR KLAUN”, PRZEL. JERZY KOZŁOWSKI, Rebis, Poznań 2006



CZYTANIE NA TRAWIE...

...albo inteligent na niecenzurowanym

Andrzej Mleczko narysował kiedyś taki minikomiks. Siedzi facet, a z głowy wyskakują mu kolejno „dymki”: „Mój dziadek był chłopem – mój ojciec był robotnikiem – ja jestem inteligentem – Boże! Kim będzie mój syn?!” Zauważmy, że finalnemu pytaniu towarzyszy jawny lęk, jakby autor wolał sobie nie wyobrażać, co tam dalej po inteligencji będzie; jakiś twór mocno podejrzany w każdym razie. Przypomniałem sobie ów komiksik z przyczyny pewnej koincydencji. Otóż poczytywałem sobie książkę **Magdaleny Grochowskiej „Wytrącenie z milczenia”**, sylwetki kilkunastu polskich artystów i myślieli od filozofa Tadeusza Kotarbińskiego po reżysera Konrada Swinarskiego, kiedy wpadł mi w ręce numer „Gazety Wyborczej” z

niezwykłym esejem Jerzego Jedlickiego pod tytułem „Przedwczesny porzecz inteligencji”. Artykuł powstał w reakcji na rozmaite lamente nad zagładą inteligenta polskiego, nasilające się ostatnio nie bez związku z aktualnym pejzażem społeczno-politycznym. Jedlicki stawia tam fantastyczną, choć niaby oczywistą tezę: że lamente tak naprawdę dotyczą tylko sytuacji PEWNEGO TYPU inteligenta. Sama zaś inteligencja jako taka ma się wcale dobrze, roi się i mnoży wszędzie, choć nie zawsze ona „nasza” i nie zawsze „właściwa”. Jest w rządzie i opozycji, na uniwersytecie i w telewizji, w wielkim biznesie i niszowej awangardzie artystycznej. Krótko mówiąc, bywa bardzo słuszną albo straszliwie niesłuszną. I chyba zawsze taka była. Ba, gorzej jeszcze: słusność i niesłusność mościła się często w tej samej osobie... Inteligent to po prostu ktoś szczególnie podatny na zmiany poglądów, a nawet zmiany charakteru. W książce Grochowskiej aż roi się od takich. Oto niegdyś potwór i doktryner – z latami wyrafinowany liberał. Inny znów – rozbrykany nowator – prze-

mieniony w strażnika wartości. Albo szlachetny demokracja wyloniony z partyjnego fanatyka. W tym wykręcaniu mózgów i kręgosłupów znaczny udział miała historia, ale też wrodzona podatność inteligencji na nurzanie się w komplikacjach świata. Oczywiście zawsze trafiali się niezłomni i w każdych okolicznościach przyzwoci. Zatem różnie bywało. W tych sporach o kształt naszej kultury brali udział zarówno intelektualści z kręgu Kościoła, jak i jawni ateści; tu książd Adam Boniecki i Józefa Hennełowa, tam Tadeusz Kotarbiński, Jan Józef Lipski, Bohdan Korzeniewski, Kazimierz Dejmek. Bywali genialni artyści, a zarazem partyjni kacykowie, jak Tadeusz Łomnicki, i tacy jak Maria i Stanisław Ossowsky, wielcy socjologowie niezmiennie wyznający te same niezależne poglądy.

Wszystko w tej doskonałej napisanej książce jest jak trzeba, z wyjątkiem tytułu. „Wytrącenie z milczenia” to jakiś bezsens. Tylko spójnik „z” jest do obrony.

TADEUSZ NYCZEK

JEDYNA TAKA KOLEKCJA

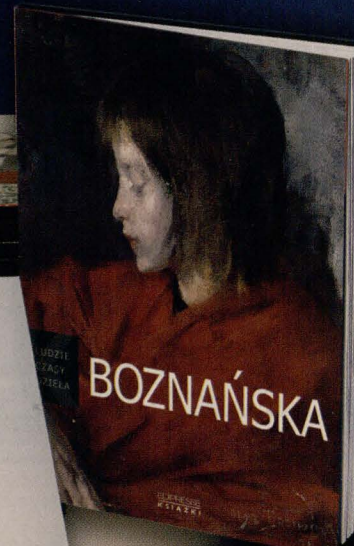
KOLEKCJA „PRZEKROJU”
MALARZE POLSCY

100 stron
20 tomów

Boznańska

tylko 15,99 zł

w sprzedaży od 16 lutego!



Informacje: 0 801 27 27 50 (pn.-pt. w godz. 8-17), info@prodoks.pl

Witkacy

Nikifor

Schulz

Boznańska

Wojtkiewicz

Wyspiański

Weiss

i wielu innych...

PRZE
KROJ



KOMIKS DO POCIĄGU

Sensacja, trupy i kryminalna intryga, a w tle życie codzienne na Antarktydzie

Powieści sensacyjne, szpiegowskie czy thrillery polityczne to rodzaj literatury cieszący się w Polsce niezmienną popularnością. Ukazują się one w trudnej do ogarnięcia liczbie, której większość stanowi zwykły chłam, ale gatunek ma również niekwestionowane gwiazdy. Nazwiska, takie jak Forsyth, Ludlum, Follet, Grisham, Cusler, Coben (i inni, łatwi do znalezienia przez opcję: „Klienci, którzy kupili ten tytuł, wybrali również...”), natychmiast elektryzują fanów takiej prozy. Okładki ich powieści pojawiają się nawet na reklamowych billboardach, a potem okupują listy bestsellerów. Tę popularność łatwo wytłumaczyć – fabuły są bogate w atrakcje, język niewyszukany i komunikatywny, opisy mało męczące, sceneria egzotyczna, bohaterowie charyzmatyczni i niebanalni. W efekcie czyta się to lekko i przyjemnie, a podczas lektury zapomina o bożym świecie. Powieści tego gatunku są więc świetnym towarzyszem podróży i często nazywa się je właśnie książkami do pociągu. Jednak coraz częściej podróżujemy samolotami i w drodze spędzamy mniej czasu. 300–400-stronicowa historia to wtedy za twardy orzech do zgryzienia. Jest jednak doskonałe rozwiązanie na taką sytuację – dobry komiks spełniający powyższe założenia.

„Zamiec” (nie mylić z powieścią Kena Folleta pod tym samym tytułem) Grega

Rucki i Steve’a Liebera jest właśnie takim komiksem czy powieścią graficzną – jak kto woli. Jej bohaterką jest Carrie Stetko, dzielna szeryf z amerykańskiej bazy na Antarktydzie. Któregoś dnia znajduje w swoim rezerwirze zwłoki z twarzą zmasakrowaną tak, że nie sposób ich zidentyfikować. Ale ustalenie ich tożsamości to wcale nie najważniejsza rzecz w tym trudnym śledztwie. Bo po drodze pojawiają się kolejne trupy, próby zabicia szeryf Stetko, tajemniczy ładunek oraz inne nieprzewidziane komplikacje. A to wszystko w scenerii skutego lodem i smaganego lodowatym wiatrem kontynentu.

Greg Rucka, znany w Polsce z popularnej serii z życia brytyjskich agentów „Za królową i ojczyznę”, to bardzo sprawny scenarzysta. Gładko wprowadza czytelnika w zimny, nieprzyjemny świat swojej opowieści, zręcznym slalomem prowadzi go między punktami zwrotnymi aż do satysfakcjonującego finału. Po drodze zaś nie szczędzi informacji i ciekawostek – zapewne owoc solidnego researchu – o codziennym życiu oraz problemach polarników. Głównych bohaterów obdarzył charakterystycznymi cechami, a także porcją informacji o ich przeszłości, które stwarzają wrażenie psychologicznej głębi. Jeśli można mu coś zarzucić, to dość wczesne podsuwanie tropów, które miłośnikom konwencji powiedzą zbyt dużo.

Równie niewiele uwag można mieć do rysunków Liebera. Przez prawie 130 stron za pomocą pewnej, surowej i czytelnej kreski przedstawia czytelnikowi antarktyczne krajobrazy, wnętrza badawczych baz i zmęczone twarze bohaterów. A tytułowe zjawisko pogodowe wygląda u niego wyjątkowo atrakcyjnie. Nigdy jednak strona graficzna nie dominuje nad treścią i oba te elementy doskonale się uzupełniają. Bardzo dobrze, że „Zamiec” ukazała się podczas najsroźszej zimy od lat. Dzięki temu lepiej można wczuć się w klimat tej opowieści i trudne losy jej bohaterów. Szczególnie jeśli czytać ją na przystanku, czekając na śnieżny skuter. To znaczy autobus.

SZYMON HOLCMAN



„ZAMIEĆ”, SCENARIUSZ GREG RUCKA, RYSUNKI STEVE LIEBER, Taurus Media, Warszawa 2006

Wyróżnij się



www.aygo.pl

Wyróżnij się



www.aygo.pl

POLACY W CZŁÓWCE

Kolejne po Gawronkiewiczzu sukcesy naszego komiksu

W 2003 roku w 1. Europejskim Konkursie Komiksowym zorganizowanym przez telewizję Arte i francuskie wydawnictwo Glénat główną nagrodę otrzymali Krzysztof Gawronkiewicz i Grzegorz Janusz za „Esencję”. We Francji ich album sprzedał się na razie w nakładzie ponad 10 tysięcy egzemplarzy i został nominowany na festiwalu komiksowym w Angoulême (największa tego typu impreza w Europie) do nagrody za najlepszy debiut.

WYDRAPANE ŚWIATŁO

„Exit” to czarny humor i wyjątkowa konwencja graficzna

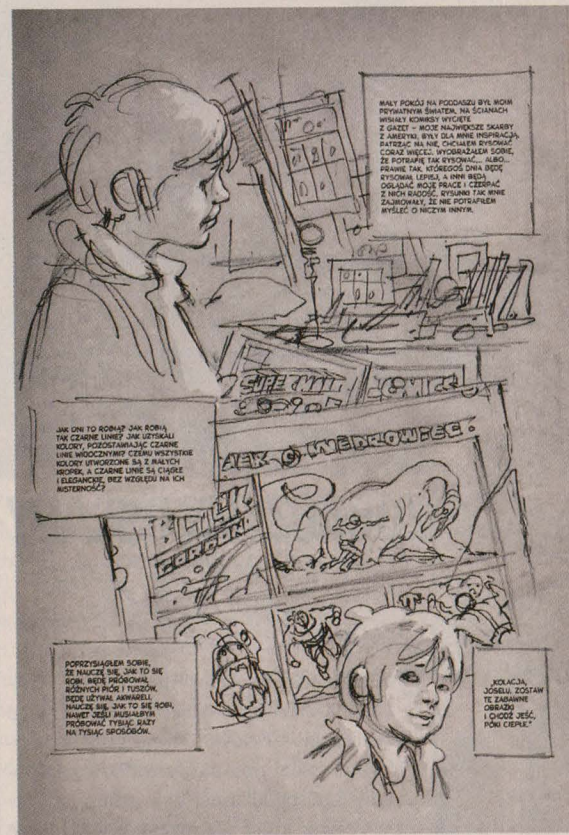
Ktoś kiedyś powiedział, że komiks może obejść się bez słów, lecz nie może istnieć bez obrazu. A komiksy tego 40-letniego szwajcarskiego twórcy są niemal całkowicie nieme! Mistrzowsko opanowawszy sztukę filmowo-wizualnej narracji, Thomas Ott (na co dzień również filmowiec oraz wokalista rockowej formacji Beelzebub) prowadzi wzrok czytelnika poprzez kolejne etapy stawania się historii opowiadanej bez udziału słów. Fabulki nowelek – na album składa się ich 19 – są konsekwentnie fatalistyczne, podporządkowane konwencji fantastyki i czarnego kryminału, co w połączeniu z okrutnym poczuciem humoru autora przywodzi skojarzenia z twórczością Rolanda Topora czy Franza Kafki. Właściwie każda z nich kończy się aktem samobójczej śmierci, morderstwem, w najlepszym wypadku szaleństwem bohatera. Ale to nie konstrukcje fabularne stanowią o wyjątkowości komiksów Thomasa Otta, lecz stosowanie bardzo charakterystycznej techniki graficznej – scratchboardingu. Na kartonie pokrytym czarnym tuszem autor wydrapuje białe linie. Ich płatanina daje w rezultacie niepokojąco realistyczny obraz oglądany jak w negatywie. „To trochę tak, jakby rozjaśniać stopniowo ciemne pomieszczenie poprzez powolne odsuwanie przesłony na lampie. Co z kolei oznacza, że nasycam czerń światłem; co jest rzeczą bardzo pozytywną, prawda?” – tłumaczy autor swój modus operandi w dołączonym do albumu wywiadzie.

MATEUSZ SZLACHTYCZ

„EXIT”, SCENARIUSZ I RYSUNKI THOMAS OTT, Kultura Gniewu, Warszawa 2006

ALTERNATYWNY HOLOCAUST

Równo 20 lat temu ukazał się słynny „Maus” Spiegelmana. „Josef” to też obrazkowa historia o Holocaustzie. Nie jest jednak zapisem wspomnień, lecz rekonstrukcją fikcyjnej autobiografii Joe Kuberta. Naprawdę rodzice Kuberta – polscy Żydzi – wyemigrowali do Ameryki w latach 20. W komiksie nie udało im się to i przechodzą wojenną gehennę. Narratorem i bohaterem jest kilkunastoletni Josef (po amerykańsku Joe).



Fascynują go amerykańskie komiksy dostępne w prasie II RP (fakt!): „Tarzana”, „Flasha Gordona” i inne. Sam zaczyna rysować. Wybuch wojna. Niemcy przesiedlają Żydów do warszawskiego getta. Chłopak rysuje portrety Niemców i faszystowskich herosów. Potem na skrawkach papierów kreśli obraz warszawskiego getta. Nie wie, że talent ocali mu życie.

Rysunki są dość szkicowe, Kubert upodobił ten tom do fikcyjnego pamiętnika. Komiks jest wyraźnie próbą osobistego odreagowania Holocaustu, a jednocześnie głosem amerykańskich Żydów. Znamienne jest to, że Kubert, wymieniając ofiary Oświęcimia, pomija Polaków, choć na szczęście daleko mu do używania określeń typu „polski obóz zagłady”. Kontrowersyjne to, ale daje do myślenia – jak wyglądałaby fikcyjna biografia Kuberta w powojennej Polsce? Czy rysowałby komiksy? Czy byłby komunistą? Czy opuściłby kraj w 1968 roku?

BARTOSZ KURC



„JOSEF. 19 KWIETNIA 1943”, SCENARIUSZ I RYSUNKI JOE KUBERT, Egmont Polska, Warszawa 2006

(BK)

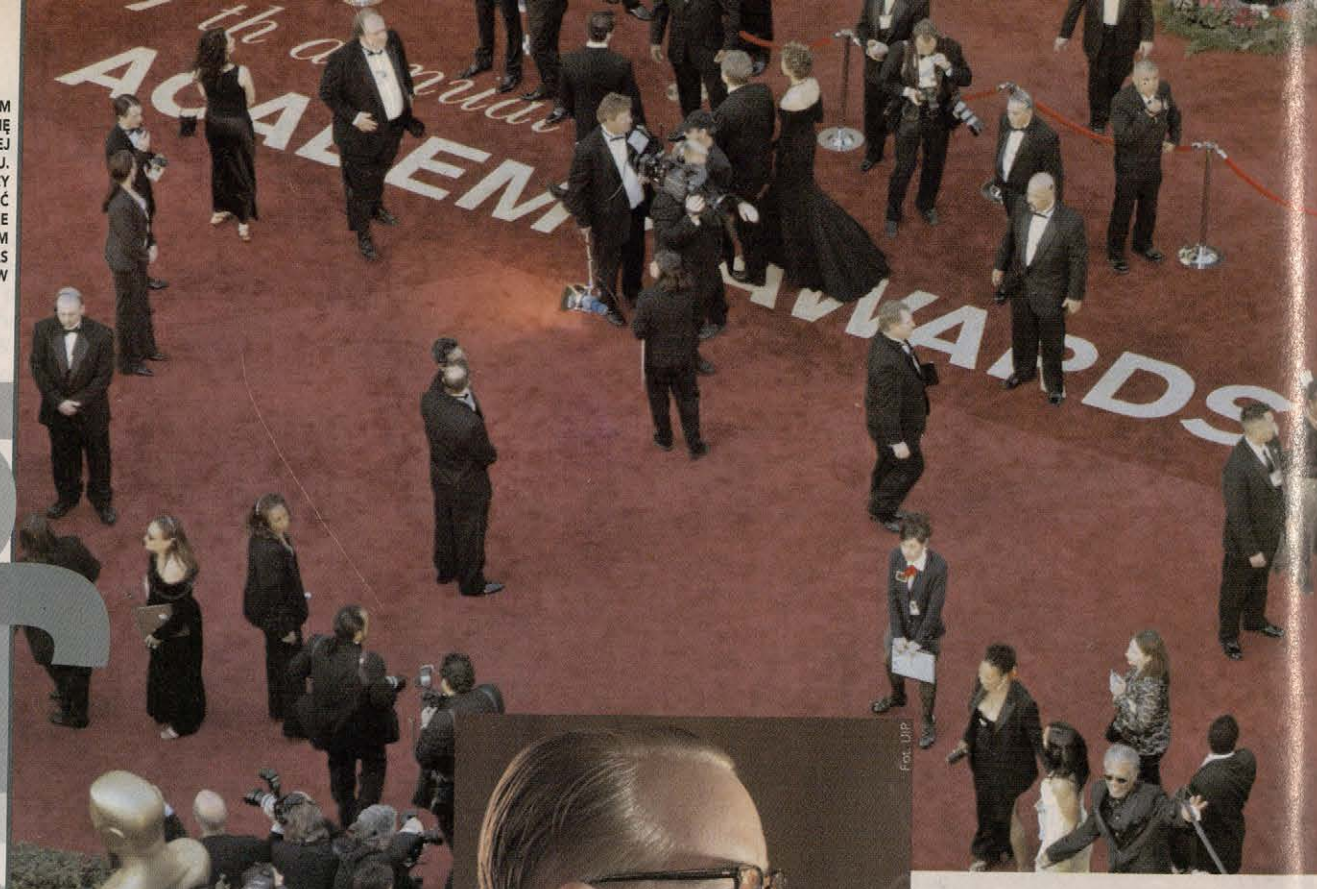
mistrzostwo
na piątkę
warto
ujrzeć
kiepskie
dno

Wyróżnij się



www.aygo.pl

SPACER PO CZERWONYM
DYWANIE ROZPOCZNIE SIĘ
OKOŁO PIERWSZEJ
NAD RANEM NASZEGO CZASU.
W UBIEGŁYM ROKU POLSCY
FANI KINA MOGLI OGLĄDAĆ
OSCAROWĄ GALĘ WYŁĄCZNIE
PO... NIEMIECKU NA JEDNYM
Z DOSTĘPNYCH U NAS
KANALÓW

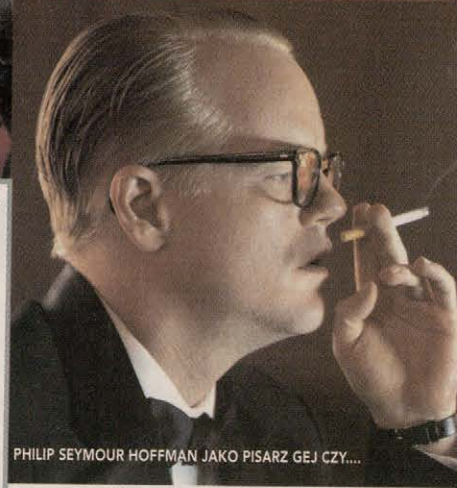


ZOBACZYMY OSCARY

Ceremonia wręczenia nagród
Amerykańskiej Akademii
Filmowej **wróciła do TVP**

Polscy widzowie będą mieli szansę obejrzeć na żywo transmisję z tegorocznego 78. wręczenia Oscarów, mimo że nikt z Polaków nie został nominowany. Prawa do pokazania czterogodzinnej gali zakupiła Telewizja Polska, która wyemituje ją w Dwójce w nocy z 5 na 6 marca. Dodatkowo 7 marca zostanie pokazany półtoragodzinny skrót.

Jeszcze niedawno polskie stacje telewizyjne nie kwapiły się do kupienia praw do transmisji wręczenia nagród Amerykańskiej Akademii Filmowej. Wśród prawdopodobnych zainteresowanych były HBO, Polsat i TVN. Canal Plus po raz pierwszy od 10 lat nie wziął udziału w negocjacjach. Telewizji Polskiej, która w ubiegłym roku zrezygnowała z pokazywania oscarowej nocy, na początku w ogóle nie było wśród potencjalnych kupujących. Co więc wpłynęło na decyzję o wydaniu 200 tysięcy dolarów (tyle według „Życia Warszawy” kosztuje prawo do transmisji Oscarów)? Zdaniem biura prasowego TVP zdecydował przede wszystkim „prestż pokazywania najważniejszych nagród filmowych na świecie i możliwość zobaczenia na małym ekranie największych gwiazd filmowych”. – Oscary mają swoich wiernych fanów, więc warto pokazywać galę chociażby dla nich – dowia-



PHILIP SEYMOUR HOFFMAN JAKO PISARZ GEJ CZY...

dujemy się w TVP. Transmisję Oscarów w telewizyjnej Jedynce dwa lata temu oglądało zaledwie 239 tysięcy widzów, ale skrót następnego dnia już półtora miliona. Dla porównania tegoroczne przyznanie Telekamer zgromadziło przed telewizorami około 8,5 miliona osób.

Różnica czasu między Los Angeles a Warszawą wyklucza wysoką oglądalność – najważniejsze statuetki, dla najlepszego reżysera i filmu, przyznawane są na końcu, czyli około godziny piątej rano. Nic więc dziwnego, że reklamodawcy nie są szczególnie zainteresowani wykupieniem czasu antenowego o tej porze. Wpływy z reklam mogłyby w części pokryć poniesione przez TVP koszty, nie dowiemy się jednak, czy telewizja ma szansę odzyskać część pieniędzy. – Sprawy związane z kosztami zakupu oscarowej gali i reklam emitowanych przy niej stanowią tajemnicę handlową naszej spółki – mówi stanowczo Daniel Jabłoński z TVP.

JOANNA OZDOBIŃSKA



HEATH LEDGER (PO LEWEJ) JAKO KOWBOJ GEJ
WKRÓTCIE PRZEKONAMY SIĘ, KTÓRY ODRZUCI
STATUETKĘ ZA NAJLEPSZĄ ROLE MĘSKĄ

OSCARY 2006

Najwięcej nominacji do tegorocznych nagród
zdołały:

- „Brokeback Mountain” Anga Lee – 8
- „Good Night, and Good Luck” George’a Clooneya – 6
- „Wyznania gejszy” Roba Marshalla – 6
- „Miasto gniewu” Paula Haggisa – 6
- „Spacer po linie” Jamesa Mangolda – 5
- „Capote” Bennetta Millera – 5
- „Monachium” Stevena Spielberga – 5
- „Wierny ogrodnik” Fernanda Meirellesa – 4

Tegoroczną imprezę poprowadzi komik telewizyjny
Jon Stewart, a honorowego Oscara za całokształt
twórczości odbierze Robert Altman.

BLUŹNIERSTWO ZESZŁO Z ANTENY

Stacja NBC szybko
pozbyła się
**kontrowersyjnego
serialu**

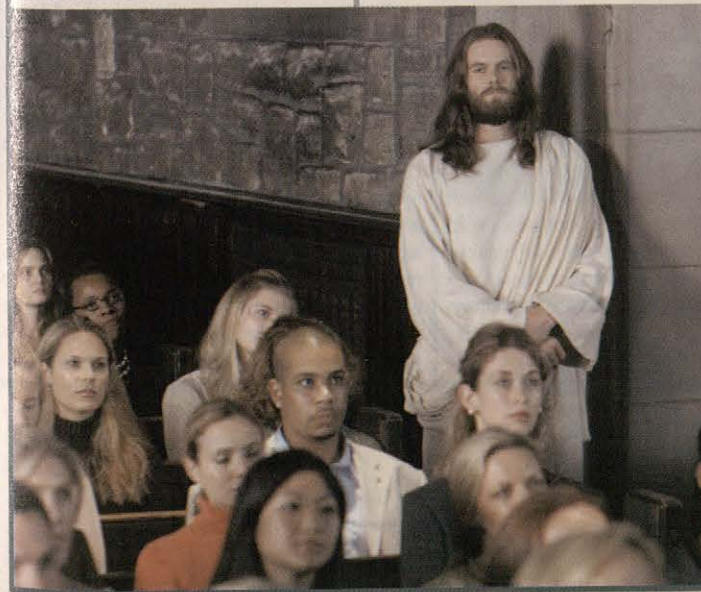
Nie po raz pierwszy serial telewizyjny oburzył amerykańskie organizacje prorodzinne. Jednak w przypadku „The Book of Daniel” protesty pojawiły się na długo przed wyemitowaniem na antenie NBC pierwszego odcinka. Stowarzyszenie Amerykańskiej Rodziny (American Family Association) jeszcze w grudniu zwróciło się bezpośrednio do NBC z protestem przeciwko serialowi, który według nich niepoważnie traktuje religię i wiarę w Biblię, a także wyśmiewa Boga.

„The Book of Daniel” przedstawia księdza Daniela Webstera (Aidan Quinn) uzależnionego od leków przeciwbólowych, który rozmawia ze współczesnym Jezusem pojawiającym się w najbardziej kryzysowych momentach. Jego rodzina też odbiega od amerykańskich standardów: 23-letni syn jest homoseksualistą i republikaninem, 16-letnia córka sprzedaje narkotyki, 16-letni adoptowany syn sypia z córką biskupa, a żona nigdy nie odmawia sobie przedpołudniowego martini.

Po wyemitowaniu pierwszego odcinka konserwatywni chrześcijanie uznali serial za bluźnierstwo i zorganizowali kampanię na rzecz zdjęcia go z anteny. Na forach internetowych rozgorzały dyskusje między wciąż rosnącą liczbą zwolenników i przeciwników „The Book of Daniel”. Oddział NBC w stanie Indiana otrzymał nawet anonimowe pogróżki i musiał wzmocnić ochronę przed swoją siedzibą. W końcu szefowie telewizji ulegli presji i po trzech odcinkach zdecydowali o zakończeniu nadawania. Jego oficjalny powód to oczywiście niezadowalająca oglądalność. Pozostałe pięć odcinków „The Book of Daniel” stacja udostępniła widzom na swojej stronie internetowej. Pomysłodawca serialu Jack Kenny broni się – zapewnia, że jego celem nie było nasmiewanie się z religii, lecz pokazanie, jak humor może pomóc wątpiącemu człowiekowi poradzić sobie z problemami z wiarą i rodziną.

Tymczasem po kontrowersjach związanych z „The Book of Daniel” NBC znalazła kolejny sposób, aby rozłóżć konserwatywne chrześcijańskie organizacje. Właśnie ogłosiła, że w popularnym serialu „Will & Grace” w epizodzie zagra znana ze skąpych strojów scenicznych i kontrowersyjnych sesji fotograficznych Britney Spears, która wcieli się w rolę... konserwatywnej chrześcijanki.

JOANNA OZDOBIŃSKA



JEZUS SPOKOJNIE PRZYSŁUCHUJE SIĘ KAZANIU
WIELEBNEGO WEBSTERA. OBRÓNCY WIARY
I RODZINY NIE BYLI JUŻ TAK SPOKOJNI



FOT. MAREK SZCZEPAN

SŁOWA WYCZESANE mieć film

Uwaga, bo będzie o tym, jak mieć film bez wychodzenia do kina. I jak się filmować bez użycia kamery. A nawet bez danych z Instytutu Sztuki Filmowej możemy stwierdzić, że żyjemy w kraju, gdzie ludzie wyjątkowo często się filmują – na siebie, na polityków, na ogólnie panującą sytuację. I filmy powstają tu często z samego faktu filmowania się. I tak „Komornik” jest efektem filmowania się na znieczulicę poborców skarbowych, „Pitbull” – filmowania się ciężką sytuacją w policji. A „Tylko mnie kochaj” i „Ja wam pokażę!” to z kolei efekt filmowania się dwóch ekip filmowych na siebie nawzajem. Potem publiczność filmuje się na takie filmy, bo ma tyle filmowania się dookoła, że w filmie już go nie potrzebuje. Zamiast obiecanego popisowego „Kaczora Donald” znów dostała do obejrzenia „Karate po polsku”: cios od twardej prawicy i specjalność samoobrony, kopniaka z półobrotu. Nic dziwnego, że na co dzień odrzuca polskie kino i stwierdza, że jej emocje najlepiej oddaje serial „Zagubieni”.

Ale do rzeczy. „Jaki film!” – powiemy w sytuacji, gdy mamy do czynienia z czymś wyjątkowym, zaskakującym, nieprawdopodobnym, czyli z sytuacją bardziej filmową niż realną. Czyli tak jak powyżej. To akurat dość oczywiste, bo kojarzy się ze znany już w polszczyźnie wyrażeniem: „Ale kino!”. Może opisywać zarówno sytuację zaskakującą dobrą, jak i zaskakującą złą. Bo, jak wiadomo, każdy film ma dwa końce. Nawet „czeski film”.

„Mieć na coś film” to z kolei mieć ochotę, nieposkromioną,

przychodzącą nawrotami, czasem prowadzącą do obsesji na punkcie tego czegoś. Na Kafieteria.pl („forum wymiany myśli i opinii”) jedna z dyskusantek opowiada, jak to ktoś ją przypadkiem podpatrzył podczas przebijania się, a – jak pisze – „miała wtedy film na stringi”. Wysłała z tego scena prawdopodobnie dość filmowa.

Na innym forum w czasie dyskusji o pracy w USA (Forum.2p.pl), która wciąż bywa lekarstwem na problemy opisywane w pierwszym akapicie, młoda Polka pisze: „Ja jadąc przez całą Kalifornię, miałam film na KFC, no i w końcu moje koleżanki mi uległy. Fuuuuuuuuu – kupiłam i wyrzuciłam do śmietnika”. A modny, ale wygodny konstatuje na forum DrugStore (www.ds.art.pl): „Ostatnio miałam film na dredy, ale za długo musiałbym włosy zapuszczać”.

Pozostaje wyjaśnić, o co chodzi z „filmowaniem się”. „**Nie filmujcie się za bardzo tym, co nieuniknione**” – pocieszająco pisze Rdt na forum Mp3.wp.pl. Czyli „nie przejmujcie się”. Na portalu regionalnym www.konin.lm.pl Mała narzeka: „Wiesz, że ja zawsze się filmuję bez powodu”. Na to Meddle: „Mała i Zolvik, nie filmujcie się!!!”. Czyli nawet więcej: „denerwować się, gniewać”.

Jeśli ktoś wciąż zastanawia się, co ma to wszystko wspólne z kręceniem filmów, informuję, że przecież „miałam film” znaczy z grubsza to samo co „nakręciłem się”. A ponieważ „mieć film” to w młodej polszczyźnie także przeżywać stan halucynacji, upojenia, to odpowiedzialnym za obecne ogólnie rozumiane kino w Polsce przypominam, że co prawda za dobry film można dostać Złote Kaczki, ale właśnie w tym samym momencie, gdy mamy już największy film, film nam się urywa.

bartek.chacinski@przekroj.pl

Wyróżnij się



www.aygo.pl



TYSIĄC RAZY TAG

Graffiti nowych czasów
– bez puszek, za to
z dostępem do sieci

XXI wiek przenosi graffiti do cyberprze-
strzeni. Technologiczne dobrodziej-
stwo trzeciego tysiąclecia stwarza artystom
nowe możliwości i na poziomie samego two-
rzenia, i docierania ze swoją twórczością
do odbiorcy. – Nieporozumieniem byłoby po-
kazywanie graffiti wyłącznie w sieci, ale jesz-
cze większą stratą byłoby, gdyby artyści nie
mogli zaistnieć poza swoim miastem – prze-
konuje fi5e, jeden z reprezentantów zjawiska,
które nazwano graffiti hackingiem.

Sieć Pistols

Nowojorczyk zaczynał przygodę z graffiti
od umieszczania prac na stronie internetowej.
Dziś, choć wrócił do miasta, ciągle jest jednym
z najważniejszych przykładów rewolucji doko-
nującej się w sztuce ulicy. Tagi (kolorowe napi-
sy, które graffitiarze dotąd sprayowali na mu-
rach) wcześniej umieszczone za pomocą pióra
cyfrowego na kawałku pleksi fi5e wyświetlał
w ramach akcji „Graffiti analysis” – używając
projektora i laptopa – na ścianach biurów, lecz

szpitali i... na kamiennym łuku stojącym
przy nowojorskim placu Waszyngtona.

Z falą graffiti hackingu związana jest także
nowa inicjatywa grupy WD81. Holenderska
agencja reklamowa realizuje pionierską akcję
Graffiti Hackers Project. – Co roku wymyśla-
my projekt, który nie ma nic wspólnego z tym,
co robimy na co dzień, a który nas bawi. To
właśnie jeden z nich – mówi „Przekroju”
Kristian Esser, pomysłodawca GHP. I choć
twórcy dopiero finalizują przedsięwzięcie,
strategia została już ujawniona. Autorzy przy-
syłają osobom zawiadującym projektem elek-
troniczne wersje swoich tagów, które następ-
nie pojawiają się jednocześnie (tego samego
dnia; impreza jest cykliczna – tagi będzie moż-
na podziwiać co 12 miesięcy) na wybranych
stronach – najpopularniejszych portalach, wi-
trynach znanych marek i międzynarodowych
korporacji. Pod danym adresem tag zafunk-
cjonuje na prawach reklamy pop up. Będzie
również biletem wstępu do wirtualnej galerii,
w której można obejrzeć prace zrzeszonych
wokół WD81 graffiti hackerów. Kto wie, może
gdyby członkowie legendarnej brytyjskiej
grupy Sex Pistols nie byli niepokornymi pun-
kami, ale współczesnymi zdolnymi informaty-
kami, do starć z systemem nie dochodziłoby
w gniewnych tekstach ich piosenek, lecz

na stronach internetowych. Tyle że akcja
WD81 to taki sieciowy punk rock na miarę na-
szych konformistycznych czasów – bez fak-
tycznego hackowania, tu wszystko odbywa
się za przyzwoleniem właścicieli witryn (wła-
śnie trwają rozmowy z MTV Europe).

Graffiti na telefon

Prestiżowy magazyn „Wired” graffiti hacke-
rami nazywa również tych artystów, którzy za-
miast odbierać swoją sztukę ulicom, przeno-
sząc ją do cyberświata, zostają w mieście, ale
do tworzenia wykorzystują nietradycyjne na-
rządzia. Wspominana na początku puszka
sprayu jest coraz częściej zastępowana przez
technologiczne zdobycze. Do twórców, którzy
z nich korzystają, zalicza się i opisywany wyżej
fi5e, i londyńska grupa designerska Troika
(nowo powstały trzeci oddział Troiki – Troika
Communications – podobnie jak WD81 działa
w branży reklamowej). Zasłynęła ona z wyko-
rzystania telefonów komórkowych wyposażo-
nych w projektor SMS Guerilla, który pozwala
wyświetlać krótkie wiadomości tekstowe z od-
ległości 80 stóp. SMS-owe hasła pojawiały się
na angielskich murach, znakach drogowych
(przykładem jest umieszczone na takowym py-
tanie: „Dokąd zmierzamy?”), ciałach zaskocz-
nych przechodniów, raz nawet udało się we-



ACZYN WYŚWIELANE GRAFFITI FISE
AUDYJNU TO PRAWIE TAK, JAK ZOBACZYĆ
TRUMFALNY NA MANHATTANIE

dzieć takiej wiadomości do cudzego salonu
(tak to jest, jak się nie zamyka okien). – W ten
sposób można wyrazić własne poglądy i zmu-
sić ludzi do reakcji – mówi jeden z członków
Troiki Sebastien Noel. – Można osiągnąć po-
dobny efekt jak w przypadku najbardziej pro-
wokującego do myślenia graffiti.

Z tego samego założenia wychodzi holo-
nderski kolektyw De Punk. Tu głównym narzę-
dziem pracy jest sprzęt do paintballa zarządza-
ny przez specjalne oprogramowanie kompute-
rowe. Przenoszone z cyfrowych projektów
na niecyfrowe obiekty obrazy są prymitywne
w formie, ale wyraziste. Inicjatywa – podobnie
jak i przedstawiona wcześniej reszta – choć
ciekawa, z klasycznie rozumianym hackingiem
nie ma jednak zbyt wiele wspólnego. Z graffiti
chyba, niestety, także.

ANGELIKA KUCIŃSKA

sluchaj audycji PRZEKROJOWA SPRAWA

ANTYRADIO

94 FM Warszawa, 106.4 FM Katowice

W czwartek 9 lutego o godzinie 21.00
Tomek Kin zaprasza na program pod tytułem
„NOWA SZTUKA ULICY”

Wyróżnij się



www.aygo.pl

**rzeczy
niedorzeczne**
**NOWE
PODEJŚCIE**

Trzy schody
dla psiej wygody

Pamiętacie polską wojnę
z trzema schodami ograni-
czającymi ludzi niepeł-
nosprawnych? Ta oferta to
dokładnie coś przeciwnego.
Masz małego pieska, który
nie może wskoczyć do łóżka
lub na kanapę? Kup mu psie
schodki! Oferta pochodzi
oczywiście z USA, gdzie dwa
zestawy doggy steps moż-
na kupić za jedyne 39,99 dola-
ra na www.doggysteps.com.
Ciekawe tylko, czy teraz po-
siadacze kotów nie uznają, że
ich ukochanym będzie trud-



niej uciec przed psami,
i schodków nie oprotują?
Inna sprawa, że takie schodki
do łóżka czasem mogą się
przydać nie tylko psom.

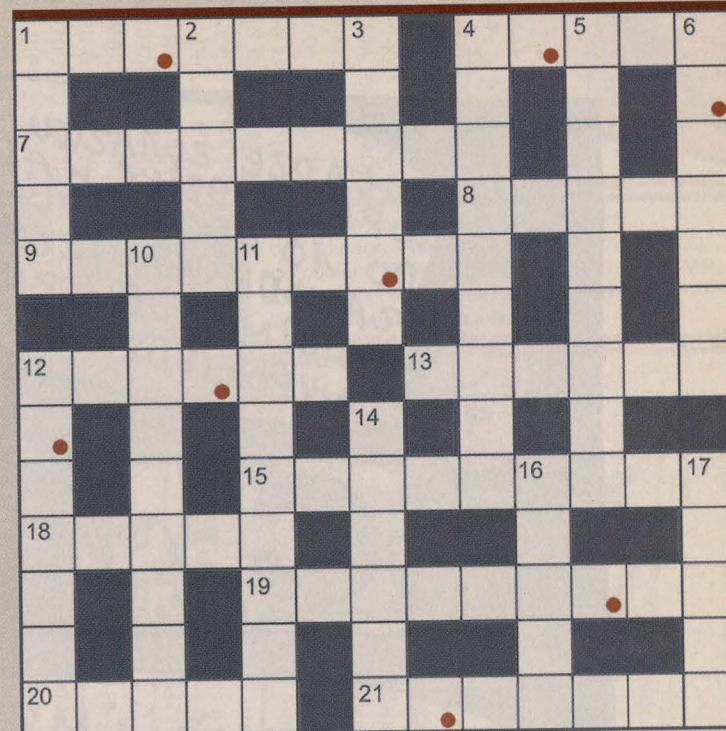
(ŁDZ)

Wyróżnij się



www.aygo.pl

KRZYŻÓWKA nr 6



POZIOMO:

1. ŚCIANKA NOŚNA
4. MAŁA RZECZ
7. LANIE WOSKU
8. A LEJE
9. CYNICZNY PRZYRZĄD
12. WYPADA Z KORYTA
13. GRAŁ W „REJSIE”

15. NIEDAWNA NAZWA

5. CZŁONKA
18. PIÓR NONSENS
19. ŚWINKOWE
20. TRZYMA SIĘ KUPY
21. POD CHOINKĄ

PIONOWO:

1. CUKIEL W PŁOSZKU
2. LIST OD LISTONOSZA
3. DO WYSADZANIA

4. PISMA

5. ODPALA ŚWIECĘ
6. TRAFIA DO KOSZA
10. PŁYNIE Z PŁYNEM
11. CO TO ZA ŻYCIE...
12. GIGANTYCZNA
14. ZAWINIONE
16. PIERWSZE JEDYNKI
17. PRZED N PO SZANUJ

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz-rozwiązanie.

Rozwiązanie krzyżówki nr 3: LEJTANT

Poziomo: 1.melonik 4.sezam 7.fryzjerka
8.twarz 9.alkoholik 12.sknera 13.świnia
15.abonament 18.skrót 19.naszynnik 20.antyq
21.laureat

Pionowo: 1.mafia 2.oczko 3.korale
4.siatkówka 5.zapalenie 6.musztra 10.konkurent
11.herbatnik 12.szóstka 14.konsul 16.major
18.tykot

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 1 nagrody wylosowali: Jerzy Boćkowski, Warszawa; Andrzej Grabowski, Warszawa; Krzysztof Helewski, Dąbrowa Górnicza; Mirosława Jankowska, Śrem; Irena Machowska, Kraków; Jadwiga Niemiec, Prudnik; Wiesław Pyrzewicz, Zielona Góra; Andrzej Radon, Zalesie Górne; Henryk Rujna, Zielona Góra; Maciej Siwek, Płock. **Gratulujemy!**

Rozwiązania możesz teraz przesłać szybciej i taniej SMS-em! Wyślij SMS-a o tre-
ści PRKK.HASLO KRZYZOWKI na numer 71070 (netto: 1 zł; brutto: 1,22 zł/SMS).
Pomiędzy czytelników, którzy do niedzieli 19 lutego nadesłają prawidłowe
rozwiązanie za pomocą SMS-a lub na kartkach pocztowych (decyduje data
stempli), wylosujemy 10 zwycięzców, którzy otrzymają książkę Agaty
Miklaszewskiej „Huśtawka” (Czarne).

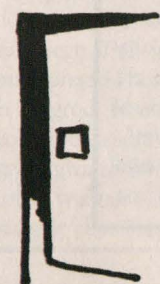
Rozwiązanie rebusu nr 5: WELNA DRZEWNA

Za poprawne rozwiązanie rebusu nr 3 nagrody wylosowali: Marcin Capiga, Grodzisk
Mazowiecki; Anna Janiszewska, Otwock; Elwira Kerpiesiuk, Olsztyn; Renata Piasecka,
Nowogrodziec; Jacek Przydrożny, Przemyśl. **Gratulujemy!**

„Przekrój”, ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa, z dopiskiem Krzyżówka 6

UWAGA! JOLKA nr 6 – szukaj w Internecie: www.przekroj.pl

SKLEP



WEJDZIEMY?

PROSZĘ, NIE. MAM DOŚĆ
CYWILIZACJI ŚMIERCI.

WILHELM SASNAL



WYMYSŁILI I NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI

Koninktarjany Słownik języka nowoPiśkiego (dla obcoPiśowców)

1/3
Zbigniew
Dmitroca

aPiS – bóstwo staroPiśkie, symbol państwowotwórczej prokreacji i pierwotnego patriarchyatu

apPiSjonata – Piśjańska pieśń bojowa, niekiedy też miłosna; nieoficjalny hymn RzeczPiSpolitej PiSkiej

brudnoPiS – termin sam w sobie dosyć niewinny, obecnie niepoprawny politycznie, ponieważ może sugerować, iż Najjaśniejsza RzeczPiSpolita PiSka jest tym i owym pokalana

cePiSko – wulgarnie o tępym członku PiS, zalecana duża powściągliwość w używaniu

cienkoPiS – sugeruje się używanie nienaczechowanego ujemnym znaczeniem synonimu, na przykład „wieczny rysik”

cienkoPiSik – 1. wulgarnie o podręcznym członku PiS; 2. zdrobniale o cienkoPiSie;

dlugoPiS – z szacunkiem o zaśluzonym dla prokreacji członku PiS

dziejoPiS – 1. kronikarz lub historyk specjalizujący się w dziejach IV RzeczPiSpolitej PiSkiej; 2. doktrynalny annalista oddelegowany do sPiSywania historii PiS

ePiSjer – makaronizm mający określać rzekomo znajdujących się w szeregach PiS kunktatorów i dorobkiewiczów; niemożność podania przykładów wyklucza wszelkie prawdopodobieństwo istnienia takowych kreatur wśród zastępów PiSjanistów

ePiSkopat – na szczęście skojarzenie zupełnie przypadkowe, za co katolików serdecznie przepraszamy

ePiSkopalizm – pogląd, że najwyższa władza w RzeczPiSpolitej należy do PiS

ePiStemologia – jedynie słuszną filozofia PiS zajmująca się wyjaśnianiem nadprzyrodzonej wywyższości PiS nad zdrowym rozsądkiem

eskaPiSm – fałszywy pogląd rozpowszechniany przez skrajnie nieodpowiedzialnych warchołów z PO(P), iż PiSjanizm to w istocie rzeczy oderwany od rzeczywistości utoPiSm

hiPiS – luzak w szeregach PiS (w ścisłych granicach przyzwoitości wyznaczonych przez Ludwika Jakobina Dorna) traktowany jako PiSton; patrz – PiSton w zn. 2.

katastroPiSm – 1. dosyć specyficzna PiSjańska propaganda sukcesu; 2. nikczemne próby zdyskredytowania PiSjanizmu w oczach niedoPiSków

niedoPiSek – niedobitek; anachroniczny zwolennik systemu wielopartyjnego

paPiSta – wyznawca hasła: papieżowi świeczkę i PiSowi ogarek

Odgadnij wyraz przedstawiony na rysunku i do 15 lutego wyślij SMS-a o treści PRKR.HASLO pod numer 71070 (netto: 1 zł; brutto: 1,22 zł/SMS). Do wygrania pięć książek Renaty Serelyte „W imię ciemności” (Czarne).



Rys. SCHOENBAUM/NEW YORKER

– Zrozum to wreszcie – najlepszym przyjacielem człowieka są pieniądze.



Rys. PAULUS MAZUR

Rodzina Obłych
Rodzina Obłych budzi się rano, no i widzi oślepiającą biel, która syczy się ze szpary między meblami. Obli odświeżają meble i przyglądają się białym ścianom.
– Co się z nimi dzieje? – pta ta męża pani Obli.
Przez cały dzień Obli zastawiają się nad fenomenem bieli, ponieważ nie rozumieją, dlaczego pojawiła się akurat w ich mieszkaniu.
Chcą przed nią uciec, ale okazuje się, że poza bielą już niczego nie ma. Rodzina Obłych jeszcze stawia opór, lecz to nie potrwa długo. Coraz więcej przedmiotów znika w bieli i Obli również się wybiela.

LAST MINUTE
Książki
Z senką redaktora Michała...
Czemu widzieć – pak...
stabilizacyjny – pak...
podpisany bę...

PRZEKROJ

Założony
w roku 1945
w Krakowie
Redaktor
MARIAN
EILE

ADRES REDAKCJI: UL. WIEJSKA 19, IV P., 00-480 WARSZAWA, TEL. 584 25 25, FAKS 584 25 31
WWW.PRZEKROJ.PL, E-MAIL: redakcja@przekroj.pl

REDAKTOR NACZELNY: Piotr Najszub ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO: Jacek Kowalczyk PROJEKT GRAFICZNY: Elżbieta i Bogdan Zochowscy
DYREKTOR ARTYSTYCZNY: Małgorzata Łaska SEKRETARZ REDAKCJI: Magda Gędziorowska, Marcin Sendecki, Maria Świetlik (zastępca) ASYSTENTKA: Anna Romotowska
KULTURA: Bartek Chaciński (szef), Marcel Andino Velez, Tadeusz Nyczek, Małgorzata Sadowska, Justyna Sobolewska KRAJ: Wojciech Mazowiecki (szef), Magda Papuzińska (zastępca), Juliusz Cwieliuch, Marcin Fabjański, Joanna Gorzelinska, Cezary Łazarewicz, Rafał Madajczak, Milena Rachid Chehab, Grzegorz Ręczkowski, Paweł Wierczorek
ŚWIAT: Wawrzyniec Smoczyński (szef), Jakub Kumoch, Marek Rybarczyk. Stale współpracują: Jonathan Cook (Jerozolima), Piotr Kowalczyk (Rzym) NAUKA: Olga Woźniak (szef), Piotr Stanisławski
ROZRYWKA: Marcin Pieszczyk PRACOWNIA GRAFICZNA: Piotr Gidlewski, Mateusz Hankala, Michał Janicki, Maria Klich, Agata Loth, Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski PAN OD RYSUNKÓW: Jacek Ziemiński
FOTOEDYCJA: Marcin Kapica (szef), Kuba Dąbrowski, Bogdan Krężel (fotograf), Olga Piłśniak, Marek Szczepański KOREKTA: Tatiana Hardej, Sylwia Raczyńska ARCHIWUM: Wanda Lacrampe (szef), Dominika Bok
REDAKTOR TECHNICZNY: Alan Jawor OBRÓBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU: Jednostka Organizacyjna SEKRETARIAT: Iwona Chmielewska

WYDAWCA: EDIPRESSE POLSKA S.A., UL. WIEJSKA 19, 00-480 WARSZAWA, TEL. (0-22) 584 22 00, FAKS (0-22) 584 22 01

PREZES WYDAWNICTWA: Zbigniew Napierała WICEPREZES: Ewa Redel DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY: Izabela Bochenek DYREKTOR FINANSÓW: Paweł Satkowski

PUBLIC RELATIONS: Marcin Fedisz DYREKTOR TYGODNIKA „PRZEKROJ”: Iwona Zabielska-Stadnik DZIAŁ DYSTRYBUCJI: Grzegorz Barej – dyrektor

DZIAŁ PRODUKCJI: Danuta Kamińska – dyrektor PRZYGOTOWALNIA: Edipresse Polska – Zbigniew Szymański (dyrektor) DZIAŁ PROMOCJI: Dorota Rakowska – Product Manager

BIURO REKLAMY: Ewa Kozłowska – dyrektor, Artur Dudek, Grażyna Janiak, Anna Opszała, Małgorzata Skorupa, ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa, tel. (0-22) 584-295, -172, -311, -594.

PRENUMERATA@PRZEKROJ.PL, PRENUMERATA.KONKURSY@EDIPRESSE.PL PRZECZTĘ – PRZEDPŁATY PRZYJMUJĄ URZĘDY POCZTOWE NA TERENIE CAŁEGO KRAJU

PRZECZTĘ – informacja tel. (0-22) 532 87 31, faks (0-22) 532 87 32



ARTYKUŁÓW NIEZAMÓWIONYM
NIE ZWRACAMY. REDAKCJA ZASTRZEGA
SOBIE PRAWO DO ZMIAN I SKRÓTÓW
W NADEŚLANYM ARTYKUŁACH I LISTACH.



11 SŁOWY
Największemu pedantowi zdarzy się zaciąć jakiś rok i go nie skończyć.
Krzysztof

SPRAWDZ SAM, ZAWSZE LEPSZA OFERTA



MOTOROLA

RAZR V3

od **1 ZŁ NETTO**
(1,22 ZŁ Z VAT)

- PRZYNIEŚ RACHUNEK, **DOSTANIESZ LEPSZĄ OFERTĘ!**
- MOŻESZ **ZACHOWAĆ SWÓJ STARY NUMER.**
- **NOWE, PRZEJRZyste PAKIETY WARTOŚCIOWE**
JUŻ ZA 10 ZŁ (12,20 ZŁ Z VAT) MIESIĘCZNIE.
- **NAJWIĘKSZY WYBÓR TELEFONÓW JUŻ OD 1 ZŁ.**

NIE ZWLEKAJ, DOŁĄCZ DO NAS!
ODWIEDŹ PUNKT SPRZEDAŻY SIECI ERA.
CZEKAMY NA CIEBIE!



**BIZNES
MOŻESZ WIĘCEJ**

SPRAWDŹ WWW.ERA.PL LUB DZWOŃ 0 801 202 602

OPŁATA ZGODNA Z CENNIKIEM OPERATORA SIECI, Z KTÓREJ WYKONYWANE JEST POŁĄCZENIE.
SZCZEGÓŁY WARUNKÓW OFERTY PROMOCYJNEJ W REGULAMINIE DOSTĘPNYM W PUNKTACH SPRZEDAŻY SIECI ERA.